

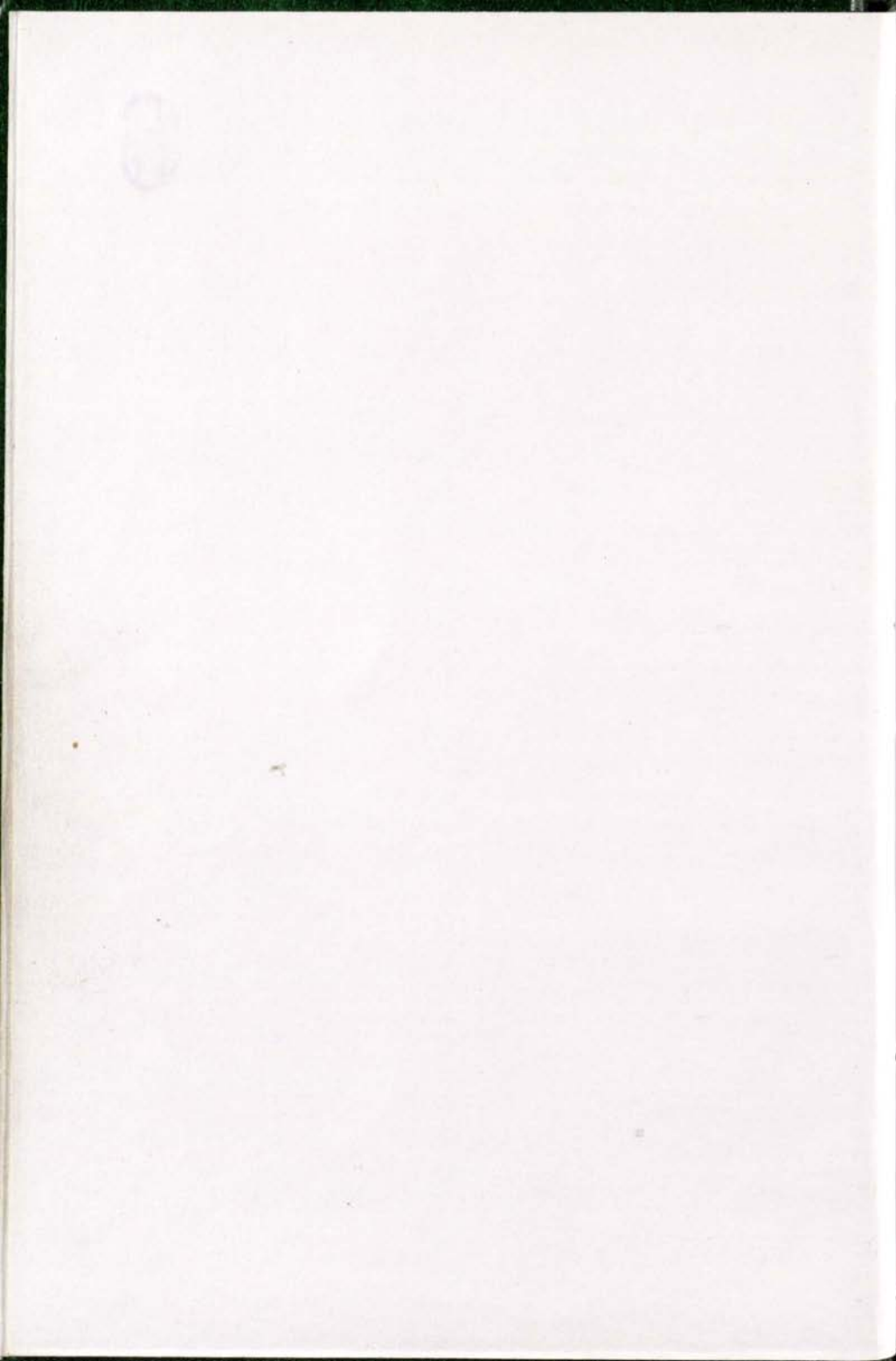
Zbigniew Adamski

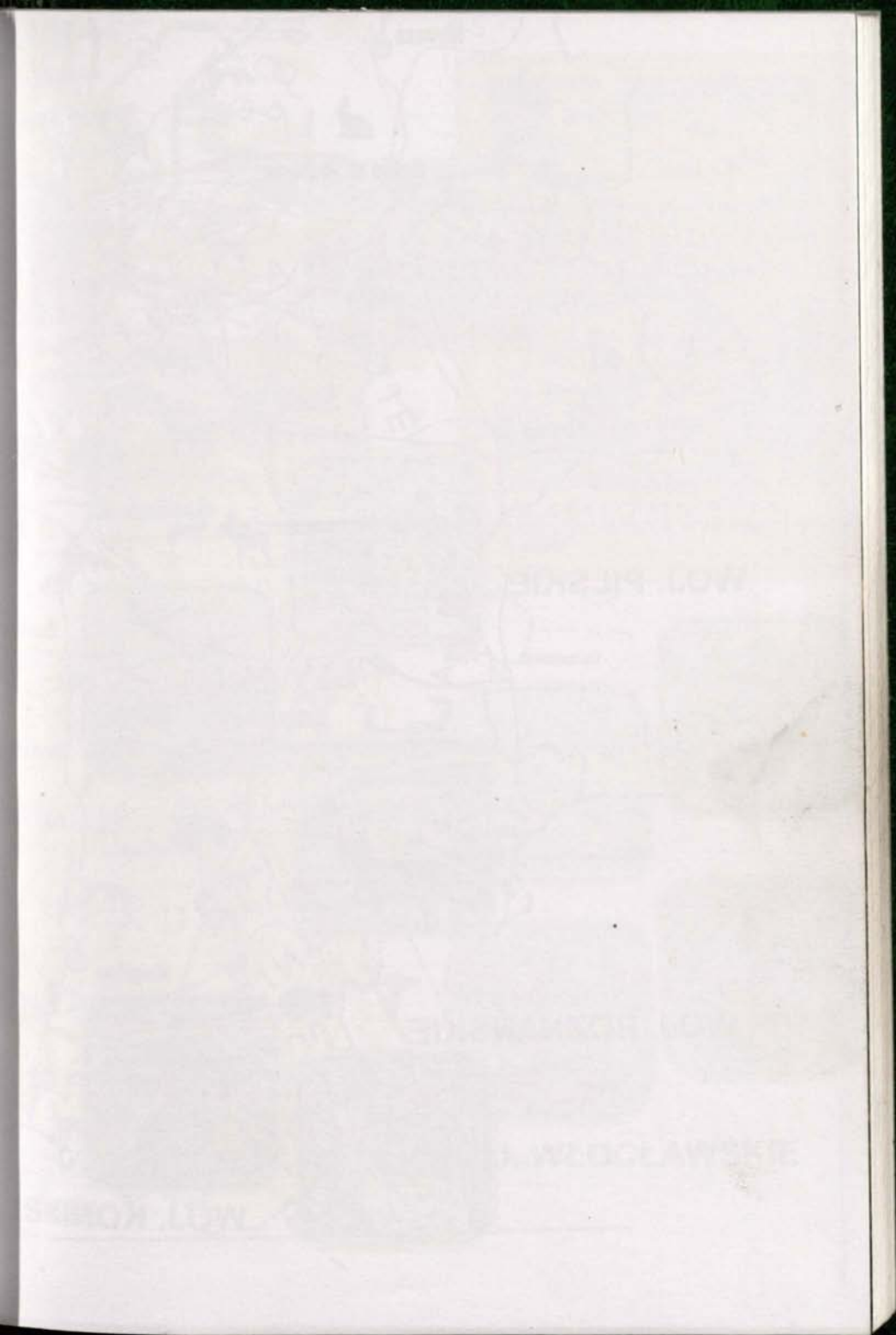


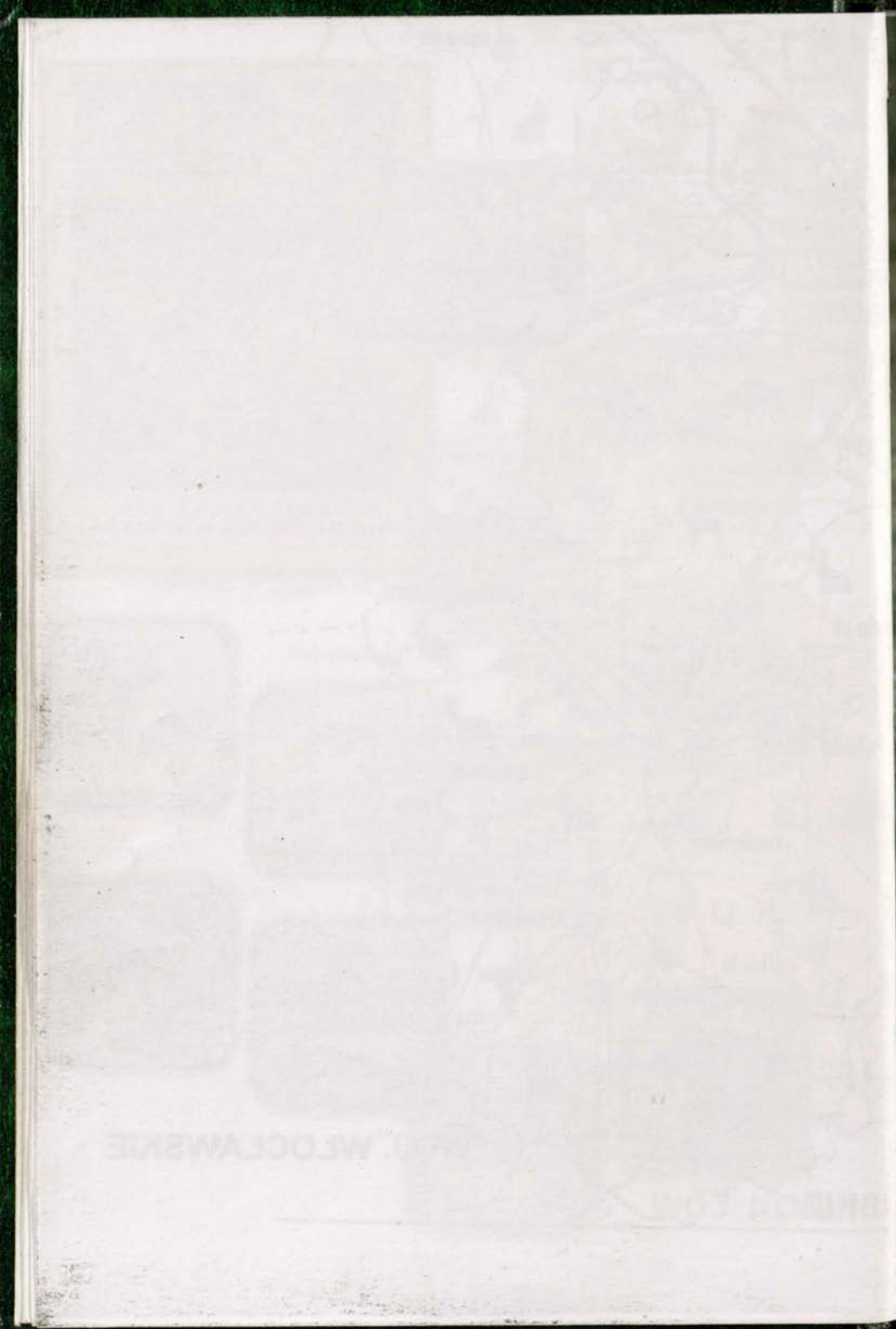
W KRÓLESTWIE
DIANY



6







Zbigniew Adamski



W KRÓLESTWIE
DIANY

**„We mgle tuli się staw.
Cisza jest taka, że aż w uszach dzwoni,
Nawet się zdaje, że przystanął czas.
Słońce przed nocą w cieniu czoło kloni,
Czy szeptu gwiazd tak słucha las?”.**

Wszyscy już poszli spać. Przede mną był
nowy dzień, nowe spotkanie
z Puszcą Bydgoską.

W królestwie Diany (s. 66)

W KRÓLESTWIE DIANY

W KRÓLESTWIE DIANY

MIEDZY WISLA A NOTEC
W OGRODZIE RZEPORA



Wydanie pierwsze 1904
Jedynak Główny 2004
Printed in Poland

Zbigniew Adamski

KSIĄŻKI PRZYGODOWO-ŁOWIECKIE

Rospudą do Puszczy Augustowskiej

Moje spotkania z przyrodą

Skarbiec św. Huberta w Karkonoszach i na Pogórzu

Ontaryjskie safari

Nad rzeką św. Wawrzyńca

Ze strzelbą i wędką

W królestwie Diany

Łowy z kamerą

Z wędrówek po puszczach

Nipissing – tęczowe lasy Kanady

Ryby mego życia



ZBIGNIEW ADAMSKI

W KRÓLESTWIE DIANY

**MIĘDZY WISŁĄ A NOTECIĄ
W OGRODZIE RZEPIÓRA**



**Wszelkie prawa za strzeżone
Jelenia Góra 2004
Printed in Poland**

Polski Związek Łowiecki

Zarząd Okręgowy w Jeleniej Górze

Opiniodawcy: Kazimierz Koncewicz, Jerzy Janus, Henryk Gronikowski

Redaktor: Andrzej Grzelak

Zdjęcia: Dariusz i Zbigniew Adamscy

Rysunki: autora

Układ komputerowy: Andrzej Chmielewski

Diapozytywy opracował: Jan Poniatowski

Wydanie drugie, uzupełnione.

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Copyright 2004 by Zbigniew Adamski.

Jelenia Góra – 2004 rok

Printed in Poland



CZĘŚĆ PIERWSZA
MIĘDZY WISŁĄ A NOTECią



CZĘŚĆ DRUGA
W OGRODZIE RZEPIÓRA

Kol. Zb. Adamski najchętniej opowiada o swych książkach nad którymi pracuje lub tych, które jeszcze tkwią głęboko w jego szufladzie. Nie mówi o tych, które, choć w niewielkich nakładach, już się ukazały.

Książka „W królestwie Diany” była mu szczególnie bliska. Wielokrotnie, jakby dla potwierdzenia prawdziwości zawartych w niej zdarzeń, konsultował jej treść z towarzyszami łowów na Pomorzu i w Karkonoszach. W ich obecności robił notatki i często nawet im czytał fragmenty opowiadań. Usłyszał twierdzenie, że „takich polowań dzisiaj już nie ma”. Mówił do mnie, że go to jeszcze bardziej zmobilizowało do rzetelnego przedstawiania wspólnie przeżywanych wydarzeń.

Myśliwi twierdzą, że to dobra książka, bo opisuje dzikie rewiry nie z pozycji turysty wędrującego za dnia, a myśliwego, który najczęściej przeżywa swe epizody w samotności, nocami, o wschodach i zachodach słońca, w mrozy czy śnieżyce. Autor zafascynowany pięknem przyrody, krajobrazu pokazuje ludzi, zwierzęta i ptaki, których w normalnych wyprawach nigdy by się nie spotkało

W ten sposób z satysfakcją tworzy, opisuje soczysty świat przygód w tle coraz bardziej znikającej sprzed naszych oczu przyrody i dawnej atmosfery, jaka towarzyszyła polowaniom.

„W królestwie Diany” jest książką autentycznie prawdziwą – opisującą wydarzenia i przyrodę widzianą oczami autora, myśliwego i fotografa, ludzi, zwierzęta, krajobrazy lasów, zmierzchów i poranków dnia - tyle rzeczy tak doskonałych, chwytających pod gardło i wzruszających, a które umykają nam bezpowrotnie w pogoni za trudami życia doczesnego.

Jest jednak grupa ludzi, która nierozzerwalnie jest związana z przyrodą i do której to dobro należy, Są nimi rzesze leśników i myśliwych, którzy się nią opiekują i pozwalają na jej przetrwanie w niezmienionym stanie dla podobnej fascynacji przyszłych pokoleń.

Kazimierz Koncewicz



**CZĘŚĆ PIERWSZA
MIĘDZY WISŁĄ A NOTECIĄ**



1. Chwile młodszej emocji

Z przylepionymi policzkami do szyby w oknie wiejskiej chaty, ciągle obmywanym z zewnątrz strugami deszczu z niecierpliwością oczekiwałem chwili, kiedy mój dziadek weźmie do ręki leszczynowy kij i powie:

„Trochę się przejaśniło, idziemy nad Noteć.”

Był on dla mnie, wówczas ośmioletniego chłopca, prawie wszystkim. Mimo, że siedł mu już ósmy krzyżyk stanowił wzór nie - osiągalny. Umiał zrobić niemal wszystko: wyginać ze szpilek haczyki na ryby, strugać z wierzby, lub z ptasiej kości fujarki i na nich wygrywać smętne nutki, naśladować piski myszy, wabić sowy i kuny. Umiał też rzeźbić w topolowych korach pochylonych chłopów, niosących ciężkie worki zboża oraz wiatraki, których skrzydła obracał wiatr, a młynarz uparcie kręcił ciężkim kołem.

Ale już niedoścignionym wzorem dla mnie było recytowanie przez dziadka długich strof poezji Stanisława Przybyszewskiego, poety, który urodził się niedaleko stąd, bo nad Małym Gopłem i był tylko o rok młodszy od niego. Kiedyś nad wodą zwierzył mi się, że był jego twórczością zauroczony, zresztą poznał poetę osobiście, po mszy św. w XII-wiecznej kolegiacie w Kruszwicy.

Z wielu cytowanych strof do dziś zapamiętałem tą jedną, chyba najsmutniejszą, która dotyczyła Ziemi Kujawskiej i trafnie oddawała nastroje poprzednich stuleci:

„Błade kłosy na odłogu,
jak sieroty twarz.
pójdę powiem Panu Bogu,
że to zagon nasz.”

Wreszcie deszcz zelżał. Z trudem wyszliśmy na dwór. Targani przez wichur jak nadnoteckie topole i wierzy, szliśmy wśród nich nad rzekę. Nogi tonęły w błocie, a serce rwało się do wody, na zarośnięte żółtymi grązelami i moczarką zakola.

Dziadek w tamtych latach popisywał się nie lada kunsztem wędkarskim. W żyłastych, spracowanych palcach sprawnie wiązał haczyk do końskiego włosia. Resztę wędki stanowiła szewska dratwa, wysmukły splawik z topolowej kory i lekki, długi leszczynowy kij. Cały ten zestaw był przez niego zrobiony.

Nie wiem dlaczego, ale na tę wędkę ryby brały bez opamiętania. Nigdy już później na nowoczesny sprzęt nie udało mi się tam powtórzyć dawnych sukcesów.

Obaj szliśmy w górę rzeki, coraz dalej i dalej, niemal aż do wału starego grodziska, otoczonego zewsząd bagnami. Czasem wśród tej czarnej mazi wyrastały zielone groble ze strzelistymi topolami wznoszącymi się ku niebu.

Z melancholią przyglądałem się okrytą mgłą równinie, gdzie ciągle deszcz i wichry targały łanami drzew i trzcin.

Gniazdowało tu wiele ptactwa wodnego, szczególnie kaczek i łysiek, były perkozy, mewy, a czasem jak ważka nad bagnami zjawiał się wielki rybołów.

Na groblach, wśród wysokich topoli, wiły niczym remizy swe gniazda żółtozielone wilgi i wieczorem swym fletowym głosem („igilio-dygilio”) sygnalizowały obecność. Przylatywały żurawie, a orzeł bielik kontrolował zasobne w pokarm bagna i rzekę.

W późniejszym okresie, bo w latach siedemdziesiątych, utworzono tu obszary objęte ochroną rezerwatową, ze względu na

miejsca lęgowe ptactwa wodnego i konieczność zabezpieczenia miejsc historycznych związanych z początkami Państwa Polskiego.

Liczne strumyki, spływające do rzeki, niosły najrozmaitszy żer - od ptasich odchodów, poprzez pijawki, maleńkie kijanki i karasie. Wszystko to powodowało, że w lejkowatych ujściach wody żerowały najrozmaitsze gatunki ryb - okonie, szczupaki, liny, ale przede wszystkim „leszcze jak łopaty”.

W tych właśnie miejscach rzucaliśmy swe wędki. Musieliśmy się spieszyć, aby zdążyć przed następnym deszczem, bo wówczas ryby, jakby przeczuwając zmienną pogodę, brały przynętę najchętniej.

Czasami zastawała nas burza z piorunami, wówczas kładliśmy się w najniższym zagłębieniu w ziemi i tak zalewani strugami wody trwaliliśmy do zniknięcia błyskawic.

Splawik tonął powoli, aż zniknął zupełnie. Uchwyciłem wędzisko i lekko podciąłem, podciągając wędkę. Nagle pod powierzchnią wody zatrzepotał leszcz. Błysnął lustrzanym bokiem, pokazał czarny ogon na pożegnanie i się odpiął. Pośpiesznie z domku wyciągnąłem nowego, tłustego chruścika i założyłem na haczyk. Uczułem uczucie zazdrości, kiedy dziadek spokojnie holował do brzegu któregoś już leszczyka: bez emocji, po cichu i zwracania na siebie uwagi.

Znów mój splawik dryfował wśród wystających z wody roślin. Naraz położył się na wodzie, drgnął kilkakrotnie i zaczął ukośnie tonać. Branie! Podciąłem lekko. Obserwowanie dziadka nauczyło mnie szacunku do ryby i rozegrania tej walki w pełnym spokoju.

Trudno było jednak o ten stoicki spokój mego nauczyciela z takim багаżem doświadczeń, kiedy wiedziałem już, że chwyciła mi się wielka ryba.

Nie było czasu na rozpamiętywanie. Ryba uparcie parła

pod ośmiornicę podwodnych kłaczy. Wiedziałem, że tylko przypadkiem udało mi się ją odwieść od tego pomysłu. Nagle pod powierzchnię wypłynął duży, wielki jak łopata, srebrny leszcz, by ponownie zniknąć w smolistym mule.



Teraz ze świszczącym sykiem delikatne, końskie włosie cięło spokojną tafłę wody. Jakaś jego niebywała moc wytrzymywała ten potworny hol wędki. Z sercem pod gardłem i obawami o jej zerwanie, czy wyprostowanie szpilki, z trudem utrzymywałem kij i nerwy.

Naraz poczułem lekkie uklucie. Wędka się wyluzowała. Już miałem zakląć, kiedy zobaczyłem jak pod powierzchnią srebrzy się wielka patelnia ryby. Ująłem wędzisko lewą ręką i delikatnie podprowadziłem tego olbrzyma pod brzeg. Prawą ująłem rybę pod skrzela i ledwo podniosłem do góry.

Leszcz wyglądał wspaniale, był ogromny, ale wagi nie mogłem ocenić.

Podszedł dziadek. Gratulował, chwalił, ciepłe potoki słów podnosiły mój prestiż. W jego oczach była to rekordowa ryba.

Dopiero teraz odczuwałem pełnię sukcesu. Byłem uradowany i szczęśliwy! Aż strach było pomyśleć, że gdyby weszła w podwodne korzenie mógłbym ją stracić!

To dzikie, bezludne pustkowia, pełne dziur, torfowisk i

błota wydawało mi się najcudowniejszym skrawkiem na ziemi, jakimś dawno zapomnianym kawałkiem pierwotnym bagiennej puszczy, po której kiedyś stapały tury i łosie, pokonywali ją wojowie książąt piastowskich.

Czy da się dziś opisać dumę i rozkosz młodzieńca pierwszy raz w życiu chwytającego wielką rybę i wchodzącego w tajniki świata przyrody, żywiołu wody, która do dzisiejszego dnia ma na mnie przemożny wpływ, budzi wieczną ciekawość i zachwyt?

Noteć i jej dorzecza pragnąłem poznać, jednak mogłem tego dokonać dopiero po wojnie, kilkadziesiąt lat później.

Wówczas jednak wiele straciła ta rzeka ze swej dzikości i pierwotnego krajobrazu. Stała się chętnie odwiedzana przez wędkarzy oraz uregulowanym szlakiem wodnym. Taki jest wynik postępu cywilizacji.

Miejscami jednak pozostała dzika, szalona i tajemnicza, radowała zmysły, pobudzała wyobraźnię oraz zachęcała do wędkarskich wypraw.

2. *Kłusownik z Luftwaffe*

Po wakacjach do szkoły nie poszliśmy. Rozpoczęła się wojna i ferie u dziadka się przedłużały. Ojciec był na froncie, a mama zajmowała się młodszym bratem. Na wsi dobrze się czułem, choć wokół mnie działały się rzeczy nowe, dotąd nie spotykane. Utrudniały one życie ludziom, ale dla mnie, młodego chłopca, wydawały się ciekawe i atrakcyjne. Na noc ludzie opuszczali swe domostwa i spali w ziemiankach. Najwięcej było ich w głębokim rowie, biegnącym obok pól. W nocy pobudowano na nim kładki, okryto i zamaskowano darnią, pod nimi strumyk oddzielono podłogą, na której spano.

We wsi zostali tylko młodzi mężczyźni do pilnowania mienia i chwytania szpiegów, o których ciągle się mówiło.

Mój dziadek miał gdzieś te zarządzenia i spał w domu, nie przejmując się lecącymi każdego dnia samolotami. Po kilku noclegach u sąsiada w chłodnej ziemiance postanowiłem spać razem z dziadkiem na słomie w stodole.

Pierwszy szok minął, sytuacja się normalizowała, jednak trudno było wychodzić z domów, a szczególnie poruszać się drogami, bo piloci niemieccy strzelali do ludzi jak do kaczek. Zjawiali się zza chmur i szybko odlatywali. Często też słychać było tylko serie strzałów i zanikający warkot motoru samolotu. Potem tu i ówdzie znajdowano leżących ludzi, martwych lub rannych.

Coraz częściej mówiono o samolocie, który z dużej wysokości strzelał do pojedynczych osób.

Spanie w stodole nie było tak wygodne jak w mieszkaniu. Wiatr hulał pomiędzy deskami, ciągle było słychać ujadanie psów i dalekie detonacje. W takich chwilach wracałem myślami nad bagna i rzekę.

Szczególnie głęboko wryły mi się w pamięć nadrzeczne, płytkie łachy, pełne mulistych czarnych dołów z nagrzaną od słońca wodą. Tam pod koniec sierpnia, w samo południe, zwrócił moją uwagę leżący w wodzie czarny korzeń lub kłoda. Więcej może bym się nim nie interesował, gdyby się nie poruszył. Wówczas rozpoznałem wielką rybę, mającą ponad metr długości. Małymi ślepakami bacznie mnie obserwowała. Z wrażenia oniemiałem. Może to jednak jakaś zjawą, jakieś podwodne kłacze? Kiedy końcem leszczynowego kija próbowałem jego dotknąć, na wodzie powstał potężny wir i ryba odpłynęła, pozostawiając po sobie zmieszaną z błotem czarną toń.

Właśnie to zakole nie dawało mi spokoju. O wszystkim opowiedziałem dziadkowi, który przygotował już odpowiednio silną wędkę. Mieliśmy też gotową receptę na schwytanie tego wąsatego potwora. Na hak wygięty z agrałki chcieliśmy zaczepić zieloną żabkę.

Niespodziewany wybuch wojny pokrzyżował nam te plany, jednak w wolnych chwilach nie przestałem myśleć o sumie mieszkającym w dole, przy ujściu rzeki z Małego Gopła.

Pogoda była wyśmienita i czas się dłużył. Wędki stały oparte o płot i czekały na decyzję dziadka.

Któregoś dnia powrócił z odprawy starszyny w jakimś lepszym humorze, niż był w tych ostatnich dniach.

- Bierz wędki - powiedział. - Kiedy tylko te bombowce przelecą, zaraz po obiedzie pójdziemy na godzinę, ale tu bliżej, na dołek obok buraków. Tam niedawno widziałem jak szczupaki przeganiały drobnicę. Zobaczymy! Niby nie wolno opuszczać wioski, ale to torfowisko leży przy Olejnika polu i do zabudowań też jest blisko. Zresztą o tej porze wczoraj był spokój. Niepokoi

mnie jednak, że kilka dni wstecz nad samą wodą ktoś znalazł zastrzelonego wędkarza w kolejarskim mundurze.

Codzienny, charakterystyczny warkot ciężkich maszyn spływał spod nieba. Teraz leciały wysoko. Ukryci za płotem obserwowaliśmy je bacznie, a kiedy tylko znikły, chwyciłem obie wędkę i przez pole poszliśmy w stronę rzeki.

Był zupełny spokój, jednak przenikliwa i złowieszcza cisza panowała w powietrzu.

Dotarliśmy nad torfowisko zarośnięte gęsto moczarką, porożcinaną przez pływającą łódkę. W tych rowach woda była tak przezroczysta, że widać było czarne dno i połyskujące, małe rybki gonione przez drapieżniki. Wokół wykoszono trawy, nie mieliśmy żadnej osłony, nie było też tu trzciny, nie rosły wierzby. Tylko nieopodal zieleniło się pole buraków cukrowych, przeznaczonych dla pobliskiej cukrowni. Na jakiś sukces trudno było chyba liczyć. Martwiłem się, w dodatku byliśmy zewsząd widoczni. Dlaczego dziadek wybrał ten brzeg przy buraczysku, a nie ciekawszy od strony rzeki? Zrobił to chyba przeczuwając jakieś nieszczęście.

Wnet dwie małe żabki zadyndały na hakach i znalazły się w wodzie. Ryby były głodne, bo wkrótce mieliśmy dwa małe szczupaczki na sznurku. Dziś wiem, że nie były wymiarowe.

Naraz usłyszeliśmy warkot samolotów, głuchy, dudniący. Leciały od strony Gopła.

Dziadek znał tych podniebnych piratów. Poznał ich jeszcze przed pierwszą wojną światową, służąc w armii niemieckiej w Szczecinie

Wyrwał mi gwałtownie wędkę, sam rzucił swoją i biegliśmy co sił do łąnu buraków.

W ostatnim momencie dopadliśmy zbawczego pola. Z czwórki wysoko lecących samolotów oderwał się jeden i z przerażającym świstem nurkował prosto na nas. W ostatniej chwili zostałem przewrócony i poczułem ciężar dziadka na sobie. Seria z karabinu maszynowego ogłuszyła nas, a wir

powietrza od podrywającej się do góry maszyny przydusił nas głęboko do ziemi. Potworny świst i syk spadających pocisków do wilgotnej ziemi podniósł obok nas gejzery pary, a rozbryzgane grudki ziemi i pył obsypały nas zupełnie.

Samolot odleciał, dogonił swoich kompanów. Dziadek mnie oglądał z każdej strony, przy tym klął, otrzepując mnie i siebie z ziemi.

-To beczelny kłusownik, wydaliśmy mu się łatwym łupem, to ten sam załatwił chyba tego kolejarza - mówił do siebie. - Powiem naszym wojakom, by na niego zapolowali.

Tego wieczoru, po powrocie do domu, postanowiliśmy już więcej na ryby nie chodzić. Nie byłoby zresztą okazji. Po wkroczeniu Niemców dom został przez nich zajęty. Zamieszkali w nim nowi lokatorzy.



NAD RZEKĄ I NA BAGNACH

3. *Triumf i smak porażki*

Kołuda Mała wśród wędkarzy wcale nie oznaczała nazwy maleńkiej wioski z kilku domkami z czerwonej cegły, no i pałacu, który w tych bagnach ustawiono. Dla nich nazwa ta przede wszystkim kojarzyła się z wielkimi rybami w zapomnianej przez Boga i ludzi starej rzece oraz bagiennych wertepach i zapadliskach. Dla innych jeszcze oznaczała niedostępny teren, ciągnący się od kanału Noteci, którym skrócono kiedyś jej bieg do jeziora Pakoskiego. O starym korycie rzeki, długości pięciu kilometrów, biegnącym wśród bocznych wzniesień przez jezioro Węgierka i Ludzisko do Kołudy Małej i ujścia do jeziora Pakoskiego, jakby zapomniano.

Ta dawna Noteć, tu płynąca w dolinie z północy na południe, przypominała swym wyglądem raczej krajobrazy Polesia. Wydawało się, że bagna ciągle tonęły we mgle i oparach, które zastępował siąpiący deszcz, zwany kapuśniakiem. Kto tu przebywał wiedział, że klimat jest zimny, wilgotny, wciskający się kroplami wody za kołnierze koszul.

Rzeka niczym nie przypominała zwykle płynącej wśród płaskich łąk Noteci - szlaku wodnego pomiędzy Gopłem a Kanałem Bydgoskim. Brzegi jej były grzaskie, zdradliwe, pochłonięły już wielu miłośników wędkowania. W wodzie leżało pełno korzeni i zatopionych pni. Czarne ich kłody wystawały niczym wielkie grzbiety karpi lub sumów. Bagna porastały trzciny, wysokie na długość wędziska, przetykane płataniną wierzb. Z rzadka na suchych groblach rosły wiekowe dęby, których w troje było ciężko objąć.

Kiedy pod koniec wojny wysadzono w powietrze trzy zwisające, potężne mosty na rzece, dzikość jej i tych bagien jeszcze bardziej wzrosła, a rzeka stała się nieżeglowna.

Żyło tu dużo ptactwa wodnego. Piżmowce niszczyły brzegi i podtapiały całe połacie łąk. Wydawało się, że wędkowanie jest tu ryzykowne, a nawet niemożliwe. Wiadomo było jednak, że pływały wielkie ryby.

Zaraz po wojnie poznałem Tadka Czapłę, syna miejscowego rybaka. Włóczył się całymi dniami po tych dołach i nadrzecznych bagnach, znał wszystkie podwodne groble, każde tajne przejście. W głowie miał tylko przyrodę. Wiedział gdzie gnieźdzą się bąki, gdzie wiją swe gniazda trzciniaki, a gdzie mieszkają łyski i krzyżówki.

Czapla był typem dawnego mieszkańca prastarego nadgoplańskiego, bagiennego boru. Nie spieszo mu było do chaty, aby spożywać posiłki przyrządzone przez matkę. Wolał jeść ryby i ptasie jaja, mieszkać w szałasie przez siebie wybudowanym. Przy tym był zdrowy i mimo młodego wieku silny jak tur. Robił wszystko co tylko zechciał. Oprócz łowienia ryb lubił je piec na ognisku, wstawać wcześniej o świcie i znikać w swoim szałasie o zmroku. Bezszelestnie przychodził i znikał znieńacka. Umiał cieszyć się pulsującą życiem przyrodą.

Taki to już był Czapla!

*

Nastał upalny początek lata, na bagnach przepojony zapachem tataraków i butany. Wilgotne powietrze zatykało nosy, w ustach było słodkawo, a gardło drażniły unoszące się kudłate pyłki wierzb.

Tadka znałem ze szkoły, a jego barwne opowieści o wielkich rybach-potworach bywały ekscytujące i podniecały młodzieńczą wyobraźnię, były wizją wielkiej przygody.

W końcu postanowiłem jego zaproszenie przyjąć i tak w

kolejne wakacje znalazłem się nad starą Notecią.

Weszliśmy w miejsce, gdzie nagle urywało się pasmo wierzb i zaczynał labirynt ścieżek wśród niekończącego się łąnu trzcin.

Brodząc po kolana w błocie doszliśmy do wystających z wody pni. Wraz ze spletanymi korzeniami tworzyły tu brzeg niewielkiego dolka, a w ich uścisku widniała maleńka wysepka, wybrana przez Czapłę na miejsce naszego polowania na podwodne wielkie, szczupale.

Wypożyczony w tonkinową klejonkę, czeski kołowrotek „tap” oraz błyski domowej roboty chciałem Tadekowi zaimponować wyższością nowoczesnego sprzętu nad jego blachą z aluminiowej, poniemieckiej łyżki i zwijanej wokół łokcia żyłki.

Woda była koloru szmaragdowego, zabarwiona podwodnymi warkoczami moczarki. Wokół panowała cisza i spokój, jedynie czasem daleki odgłos kukulki wyraźnie niósł się po wodzie.

Na początku, aż mi było głupio. Każdy niemal mój rzut kończył się wyciągnięciem pęczka zielska i zmacaniem wody. Widząc moją nieporadność Tadek poprosił o odczekanie do chwili, aż woda nabierze klarowności.

Dopiero pod wieczór któryś z dalekich rzutów przyniósł mi wreszcie długo oczekiwany sukces. Na kotwicy znalazł się kilkukilogramowy, zadziorny szczupak. Jego atak odczułem jak silne szarpnięcie. Potem wyskoczył nad powierzchnię wody, zadzwonił wirówką i wpadł z powrotem w jej toń. Moje podniecenie natychmiast zaczęło wzrastać. Aby uniemożliwić rybce wpłynięcie w konary nawet nie wiem kiedy znalazłem się po pas w wodzie. Gdyby nie mój przyjaciel pewnie bym z tego grzęzawiska nie wyszedł o własnych siłach. Ryba i tak wplątała się w gałęzie, urwała wirówkę, a na kołowrotek zwinąłem o dziesięć metrów żyłki mniej.

Moje zdenerwowanie w końcu ustąpiło, a jego miejsce

zajęła chęć podpatrzenia przyjaciela, który tego wieczora złowił prawie trzykilogramowego szczupaka.

Robiło się szaro, komary cięły nieznośnie, wracaliśmy do szałas.

Wcześniej przygotowane dwa szczupaki powędrowały na ognisko, a raczej na rozgrzane kamienie i obracane przez Tadeka rumieniły się w blasku ognia. Pachniało wokół majerankiem i jabłkami, którymi kucharz nafaszerował obie ryby. Jeszcze tylko sól do smaku i do ręki pajdy wiejskiego chleba, urwane z bochenka. Nic wcześniej nie smakowało mi tak jak ta traperska kolacja na tym odludziu, przyrządzona przez Czapłę.

Noc była krótka.

-Wstawaj już czwarta. Przygotuj się, spać będziemy w dzień, bo zanosi się na deszcz - tymi słowami przywitał mnie Tadek.

Jeszcze szary przedświt nastawał, kiedy wyruszyliśmy na nowe łowisko.

Dla mnie spotkanie z wodą było zawsze dużym przeżyciem, zwłaszcza tu, w zetknięciu z tak dziewiczą przyrodą.

Szliśmy wśród trzin, po boku oczka wodne tonęły jeszcze w głębokim śnie, ryby nie marszczyły lustra wody, nie wyszły na mielizny za drobnicą i owadami.

Czekała nas niebezpieczna przeprawa na drugi brzeg przez śliską, leżącą w wodzie kłodę.

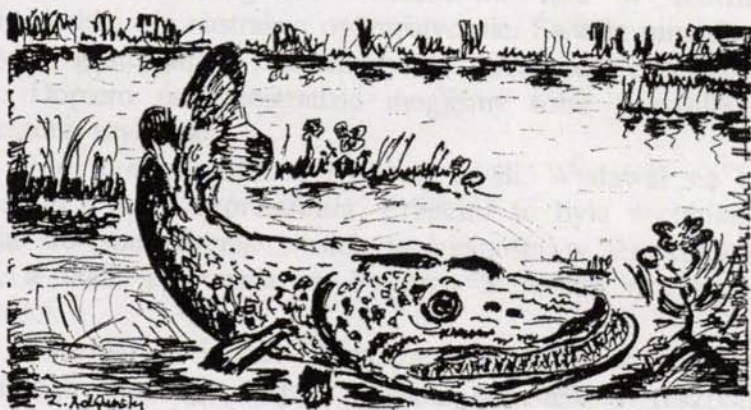
Po wiosennych roztopach poziom wody był wysoki i utrudniał przechodzenie, nawet wypróbowanymi ścieżkami. Nieuważnie stanąłem na śliskim konarze i znów byłem o krok od przymusowej kąpieli.

Wreszcie drugi brzeg. Rzeka przechodziła tu w mielizny, otoczone zewsząd krzewami. Obok rozłożystej wierzby kusił mnie czarny dołek.

Zawsze lubiłem polować na pograniczu głębi, tam miewałem wiele sukcesów. Zacząłem źle. Pierwszy rzut nie wyszedł, poza tym złamałem gałązkę wierzby zahaczoną kotwicą.

Ścięte listki powoli opadały. Nagle fontanna wody wytrysnęła w górę ze spokojnej toni. Wielki żarłok nabrał się chyba i połknął zamiast uklei mały listek. Zaskoczenie moje było kompletne. Zachowanie ryby świadczyło o wielkiej jej żarłoczności.

Od nowa drżącymi jeszcze palcami poprawiłem mepsa i teraz już rozważnie rzuciłem pod sam krzak. Kilka obrotów korbką i żyłka się naprężyła. Lekko szarpnąłem, kij wygiął się w kabłąk. Podniecenie wzrosło. Pełen byłem obawy o zbyt silnie przykręcony hamulec. Jego miarowe terkotanie przyjąłem z ulgą. Pojawiła się nadzieja na wyciągnięcie ryby. Powolny i łatwy hol trwał krótko. Kiedy szczupak zobaczył mnie, miał już dość tej zabawy. Zakręcił młynca, wyskakując nad wodę. Głośno zatrzepotał łbem, zadzwonił błyską, chcąc ją wypluć, a kiedy to się nie udało, pozwolił się bez przeszkód doholować do brzegu. Trwało to jednak krótko. Ponowny atak ryby omal nie zakończył się zerwaniem żyłki. Tylko jakiś łut szczęścia pozwolił mi ją wyprowadzić ponownie na czystą wodę i przyholować do brzegu.



Szczupak okazałe wyglądał. Miał omszały, zielony grzbiet, w pomarańczowe i złote plamy, krwisty ogon oraz czerwone płetwy, od spodu prawie srebrnobiałe.

Po przyjściu Tacka zważyliśmy rybę. Miała ponad pięć kilogramów. Zrobiliśmy z nią zdjęcie.

Czapla przyniósł trzy kilogramowe szczupaki i dwa zielone garbusy, okonie o krwistych płetwach. Ryby szybko obraliśmy. Natarł je pokrzywą, nasolił i zawiesił nad ogniskiem. Filety nakrył rękawem z koca przeciwpożarowego i tak przez parę godzin wędził. Zapach dymu prowokował i drażnił podniebienie, ale ryby z tej wędzarni, a zwłaszcza okonie, smakowały wtenczas wyśmienicie.

W następnych dniach złowiłem na tych rozlewiskach jeszcze dwa podobne okazy, choć muszę przyznać, że jeden z nich wyrwał mi korbkę kołowrotka, okaleczył nią palec i porwał żyłkę.

Przeżycia, jakie następują w takich chwilach, na pewno zna każdy wędkarz. Mnie ta dzika rzeka jeszcze przez wiele lat mobilizowała do jej odwiedzania, do przebywania w jej otoczeniu i wilgotnym klimacie, do powtarzania sukcesów traper Tacka Czapli.

4. Ptaki babiego lata

Zaproszenie od Zdzisława na kuropatwy przyjąłem z radością, choć chwilę się zastanawiałem nad odpowiedzią, bo to przecież tak daleko. Moje wahanie kolega wyczuł natychmiast i dodał:

- Przyjeżdżaj, kur jest na Ludzisku sporo, zabawa będzie pyszna. Skończą się rżyska a potem zostaną gołe pola i smętna pustka. To są ptaki babiego lata, później już na opustoszałej ziemi będziesz mógł tylko z daleka usłyszeć ich furkot. Polowanie wówczas przynosi korzyści drapieżnikom. Nie przegap tej sposobności!

Ciemna, zamglona wrześniowa noc w Kotlinie Jeleniogórskiej nie nastrajała optymistycznie. Światła samochodu bledły w gęstej mgłę i zmuszały do maksymalnie ostrożnej jazdy. Dopiero na autostradzie mogliśmy sobie pozwolić na zwiększenie szybkości.

Mój brat Mundeł był dobrej myśli. Wydawał się być szczęśliwy z tego zaproszenia. Przecież to była wyśmienita okazja do sprawdzenia swoich umiejętności w strzelaniu do pióra, a takie polowania na Pogórze Sudeckim należały do rzadkości.

Południowe krańce Pomorza przywitały nas barwami wyblakłego łubinu, złotymi pasami ściernisk i resztkami ziemniaczysk. Wrześniowy poranek wstawał cichy i senny. Ogarniał nadnotecką równinę aż po sam horyzont.

Dym z ognisk, razem z niemi babiego lata, snuł się wszędzie, w coraz bardziej rozgrzewanym powietrzu. Pachniało

łącinami z ziemniaków i słomą.

Spotkaliśmy się na moście starej Noteci. Stąd już tylko krok dzielił nas od pól, z których można było usłyszeć miłe nam nawoływania: "czirr-żyt, czirr-żyt".

Pod butami łamały się z trzaskiem wyschnięte łodygi buraczanych liści. Ich dywany ciągnęły się daleko, nawet dotykały brzegów rzeki. Obok nich niczym lusterka lśniły małe jeziora i torfowiska, a na wzniesieniach złościły się jeszcze nie zaorane rżyska.

Nad tym jesiennym krajobrazem dumnie stało, jakby w bezruchu, wyblakłe niebo. Wszędzie panowała dostoja cisza, maćona czasem świergotem skowronków oraz szczygłów, kręcących się w łodygach ostów.

Tak zapamiętałem mój pierwszy wyjazd nad Notecę na polowanie do pióra, w czasie snującego się babiego lata.

Było na tyle wcześnie rano, że słońce jeszcze mocno nie oślepiało wzroku, a rosa już zdążyła obeschnąć. Stanęliśmy pod wiatr na szosie pomiędzy Ludziskiem a Janikowem. Pilnie śledziliśmy stadka kuropatw przemieszczających się na inne rewiry. Było to dość łatwe, bo wabiły się głośno. Spektakl trwał z pół godziny, zanim ptaki zapadły na stałe i znów nastała cisza.

Zdzichu był znawcą obyczajów kuropatw, choć ze strzelaniem było u niego różnie. Stan kur był tu okazały, choć ponoć dużo ptaków jeszcze nie wyrosło i według gospodarza miały latać nisko.

Szeroką ławą weszliśmy w buraczysko. Stara wyżlica Kora okładała skrupulatnie gęste ich łany. Zatrzymywała się i dalej jej ciemnobrązowy grzbiet pruł liście niczym łódź wodę. Naraz znieruchomiała. Trzęsła się jak w galarecie, chyba tylko po to, aby zwrócić na siebie uwagę.

Naraz znikła pod okapem liści i zaczęła się czołgać. Pełen napięcia spodziewałem się stadka kur. Już poderwałem strzelbę, kiedy przed Korą z hałasem wyfrunął skowronek, po



Bory tu są przeogromne, zwarte sosnowe lasy. (s. 68)



Dla mnie spotkanie z wodą było zawsze dużym przeżyciem,
zwłaszcza tu w zetknięciu się z dziewiczą przyrodą. (s. 22)



nim następny i oba zapadły kawałek dalej. Wyżlica popatrzyła na mnie z niedowierzaniem. Nie mogła pojąć dlaczego nie strzelałem.

Naraz pies szybko przeskoczył kilka buraczanych redlin i znieruchomiał. Znów popatrzył na mnie i zginął w liściach. Wiedziałem już, że czołga się za wyciekającym stadkiem. Podbiegłem bliżej, potykając się z hałasem o wystające bulwy i omal nie upadłem.

Znów ukazał się jego wielki łeb, a z mokrych oczu widać było zdziwienie moimi nietaktownymi wyczynami i zachowaniem.

Kora znów zaczęła trząść się jak przedtem, a raptowny furkot skrzydeł podrywających się kuropatw był dla mnie paraliżujący. Pierwszą lewą kurę spudłowałem, druga w znacznej odległości jakby trafiła w niewidoczną ścianę i opadła z rozwichrzonymi skrzydłami.

W paru susach pies był przy niej. Niósł ją uroczyście, zataczając koło, ciągle na mnie zerkając czy aby doceniam jego zdolności. Specjalnie nadkładał drogi.

- No już dobrze – powiedziałem. - Dobry pies!

Przyszła. Oddała zdobycz. Dopiero kiedy ją podrapałem za uchem okazała zadowolenie.

Natychmiast odbiegła, gdy kolega strzelił dubleta. Pędziła co sił w miejsce upadku ptaków. Po chwili przyniosła mi jeszcze trzepoczącą się kurę.

- Ależ to nie moja - przekonywałem ją. - Zanieś do swego pana!

Pies patrzył na mnie wielkimi ślepiami z niedowierzaniem, ale zrozumiał swą pomyłkę. Nawoływany przez gospodarza pobiegł. Znów spod jego nóg wzbił się ku górze z furkotem stary, doświadczony kogut, odciągając naszą uwagę od startującego z lewa stadka. Kuropatwy mijały mnie, a kiedy weszły na linię strzału boczną z nich straciłem drugim nabojem. Kora przyniosła ją i oddała bez wahania. Pogłaskałem

ją po lśniącym łbie. Kurę zawiesiłem na trokach. To był już drugi mój ptak.

Z najwyższego ładu liści naraz jak z procy wyskoczył rogacz. Lichy widłaczek sadził wielkimi susami, ku zaskoczeniu i konsternacji psa. Po drodze spłoszył następne dwa stadka kur. Znalazły się poza zasięgiem strzałów. Kora była wyraźnie rozczarowana, że z taką łatwością wypuściliśmy tę zdobycz.

Przyglądając się jej myślałem, że miała coś z nawyków kłusownika.

Słońce już wzeszło wysoko, babie ciepło dogrzewało. Długie warkocze pajęczyn snuły się nad miedzami, połyskując srebrem w jesiennym słońcu.

Pomimo delikatnego wiaterek rozpinam koszulę, która już lepi się do ciała. Po tylu emocjach muszę się uspokoić, choć po lewej i prawej strome padają jeszcze strzały.

Jestem szczęśliwy, bo czuje na trokach ciężar kur i mimo, że moi koledzy mają ich więcej, cieszę się z tego polowania jak dziecko.

Kora miała zalany nos zimnym potem, coraz otrząsała z niego wielkie krople.

Kiedy rozładowuje strzelbę przed psem jeszcze podrywają się pojedyncze młódki. Suka bobruje wśród liści, zachęca nas do dalszego polowania.

Gospodarz gwizdże na wyżlicę. Mówi do niej, że już po raz drugi nie będziemy obchodzić tego pola.

Zmęczeni siadamy w cieniu polnej jabłoni. Zegarek nieubłaganie wskazuje godzinę szesnastą. Ze wsi dolatuje gwar dzieciaków grających w piłkę. Droga furmanki wiozą buraki do pobliskiej cukrowni.

Wkrótce skończą się buraczyska. Z opustoszałych pól płynie jakaś niewypowiedziana tęsknota za uchodzącym ciepłem, za głosami nawołujących się stadek kuropatw, za wyblakłym niebem na nadnoteckiej równinie i snującymi się pajęczynami babiego lata.

5. Odkrywanie przeszłości

Bardzo lubiłem polować w coraz to innych i nie zagospodarowanych rewirach, wśród starych drzew, na mokradłach, najchętniej zapomnianych przez wszystkich matecznikach i wertepach. Tam pejzaże, których jeszcze nie znałem, pragnąłem oglądać w różnych porach roku, o wschodzie i o zachodzie słońca, nasycić nimi wzrok i często utrwalić na kliszy, a czasem nawet zapisać przeżyte wrażenia. Stąd mój ekwipunek był stosunkowo ciężki i często utrudniał poruszanie.

Kiedy Klemens zaproponował mi uczestnictwo w polowaniu na kaczki na mokradłach obok Dziarnowa, niemal podskoczyłem z radości. Przecież tam zaraz po wojnie jeździliśmy na ryby. Było to wówczas wędkarskie Eldorado, łowiło się piękne okazy lina, szczupaka, a nawet karasie. Tam wykonałem pierwsze zdjęcia konkursowe do Wiadomości Wędkarskich.

Te nadnoteckie moczary musiały na mnie zrobić wielkie wrażenie, bo bez trudu z mej pamięci wydobyłem obrazy, które do dziś zapamiętałem.

Mokradła obfitowały w krzaki łóz, młode brzoźki, labirynt rowów i oczek wodnych, szczególnie trudno dostępny po wiosennych wylewach Noteci. Zapamiętałem, że na nic wówczas zdały się jakiegokolwiek buty, grzęzło się stale w błocie. Do wody można było dojść tylko po zbutwiałych okraglakach, z nich też najczęściej zbudowano kładki przez rowy.

Wydawało się, że czarna, błotna maź była tu zatopiona w

wodzie i tylko na jej obrzeżach rosły rachityczne trzciny, sitowie, wplątane w gałęzie wierzb. Czy te dzikie dawniej, pierwotne mokradła dotrwały do dzisiejszego dnia? Chciałem je teraz zobaczyć jak najszybciej, przypomnieć sobie i porównać te obrazy z tamtymi sprzed wielu lat.

Nazajutrz jeszcze przed zachodem słońca do samochodu wsadziliśmy czteroletnią wyżlicę Korę i pojechaliśmy do Zdzicha. Z nim skrótami dróg dotarliśmy nad wylewy Noteci pod Dziarnowem.

Jaskrawe promienie słońca już bledły i chowały się za zamglonym widnokregiem bagien. Złą widoczność potęgowały wypalane rżyska. Białe dymy z ognisk ciągnęły się długimi warkoczami i też ginęły w mokradłach.

Tereny te zawsze obfitowały w bażanty i kuropatwy, jednak ostatnio mówiono o wielkich stadach kaczek, które upodobały sobie wylewy Noteci.

Był tu drugi obwód Koła Łowieckiego „Diana”, o powierzchni ponad siedmiu tysięcy hektarów. Myśliwi z tego koła w ostatnich latach odstrzelili ponad dwieście bażantów i tyleż kaczek. Żyły na tym terenie sarny i lisy. Byłem pewien, że to polowanie będzie ciekawe i udane.

Po przejechaniu garbatego mostku Kora wyskoczyła z bagażnika. Kręcąc swym krótkim ogonkiem wyrażała zadowolenie. Podbiegała do każdego z nas, kładła się na buty, to znów lizała ręce, jakby chciała podziękować każdemu z osobna za to, że zabrano ją na polowanie.

Zdzichu poprowadził nas wśród pasa trzciny na z góry upatrzone stanowiska przy oczkach wodnych.

Moje miejsce wypadło nad dołkiem obrośniętym trzcinią, dającym możliwość maskowania swej obecności. Dołka, tego nie mogłem sobie przypomnieć z dawnych wypraw na ryby.

Nade mną falując przefrunął tabun czarnych szpaków. Szumem skrzydeł poderwał czapłę, która

przeleciała tuż obok

Gryzło mnie pytanie dlaczego ustawiono mnie na tak wąskim przesmyku, daleko od połyskującej tafli wody. Tuż za krzakami dostęp do niej był dziecinnie łatwy. Długo się nie zastanawiając postanowiłem się przenieść. Teraz rozpoznałem miejsce gdzie złowiłem przed laty ponad pięciokilogramowego szczupaka, który przyniósł mi tyle szczęścia i wzbudził wielką zazdrość kolegów.

Powoli zaczęło szarżeć. Pozostawiłem przydzieloną mi kładkę, a teraz miałem tego gorzko żałować. Stamtąd ciągle słychać był szum kaczych skrzydeł. Tu jednak też na brak zajęć nie mogłem narzekać.

Gdy przyroda na chwilę zastygła w bezruchu i nastała chwila ciszy, na wodzie przede mną ukazała się maleńka kacuszka. Kiedy mnie zobaczyła, zaczęła się wywracać - to na jeden, to na drugi bok, zakręcała kółeczka i spirale. Byłem tak zachwycony jej wyczynami, że przepuściłem dwie pewne, przelatujące nade mną krzyżówki. Tymczasem moja akrobatka oddalała się coraz bardziej, a kiedy uznała, że jest bezpieczna, strzepnęła krople wody z siebie i odleciała. Naraz cała chmara kaczek przeszła powietrze nade mną. Jednak wyhamowała swój lot nad stanowiskiem przydzielonym mi przez Zdzicha. Teraz dopiero odczułem boleśnie jaki błąd popełniłem. Bez chwili wahania powróciłem na stare miejsce, przy tym robiąc wiele hałasu i podrywając z wody pojedyncze kaczki. Jedną z nich pewnym strzałem strąciłem na wodę.

Koledzy też nie próżnowali. Nadlatujące kaczory z głośnym hukiem zatrzymywały się w powietrzu i z pluskiem uderzały o wodę.

Kora starała się wszystkie ptaki wyciągnąć, toteż stale buszowała po bagnie.

Naraz z prawego boku huknęły dwa strzały. Ze świstem śrut przeszył powietrze obok dwóch ociążałych kaczek. Po upewnieniu się, że lecą dalej całe i zdrowe, strzeliłem do

ostatniej z nich. Kaczka gwałtownie wyhamowała i wpadła w trzciny.



Teraz rozległ się huk z jednej i z drugiej strony, a na czystej tafli wody rosło coraz więcej czarnych kaczyc wysepek. Kora pływała nieustrudzenie po kolejne zdobycze.

Zmrok zapadał, ale nad moją głową powietrze przeszywały oszołomione kaczki stadka, jednak nie zdradzając chęci lądowania.

Wyszliśmy z trzin już przy światłach latarek - ubłoceni, zmęczeni, ale pełni wrażeń. Na filmie utrwaliłem nisko lecące nad trzcinami krzyżówki. Obraz ten wydawał mi się tak ciekawy, że uznałem go za najważniejsze trofeum wieczoru.

Kaczuszek mieliśmy sporo. Były niewielkie. Te wschodnie, thuste, ponoć przylatują dopiero późną jesienią.

Kiedy wsiadaliśmy do samochodu nad nami, już w zupełnej ciemności, krzycząc przeleciała zabłąkana czapla, a w dali odzywały się żurawie. Tak jak dawniej, w przeszłości.

6. *Kaczory i króliki*

Październikowy ranek wstawał wyjątkowo chłodny. Na horyzoncie za jeziorem Pakoskim jeszcze dymiły siniejące płaszczyzny mgieł, a po wyblakłym, nadnoteckim niebie wędrowały białe obłoki. Z pobliskiej wody wyczuwało się łagodny powiew wiatru, zapachy wilgoci i słysząc było niewyraźne odgłosy kaczego rejwachu.

Czwartkowe zaproszenie na kaczki, otrzymane od Tadeka z Nadnoteckiego Koła Łowieckiego w Pakości, przyjąłem z zadowoleniem, ale i z niedowierzaniem na sukces. Z rozmowy wynikało, że na jeziorze kaczek jest sporo, o czym miałem się przekonać właśnie teraz. Ptaki były jednak nieruchliwe i niedostępne, wypoczywały z dala od brzegów.

Łałowaliśmy się do samochodu i znaną dobrze drogą ruszyliśmy w stronę tamy, a za nią na tereny, którymi Tadek się opiekował, aby wzdłuż błękitniejącego za drzewami jeziora dotrzeć na sam jego brzeg.

Wydeptaną ścieżką weszliśmy w podmokłą łąkę. Buty grzęzły po kostki. Spokojną wodę obrzeża pokrywały gęsto uschłe gałęzie. Ich czarne ostrza kroiliły mleczne tafle wody, zamieniając je w fantastyczne mozaiki podobne do spękanego marmuru. Było to efektem działalności pobliskich zakładów sodowych.

Usiadłem na krzeselku pod krzakiem i na wszelki wypadek łałowalem czwórkami obie luty boka. Tadek powędrował dalej, aby zająć stanowisko na samym cyplu jeziora. Czekał chyba na przypadkowy przelot kaczek.

Naraz z głośnym furkotem skrzydeł usiadł obok wielki kogut i niczym paw defilował przede mną. Wskoczył na gałęzie. Spokojnie przyglądaliśmy się sobie. Schował głowę pod skrzydło i zamarł w bezruchu. Po chwili wyrwał ją gwałtownie i z hałasem odleciał. Nie przebrzmiał jeszcze jego furkot, gdy w to samo miejsce przyfrunął następny bażant, jeszcze większy i okazalszy, jak powiadają myśliwi, pięknie wyfarbowany. Podobnie jak jego poprzednik, tylko z jeszcze większym hałasem, odleciał przy okazji plosząc z łąki dwa kuligi.

Przedemną na środku jeziora ciągnął się kilkusetmetrowy kożuch, o czarnobrazowej barwie i trwał w bezruchu. Dopiero w szklach lornetki mogłem zobaczyć setki maleńkich, kaczych punkcików unoszących się na wodzie. Trwały tu tak codziennie, pewne swego bezpieczeństwa. Tylko późnym wieczorem i o świcie podpływały pod brzeg, znacząc tysiącami krzyżyków żółty nadbrzeżny piasek.

Kaczki startowały ze środka jeziora na pobliskie ścierniska i pola kukurydziane. Ich klucze szybowały tak wysoko, że niemal zawsze znajdowały się poza zasięgiem strzałów, a polowania z łodzi były tu zabronione.

Nasz dzisiejszy trud okazał się daremny. Tadek dawno wiedział o takim zachowaniu kaczek, ale chyba chciał mi pokazać swój obwód, zasobny nie tylko w kaczki, ale i bażanty oraz inne ptactwo wodne. Z czasem odniosłem wrażenie, że łowisko to było mocno przereklamowane, choć takiej ilości szkodników nie spotkałem gdzie indziej.

- Wieczorem pojedziemy w stronę zwięzającego się jeziora – oświadczył mój gospodarz. - Tam dawno temu w widłach Noteci wykopano wiele torfowisk. Dziś to wspaniałe miejsca bytowania wodnego ptactwa.

Droga wiodła wzdłuż stogów lnu i konopi, przez tereny tutejszej roszarni, wśród porozrzuconej słomy, sznurków i kamieni oraz dziesiątków nor dzikich królików. Łąka miejscami przypominała szwajcarski ser. Zwierzęta upodobały sobie ten

zasobny w karmę spichlerz. Dzięki temu stały się utrapieniem dla gospodarzy roszarni, przejeżdżających tędy pojazdów i przyczyna zagłady pobliskiego sosnowego młodnika.

Zatrzymaliśmy się nad niewielkim kanałem. Tuż za nim, w dole, rozciągał się bezkres trzcin, które przyciemniał zamglony, szarzejący horyzont. Razem weszliśmy w rozległą dolinę torfowisk, bagien i błota.

Wąska grobla nie dawała pod nogami stabilności – albo jedna albo druga noga zsuwała mi się z niej, topiąc się w czarnym błocie. Gdyby nie rosnąca tu brzoźka, dająca wzrokową stabilizację, chyba zrezygnowałbym z tego stanowiska. Po obu stronach grzędy miałem jednak wyśmienite pole obstrzału dla lądujących tu, według twierdzeń gospodarza, licznych stadek kaczek. Jakby na potwierdzenie prawdziwości tych słów zza wysokiej ściany trzcin i płynącej tam rzeki dochodziło ciągle nieustanne kwakanie.

Pierwszym jednak kluczem, który pojawił się nade mną, były gęsi. Leciały spokojnie wzdłuż rzeki na wschód, w stronę Gopła. Ich tajemniczy klangor odbijał się od wody i przyjemnie drażnił słuch.

Kiedy już zwątpiłem w kaczę zapady i trudno było rozpoznawać szczegóły krajobrazu, niespodziewanie nadleciał klucz krzyżówek i zapadł na przyległym torfowisku. Nim zdążyłem chwycić dubeltówkę ciężki kaczor wylądował tuż przy mnie, rozbryzgując wodę. Teraz, przygotowany do strzału, straciłem innego, który ukazał się nad trzcinami i zlotkowałem tego, który zerwał się do lotu. Pierwszy upadł tuż przy moim stanowisku, drugi nurkując znikł z powierzchni wody.

Gospodarz też strzelił kaczora.

– Zejdź, dzisiaj kaczki nie żerują. Myślę, że będzie lepiej z królikami, jeżeli się postarasz – powiedział.

Wróciliśmy do samochodu. Księżyc już wprawdzie pojawił się na niebie, ale niewiele można było dojrzeć wokół.

- Pojadę na zakręt drogi. Ty ukryj się za tym krzakiem, wiatr jest od łąki. Tylko się nie ruszaj! - usłyszałem od gospodarza wsiadającego do samochodu.

Nie wiem czy to staropolska gościnność Tadka, czy też chęć pochwalenia się mnogością zwierzyny w jego obwodzie przemawiała przez niego, ale jakoś nie wierzyłem temu zapewnieniu. Przecież kaczek też miały być tabuny! Ttak będzie chyba i z królikami?

Zgodnie z życzeniem usiadłem pod krzakiem, na kniejówkę założyłem lunetę jak na dziki i bacznie obserwowałem przyległą łąkę. Księżyc już zdążył rozjaśnić szczyty stogów, zrobiło się jaśniej, ale teren przede mną zdawał się być wymarły. Kiedy jednak pierwsze blaski rozświetliły pole, nagle wyboje i muldy na nim ożyły. Zdażyłem też dojrzeć w szklach lornetki ciemny punkcik odrywający się od stogu, który sznurował w moim kierunku.

Musiałem się poruszyć, a może to ten lisiura był przyczyną tego, że rozległ się głośny tupot dziesiątków króliczych łapek sygnalizujący niebezpieczeństwo. Później piskliwe tony popłynęły ze środka łąki i znów nastała cisza.



Króliki wróciły dopiero po paru minutach. Naliczyłem ich parę gromad. Punkciki z niewielkimi uszkami jak cienie

przesuwały się w blasku księżyca. Nagle znikwały i znów się pojawiały. Strzygły łąkę przeznaczoną dla wypasu owiec.

Porobiły dziury pod płotami, niemal zniszczyły sosnowy młodnik, wyciągały ze stogów wysuszoną słomę, robiąc wokół niesamowity bałagan. Ale przede wszystkim ta królikarnia ściagała tu dziesiątki drapieżników - lisów, kun, wałęsających psów i jastrzębi, które ogałacały pola z kuropatw, bażantów oraz niszczyły ptasie gniazda

Tadek opowiadał mi, że według starych zapisków i opowiadań dawniej na tym terenie królików nie było. Dopiero od lat pięćdziesiątych stały się istną plagą i zagarniają coraz to nowe tereny wzdłuż Noteci, aż po sam Wojdał.

Było już zupełnie jasno, a króliki dalej bardzo ruchliwe. W końcu nakryłem jednego czarnym krzyżem lunety. Łąką targnął huk wystrzału. Czyżbym nie trafił? W miejscu strzału stał dalej królik. Ponowny huk i łąka stała się pusta. Po godzinie wrócił Tadek. Obaj poszliśmy sprawdzić efekt polowania. Bez trudu odnalazłem dwa króliki o bardzo krótkich słuchach. Mój gospodarz nie zdecydował się na strzał, gdyż było zbyt ciemno.

Dwa kaczory i króliki to niespotykany rozkład. Tak mi się nigdy nie zdarzyło!

7. Podniebne klejnoty i św. Mikołaje

Kilka lat temu przebywałem w kanadyjskiej prowincji Ontario. Zostałem zaproszony przez zarząd Polskiego Klubu Myśliwskiego w Kanadzie na polowanie wigilijne na bażanty. Byłem bardzo ciekawy jak tamtejsi myśliwi, polujący najczęściej w rozległych puszczach na niedźwiedzie, łosie i wilki, radzą sobie z piórem. Polują przecież najczęściej z bronią gwintowaną, a więc z winchesterami i innymi szybkostrzelnymi sztucerami, a tu potrzebna jest dobra dubeltówka.

Polowanie wigilijne odbyło się na prywatnych terenach, porośniętych niskim sosnowym lasem, przez które przepływał podmokły strumień osłonięty olchą i obrośnięty trzcinami. Kompleks ten był przyjazną ostoją dla bytowania tych barwnych ptaków.

Dzisiaj mogę powiedzieć, że było to polowanie trochę udawane, bo na wcześniej zakupionych w farmie pięćdziesięciu bażantach. Po części też nie przypominało naszego, naturalnego polowania na te piękne ptaki. Wszystkich myśliwych obowiązywał dla bezpieczeństwa strój w kolorze oranż. Naraz więc na skraju zieleni tryskającego młodnika z bronią gotową do strzału stanęło prawie pięćdziesięciu świętych Mikołajów.

Hodowlane ptaki rwały się blisko i nie były chętne do lotu - ociężałe, przyjazne, nawet huk ich nie płoszył. Strzelano do wszystkiego co wyfrunęło, a więc także i kur. Jeżeli ptaka ktoś nie strzelił, to mógł go kupić bez przeszkód na miejscowej farmie.

Impreza była jednak nadzwyczaj sprawnie

zorganizowana, a odróżnienie świętego Mikołaja od równie barwnego klejnotu, jakim są tu bażanty, wcale nie było zbyt trudne. Ptaki podobnie ubarwione jak myśliwi, brały ich widocznie za swych większych przedstawicieli, bo prawie się nie bały.

Co innego nasze, krajowe bażanty mieszkające w nadrzecznych trzcinach i wierzbach rosnących nad jeziorem wzdłuż drogi Jankowo - Pakość, nad zachodnim brzegiem jeziora Janikowskiego, wsi Broniewice, Ostrowo czy Dobieszewiczki. Żyjące wokół wiosek Krzekatowo, czy nawet Radłowo, kiedyś pochodzące z hodowli wolierowej Nadnoteckiego Koła Łowieckiego w Pakości, już dawno się rozpieczętowały. Wytworzyły bardzo dziką, odporną na niedostatki odmianę. Chodząc po oziminach i łąkach były w stałej czujności przed zakusami lisów i groźnych jastrzębi. A ileż kundli polowało na nie za zgodą wiejskich chłopców? Tylko najsilniejsze i najbardziej zdrowe osobniki mogły w tych warunkach przetrwać. We wszystkich pokoleniach twarda selekcja przygotowywała je do trudów przeżycia. Stąd stawały się rzadką zdobyczą nawet dla najsprawniejszego strzelca. W tym kole do pióra strzela się niemal perfekcyjnie. Pomaga w tym znana w kraju strzelnica myśliwska w Łącku, na której myśliwi trenują skutecznie sprawność swego oka.

Ale i tu bażant napotkał na mistrzów. Mimo to coraz częściej można go spotkać na uprawach i łąkach. Ostatnio większość myśliwych zamienia broń śrutową na sztucery, bo w tym łowisku pojawiły się dziki i daniela, a nawet jelenie. Bażant przestał też być teraz tak atrakcyjnym ptakiem jak dawniej.

*

Z Tomaszem ukryłem się za krzakiem róży, tuż przy remizie, którą się opiekowałem. Za łąką ukwieconą kwiatem koniczyny połyskiwało srebrem jezioro. Z boku stały olchy i brzoźki, które oddzielał szemrzący strumyk od kępy wierzb. Nad nami rozdzwonił się skowronek, witając ciepły ranek.

Nagle z głośnym łomotem skrzydeł wylądował kogut na wąskim pasie koniczyny. Chwyciłem go w obiektyw. Podskoczył, znów zatrzepotał skrzydłami i krzykliwym głosem obwieścił swą obecność.

Naszej kryjówki nie odkrył, choć bacznie przyglądał się czatowni. Byliśmy szczęśliwi. W obiektywie aparatu wyglądał wspaniale. Chciałoby się go pogłaskać po granatowej szyi, przyglądzić krótkie wystające uszka.



Nie był sam. Niedaleko w zbożu wylądował z podobnym hałasem drugi samiec. Od razu ruszył w stronę remizy. Spotkanie obu rywali było iście zabawne. Obchodzili się wkoło, podnosząc pióra i ogon, wydawało się też, że rozmawiali. Trwało to chwilę nim obaj, na jakiś niewidoczny dla mnie znak, z wielkim szumem odlecieli.

Za nimi pozostała ukwiecona łąka i znów rozbrzmiewał doniosły głos skowronka. Łaskoczące ciepło płynęło znad powierzchni jeziora, a wraz z nim głosy nawoływania tych barwnych ptaków, które w dalekiej Kanadzie nazwano „podniebnymi klejnotami”.



NA POLACH I W LESIE

8. Wiosna na Skrzynce

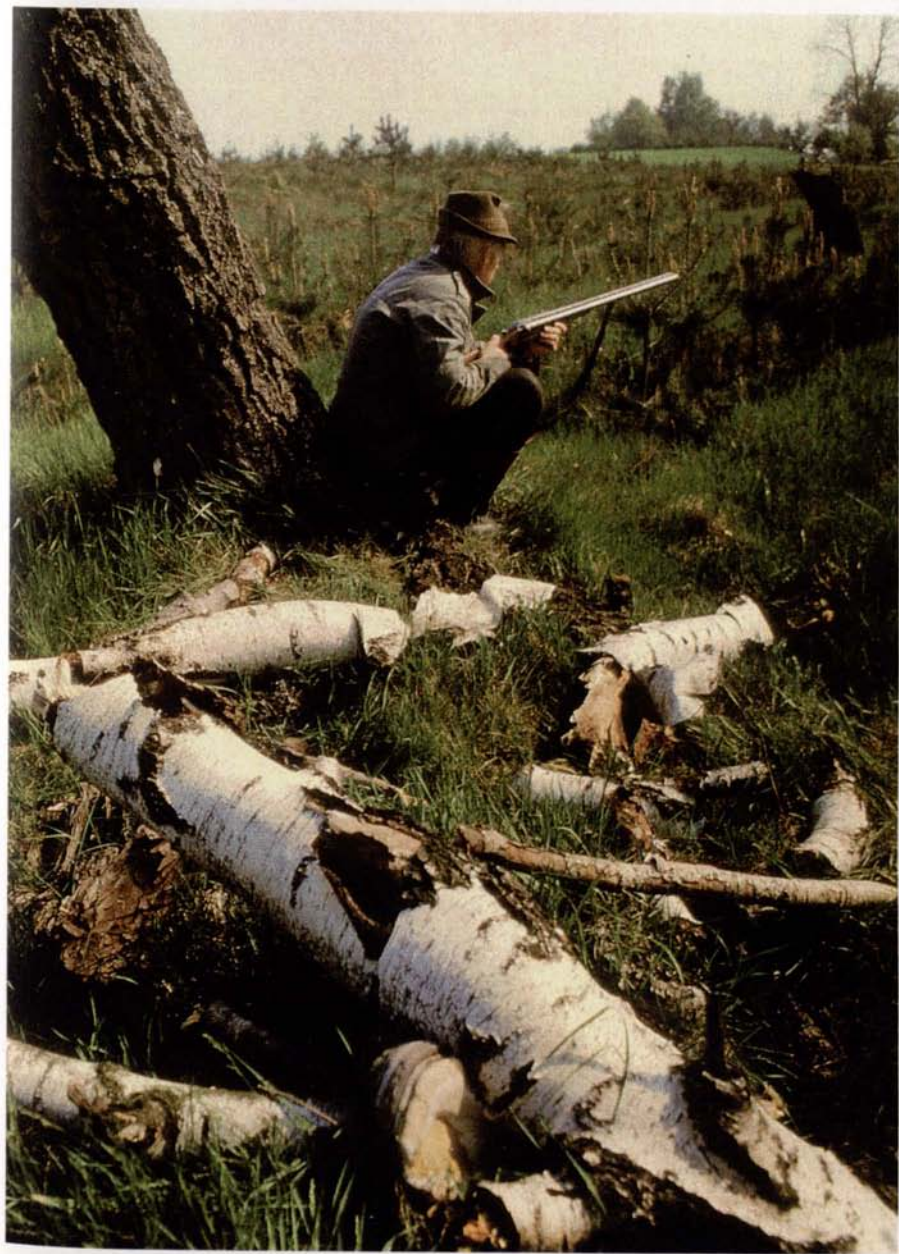
Upłynął kolejny rok oczekiwania na spełnienie marzeń o bezkrwawym polowaniu na czapłę siwą. Poprzednie lata były stracone. Brak słońca, deszcze i chybione terminy skutecznie uniemożliwiały wykonanie poprawnych fotografii w tutejszym rezerwacie czapli. A przecież zbliżał się następny doroczny międzynarodowy konkurs fotograficzny Łowca Polskiego, w którym wówczas namiętnie startowałem. Staralem się ambitnie podnosić poprzeczkę, aby dorównać, choć po części mistrzom fotografii przyrodniczo-łowieckiej.

Nadleśnictwo Miradz, ostrowskie lasy nieopodal Strzelna i znajomość z leśniczym Jerzym Hajkiem dawały nadzieję na spełnienie niektórych z tych marzeń.

Piękne tutejsze bory były uczą dla wielu ludzi kochających przyrodę, ciszę i czystą wodę. Okazy starych dębów, sosen i brekini miały gęste poszycie, które zapewniało bezpieczeństwo wielu zwierzętom, w tym jeleniom, sarnom i dzikom, a nawet łosiom. Było to szansą na zdobycie wartościowych fotograficznych trofeów.

Wielkie jezioro Ostrowskie, wkomponowane w panoramę sosnowych lasów, a miejscami dzikich oczeretów, było wylęgarnią ptactwa wodnego. Szereg krystalicznie czystych jeziorek zarastała rzadka roślinność. Stanowiła ona ostoję żurawi, czapli, jastrzębi, gęsi i niezliczonej ilości kaczek oraz nurów. Czasami pokazywał się też wielki orzeł-łamignat

Bujna przyroda jest pozostałością dawnych nadnoteckich praborów. Opowiadał mi leśniczy Jurek z



Bardzo lubiłem polować w coraz to innych rewirach, (s. 29)



Pilnie śledziłem stadka kuropaw. (s. 26)



Z głośnym łomotem skrzydeł wylądował kogut. (s. 40)

Przedborza, że te wielkie lasy pamiętają jeszcze polowania Władysława Łokietka i Władysława Jagiełły, którzy dość często gościli w Strzelnie.

Z jego leśniczówki jest tylko krok do wielkiego lasu i nad niewielkie jezioro nazwane Skrzynka. W ubiegłym sezonie bezskutecznie tu polowałem z teleobiektywem na czaple, ukryty w trzcinowym domku. W tym roku, zasobniejszy w doświadczenia i rady leśnika oraz przygotowany wcześniej schron, jak nigdy uwierzyłem w sukces.

Do leśniczówki Przedbórz prowadziła szutrowa droga, dawno zapomniana, polna, wyboista i mizerna. Kiedy skończyły się pola uprawne, na samym skraju sosnowego młodnika wyrastała stara, dziewiętnastowieczna chata ze stodołą. Ogrodzona drewnianym płotem ukrywała istny ogród polskiej fauny. Po podwórku chodziły dzikie gęsi, kaczki, dwa wielkie odyńce. Sójka i turkawka siadały na przemian leśniczemu na ramieniu. Ze szczytu stodoły, z wielkiego gniazda przyglądało się temu zwierzyńcowi z pięć boćków. Byłoby to wszystko zrozumiałe, gdyby nie to, że od strony lasu i mokradeł płotu nie było i zwierzęta te miały zupełnie wolny wybór. Mogły więc wybrać, czy lepiej bez wysiłku korzystać z karmnika w leśniczówce, czy też z niemałym trudem zdobywać pożywienie w lesie, lub na bagnach. Dlatego zwierzyna się tu często zmieniała. Kaczki lądowały wprost przy pełnym korycie, co denerwowało dziki, a te przeszkadzały znów gęsiom i łabędziom. Głośny rejwach słychać był na okragło.

Jurek przyjął mnie w „sowim pokoju”, również o wystroju puszczańskim, podobnie jak całe otoczenie. Siedliśmy na fotelach z łopat łosia, przy podobnym stole. Wielki pień dębu stał w narożniku izby. Pełen był skrytek i dziupli, z których wyglądały sowy, a czarny dzięcioł stukał w korę. Wnętrze jego kryło rogowe czary i kieliszki oprawione srebrem oraz róg tura pełen pitnego miodu.

Ściany izby zdobiła plejada znakomitych ptaków – był

orzeł, sowy, jastrzębie, na półkach stał żuraw, lis i zając palący fajkę. Żyrandol pod sufitem to istne cacko - płatanina rogów o wymyślnych kształtach.

W tej scenerii Jurek czuł się po prostu sobą. Miał sześćdziesiąt pięć lat i już nie polował. Był znanym na Pomorzu preparatorem zwierzyny. Napisał na ten temat spory podręcznik oparty na własnych doświadczeniach. Jego wszystkie prace cechowały trafne kształty i dobór środowiska, w którym je umiejscawiał. Były cenione przez muzea przyrodnicze i kolekcjonerów.



Leśniczy jednak stnowił przede wszystkim kopalnię wiedzy przyrodniczo-łowieckiej. Pod jego bacznym okiem udało mi się wykonać sporo wartościowych zdjęć zwierzyny i ptaków w ich naturalnym środowisku.

Nadchodził koniec maja. Brak wiatru, wyjątkowe ciepło i gorące promienie słońca zamieniły niewielkie jeziorko Skrzynka w ukwiecony nenufarami ogród wodnej roślinności, rozśpiewany rechotem żab, piskiem kurek wodnych, szczekaniem łysek, donośnym „gerr, krroaorr” perkoza i okrzykiem czapli.

Woda ta była pierwszym karmnikiem dla całej kolonii i czapli siwej, która mieściła się tuż za nim, w dwustuletnim

sosnowym borze.

Obfitowała w karasie i karpie. Dziesiątki różnobarwnych żab przyciągały ptasie drapieżniki, które liczyły na smaczny kąsek.

Jeziorko, położone przy asfaltowej drodze, na obrzeżach wielkiego lasu, pomiędzy Ostrowem i Gębicami, stało się magnesem do zatrzymywania się tu samochodów. Ludzie podziwiają ten wyjątkowy ptasi świat.

Moja czatownia była ukryta w kępie trzcin, naprzeciw zatopionych starych konarów sosny. Na nich to często siadywała cała plejada czapli polujących na ryby. Ukryty, od wczesnego ranka rejestrowałem co ciekawsze zdarzenia przez teleobiektyw. Tu nie można było się nudzić, zawsze coś ciekawego się działo.

Tego dnia o świcie jeziorko tonęło w delikatnej mgiełce. Było zupełnie spokojnie i tylko czasem plusk wody sygnalizował żerowanie ryb. Za to z przyległego czaplińca dochodziły niekończące się hałasy i kłótnie.

Przedemną w teleobiektywie ukazało się sześć czarnych kuleczek o odcieniu zielonkawym i niebieskim. Wyłynęły z trzcin i kierowały się na otwartą wodę. Naraz tuż obok rozległo się pokwikiwanie warchlaka. Czyżby tu obok mieszkali dziki? Znów burczenie, chrzkanie. Byłem zdezorientowany. Co to za zwierzyna się tak zachowuje? Zauważyłem jednak, że czarne kuleczki reagowały na te głosy i z powrotem ukryły się w szuwarach.

Kiedy się zupełnie rozjaśniło i pierwsze promienie słońca dosięgły powierzchni wody, obok pokazała się szybko biegnąca mała kureczka. Co chwilę zanurzała w błocie swój długi dziób i wyciągała jakiegoś owada. Nagle pokwikiwaniem przywołała do siebie swoje pisklęta i burcząc ukryła je w trzcinach.

O fotografowaniu nie mogło być mowy, bo ptak był tak ruchliwy, że tylko przez moment mogłem podziwiać jego niebieskobłęszyste barwy. O tym zdarzeniu i głosie ptaka

opowiedziałem leśniczemu, który bez wahania rozpoznał wodnika, skrytego, jak mówił, mieszkańca bagien, który nie daje się wypłoszyć i tylko cierpliwe czekanie przynosi sukces w jego obserwacji.

Po chwili na mej czatowni usiadł mały, szary ptaszek podobny do wróbla, tylko o długim, ostrym dziobie. Byłem przekonany, że wiedział o mojej obecności. Śpiewem zwracał na siebie uwagę, przy tym trzymał się gałązek w różnej, komicznej pozycji. Wydawało mi się, że się zupełnie nie bał. Chyba bronił tylko swego terytorium i chciał mnie ze schronu wykurzyć.

Naprzeciw, na wystającej z wody gałęzi, usiadła czapla. Schowała jedną nogę, opuściła dziób nad samą wodę i zamarła w bezruchu. Długo czekałem aż zmieni tą nieciekawą pozycję. Nagle chwyciła ukleję. Przycisnąłem migawkę aparatu - z hałasem odleciała.

Usiadł też tam gołąb grzywacz, ale jego bystry wzrok odkrył mnie szybko i razem z szumem migawki zerwał się do lotu.

Później długo nic się nie działo. Obok w szuwarach krzątała się para krzyżówek budująca swoje gniazdo. Czarna kureczka z czerwonym dziobem niczym amfibie wypływała z wody, przeganiała wrony przy jej gnieździe, a spłoszona uciekała. Trzepocząc odbijała się od wody.

Naraz zatrzęsło moim schronem. Jakieś wielkie ptaszysko z hałasem siadło na moim dachu, aż się przestraszyłem. Rozpoznało zagrożenie, znów zatrzęsło czatownią, porzuciło swoją zdobycz i odleciało. Obok mnie przez dziurawy dach do wnętrza wpadł zgniły zaskroniec.

Po chwili zrobił się taki fetor, że musiałem opuścić jeziorko.

9. Aleksy

Piękne rosną lasy przy drodze biegnącej do leśniczówki w Siedluchnie. Jesienią pełne są pastelowych kolorów brzoź, olch i dębów, pamiętających jeszcze dawne nadnoteckie puszcze Kujaw, a teraz zepchniętych na niedostępne nieużytki i bagna. Pomiedzy Strzelnem, Ostrowem a Gębicami lasy są zwarte, a ich panorama cieszy przybyszów, gdyż to wyjątek w bezleśnym krajobrazie Kujaw.

Dlatego powstają tutaj liczne bazy turystyczne. Przyjeżdżają miłośnicy przyrody, wędkarstwa i ciszy.

*

W Gębicach, w restauracji „U Bartka” jedliśmy obiad. Obok naszego stołu raczyli się piwem dwaj jegomoście. Swym głośnym zachowaniem zwracali na siebie uwagę. Barczysty, o czarnej czuprynie i sumiastych wąsach, bacznie mi się przyglądał. W końcu przeprosił i zapytał czy jego pamiętam. Odruchowo zaprzeczyłem.

- Jestem Michał – powiedział. - Pamięta mnie pan z Przedborza, jak na motorze przywiozłem z adiunktem dzika.

Lotem błyskawicy przypomniałem sobie te dawne przecież czasy, a Michał zaimponował mi spostrzegawczością.

- Wówczas udało mi się podprowadzić pana pod żurawia na bagnie – dodał.

Uściskaliśmy się serdecznie i dawny znajomy przysiadł się do nas.

- No i co powiodło się panu w tej fotografii? - rozpoczął

rozmowę. - Jak wiele się tu zmieniło! Odszedł z Przedborza leśniczy, tej zwierzyny już tam nie ma, tylko pozostał ten sam krajobraz. Teraz rządzą młodzi. To nie to co dawniej! Jeżeli dalej pstryka pan te zdjęcia, to musi koniecznie odwiedzić Siedluchnę, leśnicówkę przy drodze, tuż za białym kamieniem. Tamtejszy leśniczy chodzi po lesie z okazałym dzikiem Aleksym.

Podziękowałem, pożegnaliśmy się serdecznie. Michał kończył pracę w Mogileńskich Fabrykach Mebli w Gębicach i czekał na emeryturę. Stąd, jak mówił, teraz ma więcej czasu i lubi dobre piwo „U Bartka”. Inaczej byśmy się nie spotkali.

Aleksy mieszkał w betonowej budzie psa. Przed nią, niczym bobrowe żeremie, widniała góra gałęzi znoszonych tu przez dzika. Trudno było mu wyperswadować ten dziwny nawyk. Z każdej przechadzki po lesie wracał z kijem w pysku.

Dzik był przyjaźnie usposobiony do ludzi i otoczenia, stąd go zatrzymano w leśnicówce, ale kiedy bliżej go poznano pokazał swoje rogi. Nie tolerował żadnej konkurencji. Dorastając coraz bardziej buchtował podwórko, ogród a nawet drogę. Stał się utrapieniem gospodarzy, ale odejść nijak nie chciał.

Pierwszym zajęciem gajowego z rana było wyrównywanie rowów i pobuchtowanej nocą drogi prowadzącej do kancelarii. Naprawa płotów chroniących ogród przysparzała też wiele kłopotów. Psom również dzik narzucił swoją dominację.

Prawdopodobnie pochodził od lochy, która tu mieszkała parę lat wstecz i była pupilkiem rodziny leśniczego. Po kilku latach obcowania z ludźmi jesienią pożegnała zagrodę i wróciła do lasu. Widywano ją jeszcze kilkakrotnie obok leśnicówki, gdzie na śniegu pod płotem odcisnęła swoje rapcie. Przyglądała się drwalom ścinającym w lesie drzewa. Jednak po roku zupełnie przestano się nią interesować.

Pod koniec zimy jamnik leśniczego przez całą noc oszczeniwał jakieś zwierzę w pobliżu. Próbowano go uspokoić, ale skakał na płot. W końcu gajowy przyniósł z lasu przemarzniętego warchlaka, ledwo trzymającego się na nogach.

Wszyscy, kto tylko mieszkał w leśniczówce, chcieli uratować malucha. Dawano mu w butelce mleko od kozy, kiedy słabł nawet polopirynę. Dwa tygodnie przeleżał na skórze pod piecem zanim wstał na swoje wątłe nogi. Nie dawano mu długiego żywota, ale kiedy jamniczka zaczęła sypiać obok niego, w dzika wstąpiło jakby nowe życie. Wszyscy się cieszyli. Nazwano go Aleksy, od imienia gajowego, który przyniósł go z lasu, niechybnie ratując mu życie.

Kiedy zrobiło się cieplej, warchlak dostał swoje miejsce w szopie. Był jednak ambitny. Wybrał dla siebie betonowy domek psa i swą upartością konsekwentnie go z niego wydziedziczył. Dobrze karmiony szybko przybierał na wadze. Już kilka razy opuścił zagrodę, przebywał w lesie, ale jeszcze się nie zdarzyło, żeby nad ranem nie wrócił do swej budy.

Za swą przyjaźń z ludźmi był sownie nagradzany cukierkami, ciastkami, karmiony kukurydzą przez leśniczego. Roznosił ją po podwórku, a nadmiar ukrywał, zakopując w ziemi. Z czasem podwórko i łąka wokół leśniczówki przypominały zaorane pole.

Ważył ze czterdzieści kilogramów, był dobrze zapowiadającym się pojedynkiem, gamratem, nazywanym też często, ze względu na upodobania, błociarzem. Tej jesieni miał długie, czarne wełniste pióra. Podenerwowany podnosił je do góry. Wówczas stawał się o wiele większy niż był w rzeczywistości. Jego białe, trójkątne szable były wyjątkowo duże, choć częściowo spiłowane ciągłym kłapaniem przy złym humorze.

-Nie wiem czy uda ci się jego sfotografować, bo to już wielu próbowało i bez powodzenia - powiedział leśniczy.

Tak było i teraz. Kiedy dzik przebiegał drogę szybko podniosłem aparat. Wpadł z furją do młodnika. Pobiegłem za nim, zaszył się w gąszczu i pokwikiwał. Przywołany przez leśniczego przybiegł, ale ciągle mnie obserwował. Kiedy tylko

skierowałem obiektyw w jego stronę wpadał w wściekłość, a raz nawet mnie dobrze przestraszył. Kiedy ujrzałem go w wizjerze aparatu, całą siłą swych mięśni pędził na mnie. Szarżując uderzył w moje nogi. Omal się nie wywróciłem i gdyby nie jamnik leśniczego, który wskoczył na niego z tyłu, jego gwizd sięgnąłby obiektywu. Leśniczy szybko zorientował się w jego wrogich zamiarach wobec mnie i poprosił o schowanie kamery, obiecując, że zdjęcia zrobimy później.

Aleksy uspokoił się teraz zupełnie. Nawet pozwalał się podrapać za uchem. Nie zrobiłem żadnego zdjęcia, ale liczyłem na następne wyjście z dzikiem do lasu.

Siedzieliśmy na ganku leśniczówki przy kawie. Tutaj dowiedziałem się, że właściwie to Aleksy nie ma zdjęć, nie licząc tych, kiedy był warchlaczkim. Leśniczy mówił, że nie znosi lornetek, kamer i lunet i to dzięki myśliwym. Słuchałem tych opowieści o Aleksym z niedowierzaniem.

- Otóż - opowiadał leśniczy - zimą przyjeżdżali myśliwi na polowanie zbiorowe. Przywozili ze sobą całą sforę foxterierów. Szczuli nimi dzika, celując przy sposobności w niego sztucerami, a może i robili zdjęcia, udając sceny z polowania w lesie. Pogryziony Aleksy te spotkania dobrze sobie zapamiętał. Wiedział, że kiedy skierowany zostanie w jego stronę błyszczący obiektyw, nieważne czy kamery, czy lunety na broni, on zostanie pogryziony przez psy. A to wiązało się z bólem. Był ambitny, nikomu nie pozwolił się do siebie z tymi przyrządami zbliżyć. Zrezygnowałem i ja, patrząc na modre ślepie dzika.

Na pamiątkę leśniczy dał mi fotografię sprzed roku, ale Aleksy na niej wyglądał całkiem inaczej.

10. Biała zjaw

Zanim zrobiło się o nim głośno przemierzał bagienne okolice i śródleśne łąki w lasach Miradzkich. Na żer wychodził po ciemku, razem z dzikami, do swych leży wracał skoro świt. Tym dziwnym postępowaniem różnił się zasadniczo od swoich współbraci, bagiennych rogaczy. W nocy, o księżycu, jego jasna barwa zlewała się szarością i czernią i nie interesowała zupełnie myśliwych polujących na dziki. Biały rogacz o tym wiedział i tak postępując chronił swą skórę i zgięte ku dołowi parostki selekta przez wiele sezonów.



Wyrwany gwałtownie przez grzybiarzy ze swego leża, znikał tak szybko jak tylko umiał, pozostawiając po sobie smugę białej mgły i przykre skojarzenia najczęściej przestraszonych osób. Niektórzy widzieli w tym zjawisku nieszczęście, inni białą

damę hulającą po lesie, jeszcze inni ostrzeżenie przed odwiedzaniem tej części borów. Tej jesieni spotkania z nim były jednak częstsze, a zalegające mgły podwajały i wyolbrzymiały jego wielkość i ludzką wyobraźnię.

*

W jesienny, zamglony poranek kupowałem pieczywo w parterowym sklepiku na skrzyżowaniu dróg z Ostrowa do Przyjezierza. Sprzedawczyni widząc, że jestem przyjezdny zagadnęła mnie czy z tym wielkim koszem wybieram się na grzyby. Sezon turystyczny się kończył, prócz mnie w sklepiku nie było innych osób. Domyśliłem się, że kobieta chce sobie po prostu porozmawiać.

- Przyjechałem na zaproszenie tutejszego leśniczego - odpowiedziałem, zaspakajając jej ciekawość. - Będziemy sąsiadami, mieszkam obok drewnianego wiatraka.

Pani Bożena nabrała do mnie zaufania, bo opisała mi las, gdzie rosną dorodne rydze.

- Drugie takie miejsce - dodała - znajduje się daleko stąd, bo aż we Wronowach. To, o którym opowiedziałam, jest blisko, w lesie naprzeciw wsi Kopce. Niech jednak pan tam sam nie jedzie! Wieczorami straszy jakaś biała dama, na pewno leśniczy to potwierdzi.

Wcześniej od Janusza wiedziałem, że w tych lasach stoi obelisk ku czci mieszkańców Strzelna, którzy zginęli tu w roku 1939 z rąk hitlerowców. Ale o białej, straszącej damie pierwszy raz się dowiedziałem.

- Jak pan nie chce, niech nie wierzy - mówiła dalej sklepowa. - W ubiegłym roku opowiadano mi o podobnym przypadku spotkania z białą zjawą na mokradłach pobliskiego Bielska. Nie uwierzyłam dopóki na własnej skórze nie doświadczyłam tego spotkania. Szłam parę dni temu, sama przez las o zmroku, kiedy naraz z pomiędzy drzew powiało chłodem, a później biała postać bezszelestnie znikła w gąszczach.

Odchodząc podziękowałem pani Bożenie i dodałem, że

chyba to było urojenie. Nie obrażała się. Życzyła mi tylko abym nie był takim niedowiarkiem.

- Można w to nie wierzyć - usłyszałem od gospodyni leśniczego - jednak od trzech lat jest o tym coraz głośniejsze. Jeżeli w lesie za plecami poczujesz gwałtowny chłód, to niechybny znak spotkania z białą zjawą. Przecież znikąd to się nie bierze! Doświadczyło tego już wielu zbieraczy jagód, żurawin i grzybów. W lasach pod Kopcami, czy Cienciskiem, kobiety nie spotkasz. Kiedy wróci leśniczy, to panu więcej na ten temat opowie.

Janusz do leśniczówki przyszedł późno. Ponoć nawalił mu motocykl i musiał go prowadzić.

- Darz Bór! Szybko minął ten czas jak żeśmy się widzieli ostatnio - powiedział podając mi rękę. - Coraz więcej pracy, coraz mniej ludzi, wszystko na moich barkach, ale to już taki los leśników! Jeszcze na dodatek rozpocząłem budowę własnego domu. Czy to trochę nie za dużo na jednego człowieka?

- Poczekaście jeszcze parę minut - poprosiła żona gospodarza. - Podgrzeję dziczyznę i podam obiad.

Wkrótce zapachy majeranku i pieczeni przenikały do kancelarii, drażniły moje podniebienie i potęgowały łaknienie.

Nieśmiało zapytałem Janusza o białą zjawę na Kopcach. Uśmiechnął się.

- To ty już o tym zdążyłeś się dowiedzieć? Gratuluję! Muszę ci powiedzieć, że w tamtym lesie mam teraz spokój. Przynajmniej przestał tam chodzić ten cały tabun grzybiarzy! Ale jeżeli ciebie zjawą również interesuje, to proszę bardzo. Na pewno ją spotkasz i to nie tak daleko stąd, bo zobaczysz ze stojącej nad rowem ambony, na której siedziałeś wiosną. Zjawą znalazła tam zupełny spokój, przenosząc się z Kopców. Wcześniej jeszcze widywano ją na mokradłach Bielska, lecz stamtąd ją też wykurzono. Zapowiedziałem już wszystkim myśliwym, że jeżeli którykolwiek z nich strzeli do tego białego rogarza, to będzie jego koniec z polowaniami w tym rejonie. Ten

albinos jest tak ostrożny, że trudno go przechytrzyć, ale tobie zdradzę miejsce jego żerowania i dam szansę na mej ambonie. Może ci się uda go sfotografować? Ja go tam dwa dni temu spotkałem. Przebywał wśród wyschniętych łącin na kartoflisku. Wszyscy wiedzą, że jest tam moja ambona i nikt nie ma prawa tam siadać. A co do rogacza, to jest on wyjątkowo piękny, o śnieżnobiałej sukni. Dotąd nie widziałem nic podobnego w życiu! Wszyscy go oszczędzają, przypisują mu nadzwyczajną moc, a niektórzy nawet widzieli pomiędzy jego parostkami krzyż. Pamiętasz, obok Przedborza chodziła łaciata sarna, ale gdzież jej tam do tego albinosa!

Zachęcony przez leśniczego odwiedziłem ambonę. Góra jej przypominała duży kosz z wikliny. Stała na skraju wysokiego lasu, za głośno szemrzącym strumykiem, naprzeciw kartofliska. Przesiedziałem na niej trzy wieczory, aż po zupełne ciemności, obserwując w dziesięciokrotnej lornetce i teleobiektywie wszystko co tam się działo.

Pole codziennie pod wieczór było oblegane przez wychodzące z lasu zające. Po nich wychodziła sarna z dwojgiem koźłat. Bacznie obserwowała mnie, łapiąc wrogi zapach. Później jeszcze buszowały w uschniętych łącinach dwie czerwone plamy. Młode rogacze próbowały walczyć ze sobą. Robiły tyle hałasu, że sprowadziły na kartoflisko najpierw lisa, później wielką sowę.

Nie wierzyłem już w spotkanie z białą zjawą. Zachęcony przez leśniczego do cierpliwości jeszcze jedno popołudnie postanowiłem spędzić w tej czatowni.

Spotkanie z sarnami znów się powtórzyło, a kiedy miałem schodzić z ambony od strony lasu coś zaszeleściło i pękło parę uschniętych gałązek. Powiało chłodem i niespodziewanie przed sobą zobaczyłem jego - wspaniałego „białego rogacza” o obwisłych parostkach, jakby zaczesanych na lewą stronę. Stał tak blisko ambony, że ułamek sekundy wahania wystarczył, aby głośno szczekając ponownie wpadł do lasu.

W moim ręku pozostał aparat i tylko zapamiętana wirtualna jego fotografia na tle brązowym od uschłych łęt kartofliska.

*

W następnym roku zupełnie przypadkowo przejeżdżałem obok leśniczówki Janusza. Nie wypadało mi nie wstąpić i nie zapytać o tegoroczne plany i zimowe sukcesy łowieckie. Leśniczego zastałem w dobrym humorze. Nim jednak się przywitaliśmy, już z daleka krzyknął:

Jest „biała zjawa” na polu za strumykiem! Dopiero co go tam spotkałem!

Rzuciłem wszystko co miałem w ręku, tylko aparat z teleobiektywem dyndał na mym ramieniu. Na pamięć pobiegłem i zdyszany jak alpinista pośpiesznie wdrapałem się na ambonę.

Z przerzutu, niczym rewolwerowiec, podniosłem aparat. Jedno, drugie zdjęcie i na polu pozostały tylko kłęby kurzu i biała smuga. Sprawdziłem jeszcze, ale zjawy już nie było, tylko zimny chłód poczułem na spoconym czole.

Rogacz jakże teraz był niepodobny do tamtego, z jesiennego spotkania. Była wiosna a on dopiero nakładał nowe poroże i przyodziewał się w nową suknię. Pozostał jednak w nim dawny, ognisty temperament i niespotykana ostrożność.

Jeszcze przez wiele lat dla jednych był postrachem, a dla innych ozdobą Miradzkich lasów.

11. Bliźniaki

Z całej watahy, która tej nocy żerowała pod dębami w Gębickim lesie, do przygotowanego wcześniej barłogu powrócili tylko bliźniacy. Doświadczyli w swoim życiu już wiele nieszczęść, okaleczeń, utracenia bliskich, ale żeby naraz z całej pięcioosobowej grupy pozostali tylko sami, tego nijak nie umieli zrozumieć.

Cudem chyba tylko uratowali się z niedzielnego polowania, zorganizowanego przez tutejsze koło. Odbijając w stronę bagien, w najbardziej słaby punkt skąd ruszyła naganka, skorzystali z wcześniej zdobytego doświadczenia i praktyki stosowanej przez matkę. Ona, doświadczona samura, nauczyła ich tak postępować, a kiedy w umówionym miejscu nie spotkali swych towarzyszy, wyczuwali, że stało się nieszczęście. Zapach ludzi w lesie, huk, ujadanie psów, przez długi czas jeszcze targał ich zmysłami.

Locha zawsze bezbłędnie wyprowadzała ich z obławy, tak też i teraz znany im polny rowem opuścili wrogi las ratując życie. Jednemu z nich kula wycięła jednak chyb na grzbiecie, a nawet zwała go z nóg. Kiedy się podniósł, naganiacz głośno krzychał: „podcięty”, ale się szybko opamiętał i zdążył ujść cało. Jego brat bliźniak miał lepszy węch, wzrok i nerwy, toteż bez trudu ominął naganiacza i przeczekał groźną chwilę pod obwisłą choiną. Potem nagle odrzucając za siebie gałęzie wypadł jak burza, siejąc popłoch i zamęt wśród naganki. Wówczas to zauważono, że był bez ucha i wyraźnie odróżniał się od swego brata.

Obaj ubiegłej jesieni stracili matkę - starą, wielce doświadczoną, która inteligencją przewyższała wszystkie dziki w Miradzkich lasach. Ona to pierwsza odkryła bezpieczne kryjówki i rowy na moczarach, bagnach i podmokłych łąkach Bielska, na rozległych terenach od rzeki Kwieciszewki aż po jezioro Wilczyńskie. Te wertepy stały się ich stałym, bezpiecznym matecznikiem.

Ojcem bliźniąt był też nie byle kto, bo zwycięzca wielu pojedynków, podczas których składał dowody swej krewkości w walce ze starszymi od siebie odyńcami. Gamrat ten miał głębokie cięcia i trwałe blizny, a przez swą rycerskość żadnych wrogów. Był inteligentny, umiał porozumiewać się co do taktyki postępowania w czasie niebezpieczeństwa. Umiał też błyskawicznie ocenić sytuację, informować swych towarzyszy o możliwościach bezpiecznego opuszczenia zagrożonego rewiru, czym zyskał sobie względy i uznanie całej watahy.

Wszystkie te cechy przekazał bliźniakom zanim ubiegłej jesieni po rui, mocno pokaleczony przez młodszego rywala, przeniósł się na dalekie oparzeliska i słuch o nim zaginął.

Bliźniaki, karmione przez całe lato jajami z gniazd i bagiennymi ziołami, wyrosły na mocarnych odyńców. W czasie ubiegłej huczki stały się rozhukanymi potworami, zwycięzcami niemal wszystkich turniejów. Stąd ich szczeciny były pocięte, z wielką ilością zagojonych ran pokrytych błotem. Nigdy na żer nie wychodzili razem, zawsze na zmianę jeden pilnował i ostrzegał drugiego.

Miejscowy leśniczy wiedział o obu dzikach, jednak ustalenie miejsca ich barłogów było niezmiernie trudne. O księżycu na rzysku spotykał zawsze tylko jednego, a po tropach stwierdzał obecność dwóch. Było to dla niego niemałą zagadką.

Właściwie obecność dzików w lesie radowała go bardzo. Przecież przez dłuższy okres las był pusty. Wcześniej nigdzie nie znajdował barłogów, a nawet tropów. W tym roku,

w końcu sierpnia, odkrył na skraju pola dużego odyńca, który zniknął z jego oczu jak kamfora.

Nie dawało mu to spokoju, toteż po załatwieniu służbowych spraw w kancelarii leśniczówki pojechał sprawdzić to nagłe pojawienie się dzika. Jakież było jego zdziwienie, kiedy odkrył dwa duże tropy prowadzące na bagna. Dalej naliczył jeszcze trzy inne. Tego dnia był zadowolony. Robota paliła mu się w rękach, podśpiewywał sobie, jednym słowem miał dobry humor. Zauważono to szybko, nawet mówiono, że z leśniczego to fajny facet.

Odstrzał na dzika nosił w kieszeni od wiosny, a żadnego nie spotkał. Była więc teraz okazja. Zanim rozpoczną się zbiorowe polowania przynajmniej jednego z tej watahy, bez uszczerbku dla stada, będzie mógł odbić. W jego myślach miał to być dzik nie większy niż pięćdziesiąt kilogramów, bo na takiego miał pozwolenie.

W czasie kilku księżycowych nocy na skraju pola ciągle widywał tego samego dużego osobnika. Przypuszczał, że była to locha, którą powinien on, gospodarz tego lasu, oszczędzić. Niepokoiła go dwuznaczność większej ilości tropów. Przy pomocy robotników leśnych w ciągu dwóch dni wybudował w szczerym polu ambonę. Stała pomiędzy bagnami, a lasem, dziwiła wszystkich. Stała na terenie zdradzającym do niej podejście. Leśniczy wierzył teraz, że spotka dziczą watahę i żmudnie przesiadywał na niej, jednak bez skutku.

Nagle, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki ukazał się na środku pola duży dzik. Żerował z piętnaście minut i znikł. Znow po chwili pojawił się w tym samym miejscu. Było to bardzo dziwne, z czym leśniczy nie spotykał się w wieloletniej praktyce.

Nadszedł październik. W czasie zbiorowego polowania w lesie Gębickim była niesamowita palba. Niemal każdy z myśliwych strzelał do dzika. Twierdzono, że leżało ich sporo, jednak na linię wyciągnięto tylko trzy sztuki, a jeden z nich

miał ze dwieście funtów. Reszta to przelatki.

Smutek i żalność zapanowała w leśniczówce. Wierzono, że dzików w lesie nie będzie, tak jak przedtem.

Kiedy na przełomie listopada zjawiłem się u leśniczego, z wielką goryczą opowiedział mi całą historię i bardzo żałował, że sprzątnięto mu przed nosem z takim trudem odkryte dziki. Nie mógł sobie wybaczyć czasu i poświęcenia, które włożył dla spotkania z nimi i w budowę nowej ambony.

- Dopiero teraz, po tych zdarzeniach, mam odstrzał na odyńca. Wieczorem możemy zasiąść na tej ambonie, abyś się tu nie nudził - powiedział. - Jestem prawie pewien, że dzików nie ma, ale posiedzimy razem i zobaczymy. Bagno to może skrywać jeszcze niejedną niespodziankę!

Obaj weszliśmy do wnętrza ambony. Zabranego ze sobą jamnika leśniczy ułożył pod ławką na kocu, pogłaskał i nastała zupełna cisza.

Przede mną roztaczał się szerokim półkolem sosnowy las, na skraju osłonięty olchami. Obok biegła polna droga ku bezkresnym łąkom, używana chyba tylko w czasie sianokosów. Panował wieczorny bezruch, zupełna cisza. Słońce zniżyło się do horyzontu, niebo zaróżowiło. Od ziemi coraz bardziej powiewało chłodem i wydawało się, że czas stanął w miejscu. Dopiero po godzinie w przyziemnej mgiełce ukazał się dzik. W lornetce wyglądał okazale. Żerował spokojnie, jednak w znacznej odległości od nas, bo pomiędzy belkami lunety mieścił się w całości. Powoli przybliżał się do nas. Leśniczy spokojnie wprowadził do komory sztucera nabój i po chwili potworny huk targnął amboną. Nawet nie zauważyłem, kiedy zwierz zniknął nam z pola widzenia. Mój gospodarz nie pozwolił zejść. Uspokoił zdenerwowanego jamnika i dalej obserwowaliśmy pole. Nagle znowu go zobaczyliśmy.

Teraz już sztucerowy huk wydał mi się o wiele cichszy i wyraźnie usłyszałem kłapnięcie kuli w gęste futro zwierza. Dzik wyrzucił się na miejscu. Serdecznie pogratulowałem

przyjacielowi. Był szczęśliwy i zadowolony. Ścisnął mnie jak byśmy się z rok nie widzieli. Nawet schowany w kocu piesek wydawał jakieś radosne dźwięki. Też wyczuwał sukces swego pana.

Podeszliśmy pod dzika. Już nie żył. Jamnik go obwąchał i nerwowo biegał wokół. Naraz leśniczy krzyknął:

- To przecież „podcięty”, to ten któremu kiedyś kula zerwała hyb! No bratku, już więcej do ciebie nie będą celował!

Tak byliśmy zajęci dzikiem, że nie zauważyliśmy, kiedy jamnik opuścił to miejsce i naraz głośno oszczekiwał w bagiennym rowie. Próbowaliśmy go odwieść od takiego zachowania, przypuszczając, że spotkał tam pizmowca lub jeża. On jednak nie dawał za wygraną.

Leśniczy ponownie załadował sztucer i świecąc latarkami poszliśmy w jego kierunku. Jakież było nasze zdziwienie, kiedy ujrzeliśmy czarną, kudłatą plamę, a na niej jamnika.

- To dzik - wyszeptał drżącym głosem leśniczy.

Zwierz już nie żył. Był takiej samej wielkości jak ten „podcięty”. Leśniczy podniósł jego ciężki łeb i oniemiał z wrażenia.

- To „jednouchy” - wyszeptał. - Gdyby się nie pilnowali to jeden z nich na pewno by żył. Przychodząc sprawdzić co robi jego braciszek, sam stracił życie. A byłem przekonany, że strzelam do tego samego dzika. Nie będzie już bliźniaków w moim lesie. Podzielili obaj ten sam los. Praktykowali od lat skuteczne pilnowanie i ostrzeganie jeden drugiego. Tylko ciekawość wyprowadziła brata z ukrycia na pole i tam już pozostali razem, przed swoim matecznikiem na mokradłach Bielska, gdzie szczęśliwie przeżyli tyle lat.



NA SKRAJU PUSZCZY

12. Myśliwski domek w Dąbkach

Ranek wstawał chłodny i mglisty. Zdawało się, że za chwilę rozpada się na dobre, jeszcze przed wjazdem na wrocławską autostradę. Kiedy to było - lat temu dwadzieścia, może jeszcze dawniej lub nigdy?

- Uważaj jak jedziesz! Nie myślisz co robisz! Patrz przed siebie, na drogę, a nie błąkaj się z myślami! Rozumiem ciebie, że nie ta pogoda i data ciągnie w takim dniu myśliwych do lasu, ale tam najpierw trzeba dojechać! Nie ciśnij tak mocno na gaz!

Delikatny głos Renatki ostrzegał i nie pozwalał teraz przeżywać starych, dobrych wspomnień.

Nie słuchałem, bo jak można było, kiedy za oknami purpura, szafran i śniedź zabarwiała jesienny las. Ten widok ścisnął za serce, łapał pod gardłem.

Miałem pragnienie wylania z siebie wszystkich wspomnień i przeżyć, które w tym jesiennym pejzażu wracały jak bumerang, czy barwny film. Gwałtownie mijało zmęczenie, powracała bystrość umysłu i chęć przeżywania tamtego Huberta sprzed lat.

- Przysięgam, że będę jechał spokojnie, jeżeli wysłuchasz moich dawnych wspomnień o debiucie myśliwskim w Borach Bydgoskich - zaproponowałem.

Dziewczyna na znak zgody kiwnęła głową. Wołała wybrać spokojną i bezpieczną jazdę.

Trzeciego listopada, w dniu świętego Huberta, postawiono mnie na wąskiej liniije obok Franka, w oddziale 28. Stałem tam

długo i spokojnie. Czas płynął przeraźliwie wolno. Już martwiłem się, że zaraz wyjdzie naganka. Po chwili jednak na wprost zaczęły ruszać się sosenki. Jakiś wielki zwierz przesuwał się w moim kierunku, był coraz bliżej i bliżej, aż ręce mi drżały z nerwów, a sztucer mocno parzył w dłonie. Naraz jak ogromny głaz smolista, kudłata kula dzika niespodziewanie wyjechała z młodnika. Błyskawicznie strzeliłem. Zdawało mi się, że dobrze. Jeżeli nie wyjdzie dalej na przecinkę, to został! Krew burzyła się we mnie ze szczęścia, jakie przynosiła mi Diana. Zupełna cisza panowała jednak tylko przez chwilę i znów jak przedtem rozdzielały się czubki młodnika, ale coraz dalej ode mnie. Przez wąski dukt dzik przeskoczył z wysiłkiem. Nie zdążyłem poprawić.

- Nie podgrzewaj starych wspomnień i nie napalaj się - powiedziała dziewczyna. - Jeszcze nic nie wiadomo. Zaproszenie to nie wszystko. Tego dzika już tam nie ma i może nie ma też jemu podobnych.

Niezrażony kontynuowałem swoją opowieść.

Byłem pewien trafienia, a jednak odynieć poszedł. Franek, mój sąsiad, doświadczony myśliwy, bez trudu znalazł ścinę i darń wyrwaną rapciami przy strzale i w końcu czerwone jagody farby.

- Popatrz, leży czarny niedźwiedź - usłyszałem jego głos pełen napięcia.

Wówczas to ugięły się pode mną nogi, emocje wzrosły do zenitu. Był to mój pierwszy wielki dzik w Borach Bydgoskich.

Zapamiętałem to polowanie. Śniło mi się latami i ciągle krążyło w mych myślach. Dlatego tak chętnie jadę do Zdżicha, Franka, Klemensa, i Edmunda, bo za nimi kryje się wielka Bydgoska Puszcza i zielony łąn lasów sosnowych pomiędzy Gniewkowem, Suchatówką i Osiekiem, zapamiętanych z przedwojennych obozów harcerskich, czy pobytu w restauracji

wujka Dębskiego na skraju puszczy.

*

Pomimo, że chwilowo nie padało, ulice były mokre. Łowczy koła już czekał przed swym domem. Był uśmiechnięty i zadowolony. Minęło już tyle lat, a my mieliśmy ciągle te same tematy do omówienia i przeżycia, choć teraz nasze głowy przyprószyła już siwizna.

- Franka zabierzemy po drodze - poinformował. - Domek przy leśniczówce w Dąbkach mamy zarezerwowany na parę dni.

Bardzo się ucieszyłem z obecności Franka, gdyż wcześniej zadziwił mnie swym myśliwskim rzemiosłem i talentem, opowiadaniem, znajomością historii łowiectwa na tym terenie. Teraz jednak zdziwiłem się bardzo, kiedy zobaczyłem go stojącego obok fury ekwipunku, który potrzebny by był raczej traperowi wybierającemu się do puszczy, a nie myśliwemu.

Mogę zapytać, gdzie ty się wybierasz? Po co te śpiwory, koce, lampy, gary, torby i plecaki?

Widzisz - odrzekł stanowczo i z zadowoleniem - będę mieszkał w starej leśniczówce z czerwonej cegły, chłodnej, bo wybudowanej jeszcze w ubiegłym stuleciu. Tam spać to co innego niż w ogrzewanym hotelu. Wy będziecie mieć ciepłe pomieszczenia, bieżącą wodę i telewizor. To nie dla mnie. To już nie pasuje do moich łowieckich przyzwyczajęń. Do tej mojej kwatery mam ogromny sentyment. W dawnych czasach ta leśniczówka była świadkiem mych wielkich sukcesów i teraz mam ją zdradzić? O nie! Przecież w jej murach święciłem wielkie triumfy, stąd wychodziłem budować pałniki, dokarmiać zwierzynę i do dzisiejszego dnia czuję tam jeszcze zapach prochu, dziczej wątróbki z grzybkami i mam jak żywo w pamięci urodziwą leśniczanekę! Z tych okien widywałem jelenie, a o księżycu nawet dziki, ale przede wszystkim rośnie tam ogromny las. To nie samo co staw przed domkiem Diany! Zresztą nie wypada. Przysięgłem leśniczemu Wieśkowi, że już tradycyjnie



Nagle zza sosny wyszedł dziesiątak. Jeleń nie uwierzył w to spotkanie. (s. 75)



Na polu pozostały tylko kłęby kurzu i biała smuga. (s. 55)



Król Bydgoskiej puszczy okazał się odstrzałowym dziesiątakiem. (s. 86)

będę mieszkał w leśniczówce. Muszę jednak przyznać, że cieszę się z tej naszej nowej inwestycji, naszego myśliwskiego domku. Każdy z nas poświęcił wiele własnego czasu i środków by urodziwa Diana mogła go ozdabiać. Do starej leśniczówki stąd nie tak daleko, domek ma też swoje walory - stoi nieopodal naturalnego bagniska, porośniętego trzcinami i olchami. Słychać tam od samego rana rechotanie żab, a teraz jesienią można oglądać kaczki sady.

Jeszcze przed paru laty nikomu z nas nie śniło się, aby przecież niebogate koło „Robotnik” mogło umieć taki ogrzewany domek, z bieżącą wodą i światłem, położony na skraju puszczy.

Będziesz się wkrótce mógł przekonać jacy jesteśmy pracownicy, podobnie jak nasi poprzednicy.

Diana przyjęła nas godnie. Nad lasem przygasały resztki purpurowego nieba i coraz wyraźniej na zachodzie rysowały się zębate korony sosen. Zamiast szukać kwatery, która miała być przez wiele dni moim domem, wciśnięto mi w rękę książkę gości, w której musiałem odnotować swoją obecność, a po niej kronikę koła, połówką ze starości, z rozsypującymi się kartkami. Wiele z nich pochodziło jeszcze z czasów zakładania koła. Trudne były do odczytania, ale na pewno interesujące. Zawierały rysunki i zdjęcia z leśnych wypraw w Bory Bydgoskie. Wówczas fotografujący mieli jakiś przemożny stosunek do swego domku, bo niemal wszyscy uwieczniali się z nim, a raczej z Dianą, na wielu fotografiach. Nawet jak trofea były mizerne - zwykły szaraczek, czy licha kózka, zdjęcie na tle Bogini Łowów robiło wrażenie.

Nie mogłem się oderwać od tej lektury. Były nazwiska ośmiu założycieli, dokumenty z pozyskiwanych terenów i obwodów, listy z ciągle wzrastającą liczbą myśliwych, podania o członkostwo z grodu Kopernika i z grodu znad Brdy. Całe strzępy zapisanych stron i wycinków z gazet. Już miałem zostawić tę pasjonującą literaturę, kiedy w ręce wpadła mi porwana karta,

która niebawem chyba trafiłaby do kosza. Na niej z trudem, ale odczytałem fragment wiersza, jakże pasującego do tego pejzażu, do tego lasu, stawu i ciszy.

„We mgle tuli się staw.

Cisza jest taka, że aż w uszach dzwoni,

Nawet się zdaje, że przystanął czas.

Słońce przed nocą w cieniu czoło kłoni,

Czy szeptu gwiazd tak słucha las?”

Wszyscy już poszli spać. Przede mną był nowy dzień,
nowe spotkanie z Puszcą Bydgoską.

13. W królestwie Diany

W świat zaklęty piękna i czarów łowieckich wprowadzili mnie koledzy - wspomina nestor koła Diana, prawie siedemdziesięcioletni Franek. - Wśród rozkwieconych wrzósów, gotyckich wieżyc niebosiężnych świerków Gór Olbrzymich, jak wówczas nazywano Karkonosze, gołoborzy i strzelistych turni doznałem pierwszych dreszczyków emocji myśliwskich, które w mej pamięci pozostały do dnia dzisiejszego.

Służba na granicy polsko - czeskiej zaraz po wojnie była ciężka i odpowiedzialna. Tam jednak, pod Hałą Szrenicką i przy wodospadzie Kamieńczyka, po raz pierwszy usłyszałem miłosny koncert jelenich godów, później tokowania głuszców i cietrzewi. Pod Chojnikiem i Jagniątkowem miałem okazję spotkać barany górskie, zwane muflonami, sprowadzone z Korsyki i Sardynii. Piękne krajobrazy i przyroda zrobiły wówczas na mnie ogromne wrażenie.

Jeszcze przed wojną, jako mały chłopiec, kibicowałem strzelającym do tarczy i rzutków na zawodach myśliwskich w Mątwach. Po powrocie na rodzinne Kujawy już łatwo było mi zdecydować się czym będę zajmował się po pracy. Dalej moją edukacją łowiecką pokierowała Bogini Łowów, najpierw w kole „Robotnik”. Kiedy stała się jego patronką, podjąłem się jej wiernie służyć.

W wigilię św. Huberta siedziałem z Frankiem na werandzie domku myśliwskiego w Dąbkach. Była tam też pani Basia, Zdzichu i Hubert, który tej nocy przyjechał i szykował się na jutrzejsze, uroczyste polowanie.

Z samego rana jakby ktoś chciał zobaczyć przez okno

„psią pogodę”, to tylko musiał odsunąć zasłonę. Gnane wściekłym wichrem chmury zalewały falami deszczu szyby i dudniły po okiennicach. Gdyby nie taka aura, dawno siedzielibyśmy w lesie. Zdzichu denerwował się i mruczał pod nosem niezadowolony.

Wciśnięty w wygodny fotel bez pośpiechu, dowoli mogłem słuchać wspomnień mego przyjaciela, podziwiać wyblakłe fotografie i pożółkłe strony kroniki koła i osobiste zapiski Franka.

Bory tu są przeogromne, zwarte sosnowe lasy, a wśród nich świetliste polany, turkusowe uprawy na żółtych wydmach i piaskach. Nie uświadczysz świerka, buka czy modrzewia, za to świeże młodniki porasta trawa ostra jak brzytwę, dlatego biada śmiałkom, którzy dla wypędzenia odyńca, nieświadomi zagrożenia, zapuszczają się w te chaszcze. Żyły tam jednak kapitalne byki, wielkie dziki, a czasem nawet po obrzeżach Puszczy Bydgoskiej wędrowały łosie.

Diana na frontonie myśliwskiego domku wyglądała imponująco. Była naturalnej wielkości, a swą powabną nagością robiła iście pogańskie wrażenie.

Dlaczego została patronką koła, trudno dziś było Frankowi powiedzieć.

- Myślę - mówił - że właśnie ją wybrano, bo jest najdawniejszą opiekunką łowów, narodzin, a nawet księżycą. Czy do tych lasów nie pasuje, kiedy miejscami jej kultu były dawniej świetliste gaje w królestwie Italii takie, jakich jest wiele w naszym leśnym obwodzie? Tam kapłani zajmowali się leczeniem chorych, korzystając z miejscowych źródeł leczniczych. Nasze miasto „na soli” - Inowrocław, jest również uzdrowiskiem. Są tu tężnie, sanatoria, a myśliwi chyba mają pierwszeństwo do tej najdawniejszej patronki łowów. Jesteśmy z niej dumni. Choć jutro zapolujemy pod znakiem św. Huberta, to szczęście rozdawać w tym lesie będzie Diana.

Franek zdmuchnął kurz ze starej teczki, rozwiązał ją, a

zawartość wysypał na stół. Mówił, że już od wielu lat do niej nie zaglądał, bo trzymał ją na szafie w starej leśniczówce. Na werandzie zapachniało myszami, na stole zażółciło się od starych wycinków z gazet i notatek, a próchno z papieru lepiło się do rąk. Wiele tych zapisków było sprzed wojny, postrzępionych, zawilgoconych obrazków i rysunków, mapek i wykresów, nie mających nic wspólnego z przyrodą, czy łowiectwem. Jednak wśród nich znalazłem treści związane z Puszczą Bydgoską i organizacją łowiectwa na terenach pradoliny Noteci, nazwiska wyjątkowych ludzi, którzy przyczynili się do rozwoju kujawsko-pomorskiego łowiectwa.

W Nadleśnictwie Lutówko polował dawno temu kanclerz Bismarck, później prezydent Ignacy Mościcki, a po wojnie premier Jaroszewicz. Pobyt prezydenta II Rzeczypospolitej pamięta się tu do dnia dzisiejszego. Zawsze na Wielkanoc i Boże Narodzenie obdarowywał prezentami dzieci z miejscowych szkół.

Polowania były wówczas emocjonalne, prowadzone z uroczystą oprawą, często myśliwi osłonięci byli koszami.

W tych borach polował również autor „Puszczy” oraz „Sobola i Panny” - Józef Weisenhoff. To on właśnie w roku 1926 założył sto w Bydgoszczy stowarzyszenie mające na celu racjonalne uprawianie łowiectwa. Został też pierwszym prezesem Bydgoskiego Towarzystwa Łowieckiego, które wówczas liczyło blisko sto członków.

Innym wielkim myśliwym na tych terenach był literat, artysta-malarz i fotografik Włodzimierz Korsak. Pod koniec swego życia mieszkał u córki w Żninie. Tutejsi myśliwi są wielce dumni z obecności tak wielkiego pisarza na tej ziemi. Jest on między innymi autorem: „Roku Myśliwego”, „Venatora” i „Pieśni puszczy”.

Na zaszczytnych kartach tutejszego łowiectwa znajdują się też: nestor polskich myśliwych Herman Knothe, dr Paweł Łukowicz, wybitny publicysta Władysław Zabillo, związany z

redakcją Łowca Polskiego.

- W naszym kole – opowiadał Franek - już od samego początku zaznaczył się duch organizacji łowieckiej powstałej jeszcze przed wojną, w południowej dzielnicy miasta. Tam w 1919 roku dwudziestu oficerów batalionu Toruńskiego Pułku Strzelców i mieszkańcy Mątew założyli Kujawskie Koło Łowieckie. Po wielu wzlotach, upadkach i perturbacjach przetrwało ono do dnia dzisiejszego. Właśnie na jego doświadczeniach i wzorach opierały się potem wszystkie niemal nowe koła. O tym pierwszym mówią w samych superlatywach Pomorskie Biuletyny Łowieckie. Jako jedno z pierwszych zostało uhonorowane „Złomem”.

Dla Franka i innych myśliwych z Koła Diana nieosiągalnym wzorem prawego myśliwego i „sokolego oka” są Florian Zamiar z Mątew i Jan Zieliński z Łojewa.

Franek demonstracyjnie na potwierdzenie swoich słów, wyciągnął parę stron ze starego biuletynu łowieckiego gdzie widniał krótki wiersz, dedykowany straży łowieckiej.

- Chcesz to posłuchaj. Jest ciekawy.

Potwierdziłem kiwnięciem głowy. Zadowolony przybliżył do oczu okulary i werandę napełnił jego uroczysty, nabożny głos.

„Święty Hubercie pozdrawiam was!

Ciche niech będą pola i lasy

Wolne od kłusownika...

Odtąd zwierzynie niech będzie lżej,

Dzielnie chronionej w ostojach jej

Od pętli i od wnyka...”

- Proszę panów gawędziarzy, na stole stoi kawa, my idziemy do lasu - kobiecy, stanowczy głos wyrwał mnie z zadumy.

Spojrzałem za okno. Poprzez dziurawe chmury przeświecał błękit nieba. Kawę wypilem niemal jednym haustem.

Zostawiliśmy na stole ten papierowy bałagan i wkrótce byłem gotów do drogi. Mój przyjaciel właściwie był stale w

mundurze. Sztucer i lornetkę przewiesił przez ramię, parę nabołów w kieszeni to - cały jego ekwipunek.

Jechaliśmy piaskową drogą w stronę żelaznego paśnika. Mineliśmy stary zrąb, później wypalony las. Kiedy zachodzące słońce wyrzało zza chmur i położyło ścianę dębowego lasu, byliśmy na miejscu.

Ledwo zdążyłem usiąść na ambonie, zawieszanej wysoko pod okapem sosnowego parasola, a już na zrąb wyszły trzy łanie. W lornetce szybko okazało się, że łania prowadziła dwa bliźniaki. Długo je obserwowałem. Ocenilem, że ostatni był o wiele mniejszy i słabszy, który może tej zimy nie przeżyć. W kieszeni miałem odstrzał na jednego. Podniosłem broń do twarzy, długo nie mogłem się zdecydować i przycisnąć palcem spust. Naraz łania jakby wyczuła moje intencje i skacząc zasłoniła malucha. Jeszcze przez chwilę ją podziwiałem, a kiedy przestałem obserwować, zadowolona opuściła swe dziecko.

To nie do wiary! Już drugi raz nie odważyłem się na podniesienie do oka strzelby!

Naraz mój przyjaciel błysnął z dołu latarką. Gdyby nie to światło długo bym jeszcze tkwił w tej podniebnej czatowni.

Słońce już dawno się schowało za lasem, cienie zmatowiały i szara mgła powoli przykrywała zrąb.

Mimo braku sukcesu w dobrym nastroju wracałem do naszej bazy, podziwiając instynkt samozachowawczy łani.

14. Dar jesiennej kniei

Upchany po brzegi san pojękiwał i chwiał się na boki pod ciężarem myśliwych. Wydawało się, że za chwilę wywróci się lub, co najmniej, zahaczy o któreś ze stojących przy drodze drzew.

Piaskowa, leśna droga, pokryta głębokimi koleinami, wymagała od samochodu potwornego wysiłku, a od kierowcy istnej żonglerki. Mimo tłoku i niewygody panowała atmosfera odświętna, pełna humoru i oczekiwania na ważne wydarzenia.

Jechaliśmy kiepską drogą obok jeziora Starego, poprzez Suche Piaski, na wydmowe i bagienne wertepy oddziału 122 pod Zajezierzem.

Na miejscu zbiórki już zastaliśmy grupę naganiaczy. Po uroczystym powitaniu i odprawie łowczy przypomniał o bezpieczeństwie i wyznaczył pierwsze stanowisko.

Moje z numerem siedem przypadło przy drodze, nad piaskową, głęboką dolinką, obok rozwichrzonej sosny.

Ucichły już wszelkie głosy, ranek wstawał chłodny i spokojny. Siwy nalot szronów razem z pajęczynami okrywał sosenki i chaszcze w dolince i dalej, aż pod czarną wstęgę lasu. Przyległe łąki i mokradła tego ranka wydawały się senne. Cisza panowała tak głęboka wokoło, że w pewnej chwili za sobą usłyszałem cmoknięcie małej myszki.

Nagle spod odległego lasu poprzez zagony chłopskich pól, łąki i wertepy rozległ się dźwięczny głos sygnałówki, a potem ruszyła z hałasem czarna tyraliera naganiaczy. Łomot kołatek, parę głuchych strzałów i znów nastała głęboka cisza.

Na wąską linijkę piasku nagle wybiegł prawie czerwony lisek i zmierzał wprost na moje stanowisko. Huk wystrzału z mojej lewej strony zatrzymał go. Mimo dużej odległości spokojnie podniosłem moją kniejówkę, przyłożyłem do policzka i czekałem. Rudy spryciarz czekając ruszył ponownie. Jednak już omijał pnie, chował się, na chwilę pokazywał. Któryś już raz nie zdecydowałem się przycisnąć spustu, bo swym zachowaniem wzbudzał we mnie coraz większe emocje, niemal podobne do tych, jakich doznawałem polując na dziki.

Mykita był tu pospolity, a mnie to jego zachowanie wydawało się wyjątkowe. Przy kolejnym omijaniu pniaka razem z hukiem pozostał na żółtym piasku. Szybko wymienilem nabój i dalej czekałem na następny dar Diany. Niespodziewanie wąską, piaskową dróżką, chyba ze szybkością błyskawicy, przeskoczyły dwa przelatki. Złamałem strzelbę i w miejsce śrutu włożyłem brenekę. Równocześnie przed sobą zobaczyłem rudego rabusia. Wyrósł przede mną jak spod ziemi. Stał nieruchomo przez dłuższą chwilę, jakby naigrywając się ze mnie. Wystarczyło jednak, że ponownie wymienilem kule na śrut, żeby gwałtownie wskoczył w młodnik.

Ta wymiana ładunku na śrutowy spowodowała, że dwa dziki omal nie przedelfowały obok mego stanowiska. Mimo spóźnionego strzału uszły nawet nie draśnięte. Emocje spowodowane nagłym ukazaniem się dzików, a wcześniej lisa, przyjąłem z goryczą i niedowierzaniem.

Kiedy niespodziewanie zza pniaka wypadł stary gach, po strzale jak pług zarył w żółtym piachu. Moje emocje wzrosły jeszcze bardziej, kiedy odkryłem, że mój rudy Mykita wstał. Pokazał się na chwilę, kiedy czekałem na spotkanie z dzikami, a w lufach miałem tylko kulę. Zatem zdrów i cało uszedł chytry lisiura w las.

Zabrzmiął sygnał trąbki. Podszedł do mnie kolega z lewa i gratulował.

- Nie strzelał pan do dzika? – spytał. - Pan wolał lisa?

Może i racja! Tu dzików nikt się nie spodziewał, zresztą tradycyjnie polujemy na zające i lisy.

Podniosłem wielkiego kota. Byłem pewien, że był to lis. Co miałem powiedzieć? Byłem szczęśliwy.

Kolega się jednak uszczypliwie uśmiechnął i dodał:

- Już niejeden stojąc na tym stanowisku spudłował tego przecherę. Myślę, że nie jest pan pierwszym, ani ostatnim.

Pozostajemy na tych samych stanowiskach, tylko odwracamy się o sto osiemdziesiąt stopni. Naganka teraz będzie pędzić trzciny i grunty wsi Suchatówka i Buczkowo, obok oddziału sto czterdziestego.

Już z daleka okrzyki i gwizdy słychać zza lasu. Ruszyła naganka. Przede mną stał pokryty żółtymi brzoškami i płataniną kolczastych zarośli ugór i tylko z boku był kawałek wolnej przestrzeni. Po prawej stronie stały dwie stare sosny, z których eteryczny zapach mile drażnił nos. Mój napięty wzrok i słuch wychwycił jakiś słaby szelest, a intuicja kazała stać w pogotowiu.

Przede mną na pewno coś się działo. Próbowałem przesunąć się parę kroków - to w lewo, to w prawo, ale gęszcz zazdrośnie strzegł swej tajemnicy.

Wczoraj nieprzespana noc, dziś emocje związane z Hubertowskim polowaniem - wszystko to wpłynęło na koncentrację i zmysły. Widzi się wówczas i wyobraża to co się chce, a nie rzeczywistość. Nawyk ciągłego czuwania mam od dawna, kiedy haniebnie kilku dzikom pozwoliłem bezkarnie przeskakiwać linię.

Od lat, dzięki fotografowaniu przyrody w jej naturalnym środowisku, nabrałem nawyku, który nie sprawdzał się w myślistwie. Musiałem najpierw zwierzynę zobaczyć, potem wybrać najkorzystniejsze tło, a następnie przycisnąć spust aparatu. Takie postępowanie było konieczne do uzyskania wartościowej fotografii.

Teraz było pusto. Aparat mógł więc wisieć spokojnie

obok. Nagle zza sosny wyszedł dziesiątak. Jeleń sam nie uwierzył w to spotkanie. Kiedy jednak opuściłem kniejówkę i chwyciłem za aparat, jak rażony piorunem przeskoczył obok, obsypując mnie piaskiem wyrwanym spod kopyt.



Przez moment widok miałem przepyszny: pomiędzy dwoma sosnami on, władca Bydgoskich Borów, przyszłościowy byczek, na tle złotych, jesiennych listków brzošek. Był dla mnie największym tego dnia „jesiennym darem kniei”.

Na chwilę z wrażenia niezdecydowany przysiadłem na krześle. Jeszcze przez chwilę widziałem w oczach sylwetkę zwierza, kiedy obok posznurował lis. Wpadł prosto na stanowisko sąsiada. Huk wystrzału był chyba końcem jego drogi w tej kniei.

Swą kniejówkę oparłem o pień, chwyciłem mego „nikona” z myślą o spotkaniu z następną okazją. Lecz takie spotkania zdarzają się bardzo rzadko.

Teraz zza drzewami pokazał się kicający zając. A niech żyje! Zanim skierowałem obiektyw siadł słupka i odwrócił w stronę zbliżającej się naganki. Po co mi taki odwrócony plecami szarak? Czekam i czekam by przycisnąć tylko spust, ale on nie rozumie, że mu nic nie grozi. Ręce mi już ścierpły, a on trwa i trwa w tej samej pozycji. Przycisnąłem spust, a on jak z procy wyskoczył i zgiął mi z oczu. Znów odłożyłem kamerę, ale chyba za wcześnie. Zanim chwyciłem kniejówkę, stary lisiura na moment ukazał się w miejscu gdzie wcześniej był zając. Chyba ze

złości strzeliłem, bo podniósł kity i pomachał wpadając w gąszcze.

Sąsiad też go przegapił. Lisiura przeskoczył drogę i wpadł w młodnik. Z daleka słychać było gęstą strzelaninę, potem blaszanym dźwiękiem roznosił się głos sygnalówki, obwieszczający koniec pędzenia.

Było już dobrze po obiedzie, kiedy ułożono pokot. Na rozkładzie znalazło się sześć zajęcy i jeden lis. On okazał się największym trofeum polowania Hubertowskiego.

Moim jednak był zapamiętany obraz władcy tej kniei, w jesiennym pejzażu pod Zajezierzem.

Jelenia widzieli niemal wszyscy myśliwi stojący na linii. Nie bał się ich zupełnie, był przyszłościowym bykiem, objętym całoroczną ochroną. Odważnie defilował skrajem ugoru, jakby naigrywając się ze strzelców. Jego też najbardziej zapamiętano i w powrotnej drodze najchętniej o nim rozmawiano.



MYŚLIWSKIE EMOCJE

15. Władca pogorzeliska

Mój przyjaciel miał myślistwo w genach. Polował jego dziadek, ojciec był mistrzem w strzelaniu do pióra. On jednak pokochał sztucer i już od wielu lat tylko polowanie na grubego zwierzka.

W ciągu dnia zachowywał się ślamazarnie, źle widział, nie miał przyjaciół, był smętkiem. Za to pod wieczór wstępowała w niego jakaś wielka energia. Otwierał szeroko swoje źrenice, chodził podminowany jakby chciał coś wielkiego dokonać. Miał już na koncie niejednego okazałego odyńca, a na ścianie w domu oręż nieosiągalną dla innych myśliwych. Jego pokój zdobiły też medalowe wieńce byków, wyglądem przypominające ogromne, drabiniaste trofea, stanowiące pożądanie każdego nemroda.

Ponoć swym zachowaniem w czasie jelenich godów był utrapieniem dla rodziny. Wówczas głośno mawiano, że pomylił mu się dzień z nocą, tak jak często zdarza się to u niemowląt.

Huberta poznałem w starej leśniczówce, kiedy przyjechał na rykowisko. Miał odstrzał na byka. Był kompanem z klasą, znającym się jak mało kto na rzemiośle łowieckim, dlatego wokół niego stale kręciło się wielu myśliwych. Szczególnie był pomocny przy tropieniu dzików, czy też rozpoznaniu wieku ryczących jeleni.

Teraz i mnie przypadło z nim polować, w czasie tego rykowiska w Bydgoskich Borach. Był to czysty przypadek. Jego przyjaciel musiał na jeden dzień opuścić leśniczówkę i wyjechać z lasu. Miałem więc ogromną szansę!

A byki już od kilku dni ryczały. Tego wieczoru swojej

nieobecności w lesie Hubert by chyba nie przeżył.

Zmieniłem swoje wcześniejsze plany i dołączyłem do jego wyprawy.

Od samego początku łąpałem się na tym, że on robił wszystko lepiej ode mnie. Bezbłędnie zza okna samochodu rozpoznawał na piaskowej drodze tropy dzicze i jelenie, ogryzione drzewka, czy pobielone pnie przez zwierzynę.

Gwałtownie wyhamowywał samochód, bacznie przyglądał się widocznemu na piasku kierunkowi marszu zwierzyny. Mruczał coś pod nosem, a następnie określał godzinę i oddział do którego zwierzyna padała.

Chodził bezszelestnie, nie męczył się wcale, pomimo swoich stu kilogramów wagi. Pod jego butami nie złamała się żadna gałązka, ani jeden patyk. Nawet kiedy prowadził samochód wydawało się, że płynie po tym kopnym piasku, który tłumi szum opon.

Jechaliśmy na obrzeże lasu pod Jurancice, na bagienne odludzie oddziału 33 - go, gdzie na styku z sąsiednimi polami stały drewniane ambony. Jelenie i dziki wychodziły tu na buraczyska i wyłożone, porośnięte zbożem pola. Znaleźliśmy wyraźne natropienia, wielkiego byka, a obok całej dziczej watahy.

- Będziesz miał chłopie szczęście – powiedział mój towarzysz. - Leśniczy z Dąbek już od roku opowiada mi o nieuchwytnym selekcie, byku, który zawsze umiał go przechytrzyć i to pomimo wielu godzin spędzonych na tej uratowanej od ognia ścianie lasu. Tam była jego ostoja i różnił się od młodzieży tym, że miał czarne i grube wieńce, z białymi końcówkami w koronach. Był selektem, dobrym odstrzałowym dziesiątakiem.

Tym swoim zachęcającym tonem Hubert starał się mnie podbudować i chyba mu się to udało, bo doznałem nagłego dopływu energii i chciałem być jak najszybciej na ambonie.

- Szanse będziemy mieli równe – dodał - gdyż będę siedział obok, ale wierz mi, że on swoich wieńców tak łatwo nie

odda.

Za sosnowym młodnikiem roztaczał się widok na stumetrowej szerokości haliznę wypalonego lasu. Naprzeciw niego stała ambona, chyba tylko cudem uratowana od pożaru.

Pośpiesznie wskoczyłem na drabinę i pięłem się po szczeblach do jej wnętrza. Hubert pojechał dalej, aby zająć podobną na tej samej ścianie lasu.

Jesień w pełni królowała nad Bydgoskimi Borami. Leśne pogorzelisko swą głęboką czernią wyraźnie kontrastowało z barwną paletą lasu, patyną złotych brzoź, dębów i zielenią rozwichrzonych sosen. Ostatnie promienie słońca, filtrowane przez gałęzie, teraz zaglądały do wnętrza mojej czatowni, zabarwiając ją w tęczne kolory. Było tu przyjemnie ciepło i cicho.

Przez okno z głębi halizny zalatywało aromatem spalenizny i zapachem zgniłych liści. Nim się spostrzegłem rozrosły się białe mgły i zmierzch powoli okrył czarną otchłań przede mną. Czasem tylko smoliste szczyty pni wyłaniały się z niej i coraz bardziej przypominały bajkowe potworki wędrujące w białym mleku.

Miałem teraz dużo czasu. Błada jasność księżyca zaczęła coraz bardziej oświetlać mgły, gdy naprzeciw mej ambony zaryczał doniosłym głosem jelen. Potem kaszłał, przyspieszał jego częstotliwość, by ponownie basowy grzmot przewalił się po pogorzelisku. Wtórował mu daleki głos innego byka z głębi puszczy, a może markowana odpowiedź grana na tubie Huberta.

Naraz wśród tej szarej mgły zamajaczyła chmara jeleni. Przesuwała się w moją stronę, gdy nagle zaryczał ponownie jej władca. Potem już tylko tętent uchodzących zwierząt dobiegał wyraźnie do mej czatowni.

Nastała cisza. Trwała długo. Ogromna tarcza księżyca wędrowała jak balon nad wierzchołkami lasu. Najpierw jakieś niewyraźne szmery, później czochanie po pniach mąciło spokój i przybliżało się, coraz bardziej. Wyraźne beknięcie, delikatny

trzask gałązki, a już serce waliło mi jak młotem. Drżały ręce, skakał obraz w lornetce. Wreszcie jest! Jakies wielkie rozłożyste wieńce unosiły się nad mgłą.

Jaki on musi być ogromny!

Z wysiłkiem opanowuję emocje. Po raz pierwszy poluję na byka w puszczy, stąd zadziwienie zaskakuje mnie dość często. Słyszę już trzask gałęzi, ale on nie jest sam. Przed nim idzie cały rudel łań. Jednak tylko jego drabiniasty wieniec wyraźnie płynie nad białym pęczermem mgły. Dopiero dalej, o sto kroków, przerywa się ta biel i tam kieruję krzyż lunety mej kniejówki.

Już migają czerwone plamy łań. Za chwilę wyjdzie on - „władca pogorzelska”! Naraz nastaje jakaś potworna cisza - powietrze staje w bezruchu, robi się ciemno jak w piwnicy.

Ale pech! Hubert miał rację, że byk ten tak łatwo nie sprzedaje swej korony. Zrezygnowany opieram kniejówkę o ścianę chatowni. Po raz któryś biorę w trzęsące dłonie lornetkę. Nic nie widzę. Czarna chmura zatrzymała się na tarczy księżycy i trwa w bezruchu, a ja naiwnie wierzyłem, że zobaczę byka w lunecie.

Mam znów chwilę czasu. Zupełnie się wyluzowałem. Nie będzie ten to będzie inny - sam się przed sobą usprawiedliwiałem.

Mijają najdłuższe minuty, jakie przeżywam na tej ambonie. Nawet nie zauważyłem, kiedy się odsłoniła srebrna tarcza księżycy.

Znów biorę lornetkę i z niedowierzaniem wśród smolistych pniaków znajduję dumną sylwetkę mojego byka. Nawet nie wiem, kiedy ulokowałem czarny krzyż lunety na jego grzywiastym karku. Huk wystrzału zatrzęsł moją amboną i pogorzelskiem. Byk poderwał się, jakby chciał przeskoczyć wysoką przeszkodę. Potem bijąc tykami po pniach zginął w czarnej czeluści lasu.

Byłem szczęśliwy. Może Hubert przyniósł mi rzeczywiście szczęście? W głowie narastały zawroty, traciłem zupełnie pamięć tego co się wydarzyło. Nachodziło mnie szereg wątpliwości. Może pocisk wyrzucił piasek, który dosięgnął byka,

stał taka jego reakcja? Jeszcze długo targany myślami siedziałem prawie nieprzytomny, kiedy światła reflektorów pokazały się na leśnej drodze. To wracał Hubert.

Błysk latarki i schodzę. Bez słowa udajemy się na miejsce zestrzału. Ogromnie trudno je odszukać w tej czarnej sadzy. Hubert jednak ze sprawnością indiańskiego tropiciela doprowadził mnie pod ścianę lasu. Wcześniej jednak znalazł kudłatą ścinkę kożucha i poфарbowany pień. Miejsce to zaznaczył opaloną gałęzią.

Zostałem na miejscu sam. On zataczał większe i mniejsze koła. Naraz dał znak latarką. Prawie resztkami tchu, zadyszany, dobiegłem do miejsca świetlnego sygnału i omal nie wywróciłem się w płataninie gałęzi.

Zwalony byk leżał na boku obok czarnego pnia sosny.

- Wywróżyłem ci tego byka – pochwalił się mój kolega. - Nie na darmo dano mi imię Hubert. Zapomniano jednak dodać: „święty”!

Byk był podeszłym starcem. Na łbie dzierżył wieniec dwunastaka z jednostronną widlicą o grubej, czarnej nasadzie tyk.

Przewodnik odłamał kawałek sosnowego złomu i zatknął mi na kapeluszu.

- Gratuluję!

Następnego dnia byka zawieźliśmy do Torunia. Ważył 125 kg, a wieniec jego zdobiał moje mieszkanie. Przypominają mi o jelenich godach w Puszczy Bydgoskiej.

16. Dziesiątak z Zajezierza

Panie leśniczy, już od dłuższego czasu noszę w kieszeni odstrzał na byka, a przez tą pogodę nie bardzo mam już czas na jego poszukiwanie!

Wiesiek, leśniczy z Dąbek w Puszczy Bydgoskiej, najpierw poskrobał się po mocno łysiejącej głowie. Długo się zastanawiał i nerwowo stukał palcami po blacie swego biurka. Widać było w jego oczach, że chce nam, czyli mnie i mojemu bratu Mundkowi oraz Frankowi Strączkowskiemu, pomóc w wybraniu właściwego rewiru, bo któż lepiej od niego znał te lasy i jelenie ścieżki.

Po chwili w jego oczach zobaczyliśmy jakiś szczery błysk i lekki uśmiech, co na pewno dobrze miało służyć powodzeniu naszej wyprawy. Otworzył szufladę i wyjął mapę obwodu łowieckiego dzierzawionego przez Dianę.

Przed naszymi oczami ukazały się lasy i pola pokrojone dziesiątkami kwadratów, zaznaczonych dróg i ambon. Wyraźnie na tej mapie widać miejsca pożarysk, które od lat były utrapieniem tego nadleśnictwa. Jedno z nich wskazał ołówkiem i powiedział:

- Radzę tam pojechać. Spróbujcie szczęścia na wielkim wypalenisku. Tam parę lat temu zaproszono ogień, który strawił kilka hektarów starodrzewia. Minęło od tego pożaru już sporo czasu, ale ślady tej klęski są jeszcze widoczne. Wypalenisko to jest chętnie odwiedzane przez jelenie, można nawet powiedzieć, że jest ulubionym miejscem jelenich godów. Wprawdzie jest ono

dość odległe, bo prawie na granicy obwodu, jednak jedziecie tam z Frankiem, a on drogę zna dobrze.

Wczesnym rankiem wyszliśmy ze starej leśniczówki. Już za las odchodził blady sierp księżyca, a mroźne powietrze uderzało po twarzy i wciskało się do gardła. Franek był wesoły i dobrej myśli. Głośno przypominał sobie przeżycia z dawnych lat, kiedy to na granicy oddziału 46 i 75, o którym mówił leśniczy, strzelił swego pierwszego w życiu byka. A któżby takie chwile zapomniał, tym bardziej, że wielki jego wieniec zdobi do dziś pokój myśliwski Franka?

W lesie mgła cienką warstwą leżała na ziemi, tylko miarowy szum samochodu uderzał o przydrożne drzewa i echem wracał do naszych uszu.

Z dala od wypaleniska bez najmniejszego słowa, niemal bezszelestnie opuściliśmy fiata. Wolno i po cichu rozeszliśmy się do wyznaczonych chatowni.

Przedemną rozciągało się wielkie pożarzysko. Szedłem stale pod słaby wiatr, jeżeli można o takim mówić, bo zaledwie wyginał płomień zapalanej zapalki.

Za lasem już niebo różowiło, gdy znalazłem się w starej ambonie. Jeszcze na drabinie słyszałem wyraźny ryk jelenia, jednak dopiero z jej wnętrza w szklach lornetki dostrzegłem pod lasem czerwoną plamę - chmurę łań ciągnącą do swych dziennych leży.

Mgła powoli opadała. Odkrywałem coraz to rozleglejsze łączki, gdy naraz na jednej z nich triumfalnie rycząc dołączył do opuszczonych łań wielki byk. Skrycie maskowany przez cień lasu i świeże sosenki o swej potędze zaświadczał tylko błyskiem białych grotów zdobiących kielichy oręża i basowym rykiem. Wkrótce też odkryłem drugiego jelenia, który krążył wokół chmury i próbował zbliżyć się coraz bardziej do odstających łań. Zazdrość stadnego byka była jednak ogromna. W gniewie wzywał rywala na pojedynek.

Siedziałem spokojnie, prawie bez ruchu. Wydobyłem z



A jak nie trafię dzika? (s. 119)



Diana przyjęła nas godnie. (s. 65)



Przed Mundkiem leżał Dziesiątak z Zajerziera. (s. 86)

plecaka swój aparat z trzysetką i centymetr po centymetrze kierowałem na nerwowo zachowującego się byka. Z niewygodnej pozycji próbowałem go uchwycić w wizjerze, jednocześnie pilnując, aby nie odkryły mnie wściebkie łanie.

Jeleń szedł dość szybko, wprost na moją ambonę. Nagle się zatrzymał. Czyżby mnie odkrył? Nerwowo parskął, zaczął uderzać łbem o ziemię, przy tym nawłókł na wieńce całą wiechę traw i kory. Podniósł wysoko swój łeb, niewyraźnie beknął i trzepotał nim, śmiesznie skacząc. Zaabsorbowany tym niecodziennym zdarzeniem nawet zapomniałem przycisnąć spust aparatu. Kiedy w końcu to uczyniłem, byk jakby rażony kulą, podskakując i z żalosnym pobekiwaniem w popłochu uchodził.

Chyba nie nadaje się na reportera bezkrwawych łowów? Moje emocje wzięły znów górę! Zaledwie zrobiłem dwa zdjęcia, może jedno będzie udane - usprawiedliwiałem się przed sobą.

Spłoszony byczek wpadł w chmurę łań, co wywołało wściekłość jej opiekuna. Już w lornetce widziałem jak stadny byk podniósł łeb do góry, prawie kładąc swój wieniec na grzbiecie. Zaryczał mocnym głosem, z jego gęby buchała biała para. Basowy, groźny głos kilkakrotnym echem odbijał się od ścian lasu. Spłoszył chmurę łań, która bezładnie biegła w tę i z powrotem.

W tym jelenim popłochu jak grzyby po deszczu ukazały się jeszcze dwa obce byki, również spłoszone. Uchodziły ode mnie w kierunku wąskiego leja wypaleniska, gdzie na ambonach siedzieli Mundek z Frankiem.

Znikał szron z trawy. Nastąpiła krótka cisza, a po niej przez wypalenisko przewalił się potężny huk

Czas dłuższy się nieskończenie. Nareszcie pod ścianą lasu w szklach mojej lornetki dostrzegłem Franka i Mundka, zataczających coraz większe koła, szukających zdobyczy.

Słońce wyszło już zza lasu, jego promienie rozbłyskiwały na kropłach rosy, kiedy zmoczony dotarłem do szczęśliwca, który z niedowierzaniem przyglądał się swojemu pierwszemu bykowi.

Radość była wspólna. Przed Mundkiem leżał byk - Dziesiątak z Zajeziera, jak go nazwał Franek. Brat był szczęśliwy, uśmiechnięty, chętnie pozował do fotografii. W końcu w tej radości i euforii i my też dumnie stanęliśmy nad bykiem.

Król Bydgoskiej Puszczy okazał się niekoronnym odstrzałowym dziesiątakiem. Dobrze, że była nas trójka, to mogliśmy sobie z nim poradzić. Jednak udało się nam dopiero po kilku godzinach mozolnej pracy dowieść go pod domek Diany.

Mundka byk wzbudził ogromną ciekawość wśród kolegów, a następnego dnia wśród przypadkowych gapiów w czasie obielania jego wielkiego łba.

17. Na kaczki do Kaczkowa

Pierwszy mój wyjazd ze strzelbą w rodzinne Kujawy zapamiętałem do dzisiaj, niemal w szczegółach. Wystarczy tylko przymknąć oczy, abym znalazł się ponownie wśród nadnoteckich mokradeł, czy bagiennych trzęsawisk Godzięby i Kaczkowa.

A wszystko to za sprawą dawnego kolegi z Mątew, Klemensa Wódczaka, wówczas myśliwego z koła Diana. W czerwcu, po udanym polowie szczupaków na rozlewiskach starej Noteci, Klemens zaprosił mnie do siebie na jesienne kaczki.

Mówiąc szczerze zaproszenie przyjąłem z mieszanym zadowoleniem. Wówczas byłem jeszcze młodym myśliwym, a do pióra nie miałem okazji dotąd strzelać.

Wiedziałem z opowiadań kolegów o trudnościach i przeszkodach w tego rodzaju polowaniach, stale powtarzających slogan: „jedna paczka - jedna kaczka.” Nie muszę tu dodawać, że chodzi o naboje. Dla mnie, początkującego myśliwego, jednak barierą zawsze była ocena wyprzedzenia lecących ptaków, w czym miała pomóc mi układność strzelby i jeszcze dziesiątki innych nabytych z latami doświadczeń.

Do jesieni było jeszcze sporo czasu. Miałem zatem szansę na solidny trening - najpierw na sucho w domu, a potem na strzelnicy.

Mieszkałem w górach, a tam o ptactwo wodne było raczej trudno. Poza tym, wstyd się przyznać, tutejszych słonek na ciągach nie umiałem trafić. Jednak bardzo chciałem się sprawdzić przed wyjazdem.

Kiedyś pod wieczór, przy nisko zwisających chmurach i

nienajlepszym oświetleniu, ptak ten na moment ukazywał się przed moimi oczami jak zjawia i natychmiast znikał.

Pamiętam podmokłą drogę w lesie prowadzącą na łąkę, a nad nią wyraźny głos: „krchch...krchch”, co oznaczało: „bądź gotów”. Chrapanie słonki naraz przeszło w piskliwe „psii...psii...psii” i nad szczytami olch ukazał się mały ptaszek o długim dziobie, lecący lotem błyskawicy. Jeszcze raz syknął nade mną i tak jak nagle się ukazał, tak szybko zniknął. Nie zdążyłem nawet poderwać dubeltówki. Wiele razy próbowałem go przechytrzyć, jednak bezskutecznie. W końcu dałem za wygraną i uznałem, że trofeum to leży poza zasięgiem moich możliwości.

Jeżeli tak samo ma być z kaczkami, to tylko przed kolegą się ośmieszę, a podobno kacze rozkłady Klemensa były imponujące. A kiedy jeszcze mówił o używaniu przez siebie w tych polowaniach zestawianych naboju o wzmocnionej sile, nie miałem wątpliwości co do moich szans.

Tak przeminął miesiąc jeden, drugi i nastał wrzesień. Był dobrym miesiącem dla myśliwych polujących na ptactwo wodne. Ciepła sucha wiosna i upalne lato przyczyniły się do wyprowadzenia dość licznych kaczych stad. Aż nie do wiary - całe setki tych ptaków każdego wieczora lądowały na mokradłach Godzięby i Kaczkowa, wokół Kępy Kujawskiej, miejscowości liczących po parę starych chałup w otulinie Borów Bydgoskich, pomiędzy Wisłą a Notecią. Wszędzie panował tu piasek i woda, zalane kiepskie łąki, zarastające trzciną mokradła i bajora. Sosnowe laski, pomiędzy nimi pola uprawne, obsiewane żytem i owsem, stały się teraz spiżarnią setek kaczek.

Klemens zacierał ręce. Na polowanie przyjechaliśmy w trójkę. Zabraliśmy jeszcze Kazia, nie licząc mądrej wyżlicy Kory.

Szliśmy wąską dróżką obok bagna i niemal z każdego dołka rwały się kaczki.

Ustawiono mnie na grobli, przed niewielkim oczkiem wodnym. Klemens poklepał mnie po ramieniu i powiedział do Kazia:

- Ten to ma szczęście!

Potem zginęli mi obaj z oczu, w gęstych trzcinach.

Nie wiedziałem jeszcze co to za szczęście i na czym ono miało polegać. Domyśliłem się tylko, że chodziło chyba o to, iż z pobliskiego oczeretu darła się bez przerwy jakaś stara kaczka. Opanowała ją dzika chandra lub zagrażało jej niebezpieczeństwo. Swym kwakaniem powinna ściągnąć jakiegoś adoratora, co też po chwili nastąpiło.

Dwie nisko lecące kaczki lotem ślizgowym zbliżały się do trzcin. Błyskawicznie położyłem szynę mej dubeltówki na pierwszej z nich i rozległ się huk. Rozgrzał powietrze, a druga kaczka pacnęła o wodę, głośno ją rozbryzgując. Kora natychmiast popłynęła po nią. Za chwilę Klemens przyniósł mi pierwszą w życiu strzeloną kaczkę i uroczyście wręczył. Przy tym powiedział:

- Gratuluję, ale my do rakiet, znaczy cyranek, nie strzelamy, bo są małe i lecą zbyt szybko. Na nie mogą sobie pozwolić tylko wyborowi strzelcy. Jestem pełen podziwu dla twego oka.

Usiadłem na kępie. Głowę miałem pełną wątpliwości czy strzelałem do pierwszej czy drugiej cyranki, która leciała z pięć metrów dalej. Jeżeli rzeczywiście oddałem strzał do pierwszej, a spadła druga, to będę miał kłopoty.

Coraz więcej i więcej kaczek, płoszonych w trzcinach przez Korę i huk z dubeltówek, powodował, że na moje bajoro przylatywały bez przerwy pojedyncze sztuki.

Przedemną leżało już dziewięć pustych łusek i żadnej trafionej krzyżówki. Znowu nadleciały dwie sztuki. Wyprzedziłem metr - pudło, półtora metra, dwa. I znowu pudło. Może przed dziób? Powtarzam z drugiej lufy - też pudło. Niech lecą sobie całe i zdrowe! Muszę się zastanowić co robić dalej, bo mi nie starczy amunicji na dalsze pukanie Panu Bogu w okno.

Liczę naboje. Pozostało jeszcze siedem sztuk. Ale będzie wstydt!

Teraz wszystkie kaczory, które szły na mnie, nagle

zmieniły kierunek i leciały na Klemensa. Nim usłyszałem huk z jego strzelby, załamywały swój lot i spadały w trzciny. Niespodziewanie w pobliżu odezwała się głośnym kwakaniem znajoma kaczka.



Na jej wab wystartowały z pobliskich trzcin dwa kaczory. Ociężale podnosiły się do góry. Zdesperowany strąciłem oba. Byłem szczęśliwy jak dziecko! Nawet więcej już nie załadowałem mej dubeltówki. Oba leżały na wodzie przede mną, a znajoma kaczka dalej się darła i nad nią coraz to przelatywały nowi zalotnicy. Kora posłusznie dopłynęła, wzięła pierwszego kaczora i zginęła w trzcinach.

Naraz na wodzie coś wielkiego plusnęło. Płynęło do drugiej, pozostawionej kaczki. Piżmak, czy szczur? To coś chwyciło ją za szyję i wciągnęło pod wodę.

Ale pech! To miało być to szczęśliwe miejsce? Bacznie rozglądałem się po całym bajorze. Nie było najmniejszego śladu mej kaczki. Z drugiego brzegu przyglądała się też Kora i chyba mnie podejrzewała o kradzież jej ptaka.

Stałem osłupiały, bez ruchu, z aparatem fotograficznym, z myślą o udanej fotografii aportowanego przez wyżlicę kaczora, gdy nagle wyżlica zaszczekała. Na kępie wodnej roślinności

ukazała się wydra. Zdażyłem przycisnąć dwukrotnie spust aparatu, gdy ponownie zanurzyła się w wodzie.

Kończyliśmy to polowanie z Klemensem i Kazikiem na mokradłach Godzięby i Kaczkowa. Do samochodu przynieśliśmy dziewięć kaczorów, ale mój był największy. Zdobyłem go z takim poświęceniem i niedowierzaniem, że kosztowało mnie to rzeczywiście „jedną paczkę” nabojów, zgodnie z przysłowiem. Myślę, że największym jednak moim trofeum było udane zdjęcie wydry, a przede wszystkim spotkanie jej na tych mokradłach.

18. Deszczowy epizod

Leśniczego W. spotkaliśmy kiedy wuefemką wracał ze zrzebu. Na pewno głowę miał pełną problemów, bo nawet z początku nas nie zauważył. Kiedy się jednak zatrzymał, machał ręką jak by chciał się czegoś pozbyć. Dotykał nią czoła i wskazywał na rosnące obok sędziwe sosny.

- Moi kochani, kiepską porę żeście wybrali na łowy. Na odwiedzonych przeze mnie łakach dzisiejszego ranka albo spotykałem zajączki, albo sarny, a nawet była zwierzyna w tych miejscach, gdzie jej nigdy nie widywałem. Wiecie co to oznacza? Nie? To ja wam powiem. To zjawisko w moim lesie wróży długotrwałe deszcze.

- Panie leśniczy, jak to może być? – zapytał się Edek. - Od czterech dni nie spadła kropla deszczu. Wprawdzie dzisiaj powietrze jest parne, ale sine, październikowe niebo nad nami nie jest powodem obaw co do zmiany pogody.

Jakby na potwierdzenie swoich słów leśniczy wskazał na leżący obok kamień. Podniósł go i powiedział:

- Proszę zobaczyć, cały jest mokry. Ten połyskujący wodą kamień i liczna zwierzyna z rana na łakach oznacza tylko jedno i to samo - najczęściej długotrwałe deszcze.

Czekanie na lepszą pogodę na początku października wydawało się nam bezcelowe. Chcieliśmy zrealizować swoje odrzwały na dzika, łanie i cielaka. Pragnęliśmy też wykorzystać choć krótkie przerwy pomiędzy złą aurą, jeżeli taka rzeczywiście będzie miała miejsce.

Leśniczy się nie pomylił. Z wieczora na zasiadkę już nie

poszliśmy. Po rynnach leśniczówki bębniły miarowo duże krople deszczu, a woda czasami wylewała się z nich na zewnątrz, obmywając szyby okna.

Ten wieczór z konieczności przeznaczyliśmy na dopracowanie naszych łowieckich planów, spodziewając się poprawy pogody następnego dnia.

Byliśmy szczęśliwi, kiedy wczesnym rankiem szliśmy w delikatnej mgielce do oddziału 94 położonego nad samym jeziorem Nowym. Na tle seledynowego nieba sosny przybierały barwy niebieskie, a wypłukane przez nocny deszcz igliwie złożyło się wielkim dywanem usłanym pod młodnikami.

Stała tu tylko jedna ambona. Edek z niej skwapliwie skorzystał. Mnie przyszło usiąść na starym, ociekającym wodą omszałym pniu.

Teraz na wschodzie niebo zszarzało, a potem ukazały się wypchane deszczem groźne chmury. Przeczuwałem większą ulewę. Rozłożyłem trójnog, swoją pelerynę rozwiesiłem na rozłożystych sosnowych gałęziach i tak dotrwałem, dopóki ulewa i kołysane silnym wiatrem drzewo nie zrzuciło na mnie dachu razem z litrami wody.

Znienacka stałem się mokry od stóp do głowy. Ależ ty chłopie wyglądasz, teraz najlepiej chciałoby się siedzieć w ciepłych kapciach, pod kominkiem w leśniczówce – pomyślałem. Zamknąłem oczy, aby nie widzieć tego, co tu się stało. Weź się szybko w garść - coś mi szeptało do ucha - nie ślimacz się, przecież łowiectwo to szkoła przetrwania. Już niejeden raz byłeś w podobnych opalach i dawałeś sobie radę! Czemu teraz ma być inaczej?

Mimo ulewy, która szalała nad młodnikiem, odważnie strzepnąłem pelerynę, wepchnąłem się głębiej pod pień drzewa, rozwiesiłem ją nad głową. Lornetkę nakryłem plecakiem, a kniejówkę własnym ciałem.

Przychodziły takie chwile, że przede mną ściana deszczu utworzyła matową szybę i nie pozwalała cokolwiek ujrzeć.

Siedziałem jak w bunkrze, z małym otworkiem na świat. Mimo to woda zalała mi lunetę, okulary zmatowiały od pary, a zimna ciecz wciskała się za kołnierz.

Kiedy porywisty wiatr na chwilę przegonił chmury, wyraźnie usłyszałem strzał, a po nim niespodziewanie ciche sapanie i trucht dzików. Próbowałem wstać. Naraz z butów chlusnęły fontanny wody. Mimo to szybko poderwałem strzelbę. Cztery dziki stanęły naprzeciw mnie i widząc moje niezdecydowanie oraz szamotanie się z peleryną, spokojnie zaczęły oddalać się na piaszkowy pagórek. Zdażyłem tylko wyskoczyć przed młodnik i zamiast sztucerowej kuli posłałem do ostatniego brenekę, gdyż w tym napięciu pomyliłem spusty mej kniejówki. Nim się zorientowałem dziki już w komplecie, całe i zdrowe, pokonywały następne wzniesienie. Byłem załamany!

Ulewa ponownie wracała. Przedtem byłem mokry, teraz już się przed nią nie broniłem, jednak straciłem okazję stuprocentową.

No cóż, można rzec: myśliwy mądry po szkodzie. Byłem pewien, że w młodniku znajdowało się więcej dzików i teraz mimo deszczu byłem przygotowany na spotkanie z nimi. Długo to trwało. Stałem ze strzelbą przy twarzy, bo za plecami miałem ciągle szmery i przepychanki. Wierzyłem, że za chwilę wyskoczą dziki na piaskowe wzniesienie i będą jak na tarczy.

Nie pomyliłem się, ale zamiast odyńca wyszedł jeleni i spokojnie zmierzał na szczyt pagórka. Strzelbę odłożyłem. Widok był wspaniały! Mimo deszczu zwierz prezentował się okazale. Tylko aparat i byłaby fotografia gotowa na konkurs.

Kiedy zachwycony upajałem się tym nieoczekiwanym spotkaniem, niczym na jawie ujrzałem naprzeciw siebie sporego odyńca. Stał obok czarnego pnia, na którym wcześniej siedziałem.

Błyskawicznie chwyciłem strzelbę, szukając muszki pod mokrą lunetą. Wypaliłem prosto w pień. Naraz prysły w górę drzazgi, a dzik, który stał obok, zrozumiał, że to nie przelewki i ruszył jak rakieta, znikając za piaskowym pagórkiem. Dobrze, że

nikt tego nie widział!

Miałem tego dnia pecha, tylko czy nie za wielkiego?

Nasz honor myśliwski jednak uratował Edek. Strzelili odstrzałową łanię, którą również w deszczu, lecz już bez emocji, przetransportowaliśmy do samochodu.

Następnego dnia ten deszczowy epizod musiałem odleżeć, i to z temperaturą, w łóżku.

Nie żałowałem, bo też padało!

19. Marzenia czasem się spełniają

Rozpoczął się nowy sezon na kaczki. Wybrałem się z Klemensem na bagna za Gniewkowem, gdzie od niepamiętnych czasów gnieździło się sporo wodnego ptactwa. Tamte mokradła były pozostałością po rzekach płynących przez Puszcę Bydgoską do Wisły. Na skutek nadmiernego osuszenia lasów w ubiegłych wiekach pozostały oddzielone od siebie zarastające jeziora o nadzwyczaj czystych wodach, bardzo cenione przez wodną faunę.

W obawie przed deszczem wybraliśmy najbliższe mokradło przy drodze, tuż naprzeciw wioski. Dziewiętnastowieczne chaty z czerwonej cegły stały na łuku tego bagna, a od wody oddzielała je tylko droga.

Nie chcąc stanowić zbyt atrakcji samochód postawiliśmy wcześniej na wzniesieniu i z samego ranka, ubrani w gumki, zginęliśmy w bagiennych szuwarach.

Dzikie kaczki lubią złą pogodę, toteż zaniepokojone naszym buszowaniem i pluskiem wody startowały, chcąc sprawdzić co też się dzieje w trzcinach. Przelatywały nisko nad nami i stawały się łatwym celem.

Wiedziałem już, że Klemens stracił kilka sztuk, ja pierwszego kaczora, który leciał przed kawką, chybiłem i to dwukrotnie. Do następnego nadlatującego dałem większą poprawkę na wyprzedzenie i straciłem. Leżał teraz na wodzie przede mną i wiosłował łapkami zapisując swój testament.

Po paru minutach trafiłem drugiego kaczora, ten jednak spadając odbił się od wody i odleciał. Wyrównał lot. Śledząc za nim oczami zauważyłem, że naraz załamał go i spadał w pobliżu

przydrożnej brzozy, obok której dzisiajszego ranka przechodziliśmy.

W tym czasie nade mną znów przelatywało kacze stadko, a za nim pojedynczy kaczor. Po strzale lotem ślizgowym spadł w kępę trzcin.

Miałem już osiem pustych łusek, kiedy wyżlica Klemensa przyniosła mi pierwszego kaczora. Poklepana przeze mnie po barku z zadowoleniem pobiegła po drugiego. Niespodziewanie się rozszczękała w trzcinach. Przypuszczałem, że to chwilowe jakieś jej fanaberie, ale ona nie przestawała. Dotąd nigdy tak się nie zachowywała, ani nie miała tak przejmującego głosu. Było jasne, że muszę wejść głębiej w bagno i jej pomóc.

Najpierw przypuszczałem, że kaczor zawiesił się na wierzchołkach trzcin i nie umie sobie z tym problemem poradzić. Dubeltówkę przewiesiłem przez ramię i przy pomocy kija badałem głębokość wody. Omijając ukryte wilcze dołki dowlokłem się do hałasującej wyżlicy.

Zamurowało mnie zupełnie! Przede mną po pas w wodzie stał olbrzymi dzik, z białymi szablami skierowanymi w stronę psa! O strzelaniu do niego nie mogło być mowy. Lufy dubeltówki były puste, a w kieszeni tylko kaczy śrut. Na chwilę zawahałem się co robić. Wystarczyło to, aby dzik w fontannach wody jak błyskawica odwrócił się o sto osiemdziesiąt stopni i runął w jeszcze większe zarośla. I tyle go widziałem!

Zostałem sam z wyżlem i leżącym obok kaczurem. Tego co się stało pies chyba mi nigdy nie wybaczy! Już nie podniósł ptaka, tylko pobiegł do swego pana.

Zszokowany czekałem na brzegu bagna mając stale spotkanie z odyńcem w oczach - jego czarne, świdrujące ślepie, otwartą paszczę z białymi jak śnieg kłami i kłapanie nią głośno na psa.

Co ja teraz powiem mojemu przyjacielowi? Będę raczej milczał ze wstydu!

Klemens zagadnął mnie pierwszy.

- Byłem pewien - mówił - że ty się skąpałeś, wywracając się w bagnie. Taki słyszałem u ciebie plusk wody i hałas!

Natychmiast otrzeźwiałem, jednak nie przez to co mówił, a na widok siedmiu roslých kaczorów zawieszonych na trokach u jego pasa. Staralem się wszystko zapomnieć.

- Muszę jeszcze iść poszukać postrzałka - powiedziałem.

Dalsze polowanie było już bezcelowe. Zjawiło się kilku młodzieńców. Bacznie przyglądali się ptakom, porównywali ich ciężar. Chętnie pomogli zanieść je do samochodu.

Brzoza, do której szedłem, stała przy drodze nieopodal pierwszego gospodarstwa we wsi. Czekał tam na mnie gospodarz. Spodziewałem się upomnienia za chodzenie po jego łąkach lub za zakłócanie spokoju. Pomyliłem się jednak. Kiedy powitałem go, od razu wskazał mi leżącego w trawie kaczora i to daleko od drzewa. Prawdopodobnie bez psa bym tego ptaka za nic nie odnalazł. Podziękowałem.

- Nazywam się Brunon i mam do pana sprawę.

Siedliśmy na koźle do cięcia drewna i słuchałem tego co też ma do powiedzenia

Brunon opowiedział mi historię o wielkim dziku, który mieszka w tym bagnie i wychodzi na jego pola, jednak tylko nocą. Zniszczył jemu i sąsiadowi owies, wyorał sporo ziemniaków, a teraz siedzi w kukurydzy, która rośnie ze trzysta metrów dalej.

- Proszę pana, niech pan coś z tym szatanem zrobi! Postawię panu dobrą śliwownicę! Klofta już niejeden raz próbował tego dzika złapać na przesmyku. Zakładał różne druty. Dzięki temu dzik nosi do dzisiejszego dnia na przednim biegu zerwany, druczany pierścień.

- Panie Brunonie, wiadomo jak jest z dzikami. Przyrzec nie mogę, jestem tu rzadko - odpowiedziałem, widząc jednak determinację gospodarza obiecałem, że kiedyś tego dzika przypilnuję.

Nie był zadowolony, choć tą moją obietnicę przyjął.

Podziękowałem za odnalezioną kaczkę i wróciłem do samochodu.

Przez całą powrotną drogę nie rozmawiałem. Spotkanie z dzikiem w bagnie było dla mnie niesamowitym przeżyciem i tylko o nim myślałem. Starałem się też wymyślić jakiś prawdopodobny termin ponownego spotkania się z tym wielkim błociarzem.

Nawet Klemens zauważył moje nietypowe zachowanie, bo naraz zapytał czy jestem niezadowolony z dzisiejszego polowania. Zaprzeczyłem.

Wszystkie kaczki zawieźliśmy do składnicy Jedności Łowieckiej w Inowrocławiu, a mi pozostały tylko wspomnienia, które mocno wryły się w pamięć.

Była połowa sierpnia. Już teraz marzeniem moim było spotkanie się z tym gamratem, jednak mogło to nastąpić dopiero jesienią, kiedy przyjadę na rykowisko.

Ponieważ marzenia czasem się spełniają, przez wiele tygodni robiłem wszystko, aby moje plany były realne i mogły się spełnić. Nawet przygotowałem przenośną ambonkę, którą bym mógł w pobliżu kukurydzianego pola zawiesić. Stale też głęboko wierzyłem, że nikt z myśliwych wcześniej tego dzika nie odkryje.

*

Pod koniec października słoneczne dni przeplatały rozgwieżdżone noce. Do łowiska przyjechałem z synem Darkiem. Emocje myśliwskie zaczęły się już od spotkania ze Zdzichem i Hubertem. Pierwszy ostatniej nocy strzelił dwa dziki prawie o podobnej wadze, trochę ponad trzydzieści kilogramów. Drugi większego odyńca, około sześćdziesięciu kilogramów i tegorocznego warchlaka. Obaj twierdzili, że duże dziki wyniosły się z tego rejonu na kukurydziane pola pod Zajezerze, a pozostały tylko maluchy i nie ma naprawdę po co jeździć.

Wieczorem przyjechał jeszcze Bogdan z Frankiem. Obaj zaproponowali wyjazd do oddziału 113. Tam spodziewali się większego zwierza. Zgadzałem się na każdą propozycję, byle

tylko być blisko bagna, w którym latem spotkałem się z wielkim, błotnym dzikiem.

Zdzychu miał poniekąd rację mówiąc, że nie ma po co dzisiaj jechać na pola. Pod wieczór chmury pokryły szczerlnie niebo i wcześniej niż zwykle zrobiło się szaro i mimo, że księżyc świecił za nimi, było zupełnie ciemno.

Zaproponowano mi nawet wygodną ambonę, jednak poprosiłem o wolną rękę i przypilnowanie rżyska pod wioską. Franek z politowaniem popatrzył na mnie i zapytał, czy aby się nie pomyliłem. Potaknąłem głową na znak, że tam chcę pójść i tak się rozstaliśmy.

Siny zmierzch otulał rżysko kukurydziane. Wszędzie panowała cisza. Wioska już spała. Lecz oto nagle jak robaczki świętojańskie zza wzniesienia rozbłysło parę latarni przydomowych. Czym głębsze ciemności zapadały, tym one bardziej oświeślały pole, przed którym stałem.

Dopiero teraz zorientowałem się, że całe niemal rżysko było widoczne na tle chat i strzelanie w tym kierunku było niemożliwe. W razie chybienia kula trafiłaby w dom. Stąd też nikt na tego dzika nie chciał tu polować. Byłem załamany. Tyle wysiłku, tyle zachodów i taka plama!

Już miałem wracać, kiedy odkryłem w lornetce stóg słomy, który stał obok i zasłaniał jedną z chat za bagnem. Tak, to było to miejsce, gdzie można na jego tle strzelać do dzika. To dobre rozwiązanie - bezpieczne i realne. Ucieszyłem z własnego pomysłu.

Dobrze minęła już północ. Pomimo zachmurzonego nieba poświata księżycyca pozwalała na kontrolowanie rżyska. Niezadługo od trzciny oderwał się czarny punkcik. W dziesięciokrotnej lornetce urósł do olbrzyma. Przesuwał się w stronę stogu. Naraz się zatrzymał. Stał nieruchomo przez chwilę, jakby wietrzył. Czyżby mnie odkrył? Nie, przecież wiatr miałem dobry.

Za jego smolistą sylwetką widniało maleńkie okienko

chaty. Kiedy na chwilę wyrżał księżyc mogłem tego błociarza zobaczyć gołym okiem na tle gospodarskiej zagrody. Wreszcie ruszył w stronę stogu. Prowadziłem już go w lunecie, kładąc na nim czarny krzyż. Znow się zatrzymał i znow w tle była chata.



Nie wiem która mogła być godzina, ale zdecydowałem się na posłanie mu kuli, kiedy tylko nakryje swą sylwetką ciemny stóg słomy. Wówczas omal nie doznałem szoku. Na szczycie stogu zabłysło światelko latarki! O cholera! Co to jest? Dzika już nie było. W szklach lornetki zobaczyłem jakąś parę, która ze śmiechem i hałasem strzepywała ze siebie słomę.

Ale pech! Chciało mi się wyć i krzyczeć! Z takim poświęceniem wypracowałem tego wielkiego dzika, a tu jacyś rozpustnicy zepsuli mi całą noc i moje marzenia na posiadanie jego wielkich szabl!

W następnym roku dowiedziałem się, że zimą w czasie huczki Franek strzelił na bagnach dużego dzika. Ważył ponad sto kilogramów. Zapytałem czy miał drucianą pętlę na przednim biegu. Odpowiedź była negatywna. Ucieszyłem się bardzo z tej informacji. Byłem pewien, że błociarz przeżył i czeka na ponowne spotkanie ze mną. Wierzyłem mocno, że na pewno kiedyś zawieszę jego oręż na ścianie wśród moich najcenniejszych trofeów.

20. Pięć nie przespanych nocy

Myśliwskie tereny leśnictwa: Dąbki, Podlesie, Suche, Piaski, Zajezerze i Obręb Cierpiszewski pod Toruniem słyną z obfitości saren, jeleni, dzików i szaraków dzięki hodowlanym zabiegom oraz właściwemu pożywieniu i glebie tu im sprzyjającej.

W mokradłach, osłoniętych od północnych, zimnych wiatrów przez gęste i zwarte bory, lęgną się każdego roku duże ilości ptactwa wodnego, w tym dzikich kaczek. One są wielką atrakcją i premią dla tutejszych myśliwych.

Również na styku jałowych pól, w południowej części Borów Bydgoskich można spotkać wiele gatunków dzikiej zwierzyny. Są tu fragmenty prawdziwej, pierwotnej przyrody, której zaborczość ludzka nie zdążyła zdewastować. Leśne scenerie stwarzają prawdziwą ucztę dla ducha i obiektywu fotografa. Są łowiska do których chce się powrócić, by oddychać żywicznym powietrzem i czekać z niecierpliwością na upatrzonego zwierza, oglądać kręte, piaskowe drogi popisane tropami łosi, dzików, jeleni, krwiożerczych wilków i lisów, delikatnymi śladami łapek kuny ścigającej większego od siebie szaraka.

Polowania selekcyjne wokół puszczańskiej osady Dęblin nie mają sobie równych co do wielkości rozkładów i znakomitej organizacji.

W czasie pięciu nocnych polowań doznałem tu wiele niezapomnianych wrażeń. Niektóre z nich zarejestrowałem tylko na chwilę, jako sny widziane na jawie. Zapamiętałem te, które

najmocniej zapadły głęboko w mej duszy i pozostały na całe życie.

Grunty wsi Godzięba, 10 listopada 1984 r.

Przed północą mkniemy szosą z Gniewkowa do leśniczówki w Dąbkach. Jeszcze tylko dwa zakręty w lewo i w zupełnych ciemnościach wyłaniają się nam znajome światła w oknach domku myśliwskiego Diany.

Serdeczne witani przez Zdicha i Huberta mimo zmęczenia na gorąco opowiadamy o przebytej czterystu kilometrowej trasie z Dolnego Śląska. Na stole już paruje gorąca herbata, jest zakąska i tradycyjny kieliszek koniaku.

Rozmowa dość szybko zeszała na tematy łowieckie, na ostatnie sukcesy i porażki naszych przyjaciół oraz plany na jeszcze dzisiejszą noc.

Prawie z marszu, choć zmęczeni, jedziemy dwoma samochodami wśród szpalerów starego boru, później zwartych młodników. Rzuca autami to w lewo to w prawo, droga kręta, po ciemku trudna i niepewna. Wreszcie na horyzoncie widać nikielne światelko.

Jesteśmy na skraju pól. To grunty wsi Godzięba.

- Tutaj poprzedniego dnia odkryliśmy na ściernisku tropy chmary jeleni - mówi po cichu Hubert. - Na przyległej łące jest błotne kąpielisko i tam przychodzi stary odyniec. Są jego odciski rapcie, wielkie jak podkowy. Pamiętaj! Siedzimy do oporu! Darz Bór!

Samochody odjechały. Szybko znikły światła i ustał szum silników.

Zostałem sam w zupełnej ciemności na ścieżce wyjściowej zwierzyny na rżyska i łąki przed wsią. No, nie będę tutaj sam. Edek usiądzie na trzeciej ambonie, nad tym samym

polem.

Wiedziałem już, że na kilkusetmetrowej ścianie lasu ustawiono parę czatowni. Tej, przed którą teraz stałem, a która do świtu miała mnie chronić i być moim domem, trudno by przypisać taką wzniosłą nazwę. Była, jak mówią tutejsi myśliwi, po prostu zwykłą zwyżką, lichą, bo lichą, zbudowaną z drewna olchowego prowizorką.

W myśl starego powiedzenia: „to się lubi, co się ma”, zważywszy jeszcze, że jest środek nocy, szybko wdrapałem się na jej szczyt, robiąc przy tym sporo hałasu, gdyż przy wchodzeniu skrzypiała potwornie. Za to przed sobą miałem wspaniały widok na rozgwieżdżone o tej porze niebo i prawdopodobnie pod horyzontem dachy odległej wioski, ścierniska i łąki.

Tkwiłem w bezruchu dość długo. Mrozu prawie nie czułem, ale zmęczenie narastało i coraz częściej przymykało powieki. Za mną powoli wyłaniał się księżyc, na pole rzucał coraz to nowe cienie. Stare, rozwichrzone sosny, od wiatru wychylając się na boki, smugami cieni zamiatały rżysko.

Na chwilę musiałem przysnąć, bo naraz poderwał mnie hałas. Przede mną w szklach lornetki młody byczek przywoływał do porządku swój harem. Odstające łanie szturchał porożem, by powróciły do stada. Jego zachowanie polegało tylko na stałej opiece i nadzorowaniu kilku łań i cielaków. Naraz z niezrozumiałej przyczyny dla mnie zaczął walić o ziemię łbem, nawlekając na swoje tyki tyle słomy, że wyglądem przypominał stracha. Czyżby w ten sposób demonstrował swą władzę?

Gwiazdy już bladły, powoli narastał świt. Coraz wyraźniej mogłem obserwować zaloty byka. Ani na chwilę nie przestawał podskakiwać, z coraz większą furią i zaciętością atakował coś niewielkiego na rżysku. Nastąpiła zupełna cisza. Przerwał ją głośny skowyt i szczenie lisa. Zrozumiałem, że to właśnie Mykita był przyczyną takiego zachowania się jelenia, a przestraszona chmara z wielkim hałasem wpadła do lasu, tuż obok mej zwyżki.

Na polu pozostał rudy rabuś. Ciągnął do lasu jakąś

zdobycz. To było już okropne! Na pewno miał na sumieniu niejedno leśne zwierzę, a teraz wszedł jeszcze w paradę chmarze jeleni i zdenerwował jej opiekuna!

Odległość była znaczna. Lis razem z zdobyczą sznurował w stronę sosnowego młodnika, gdy zaczęło się robić coraz widniej. Ciągłe zajęty swą ofiarą pozwolił mi spokojnie zejść z drabiny i na zielonej łące oglądać w lornetce jego rdzawoczerwone futro. Byłem bardzo ciekawy co też on upolował, tak mozolnie trudząc się tego ranka.

O strzale śrutowym nie było mowy. Zdecydowałem się tego groźnego rabusia poczęstować kulą, jeżeli tylko się to uda. Mykita teraz już wyraźnie zbliżył się do młodnika i za chwilę miał mi zginać z oczu. Kiedy na moment się zatrzymał i był dobrze widoczny na zielonej łące, krzyż lunety umieściłem na białym jego kołnierzyku i przycisnąłem spust. Razem z hukiem, odbijającym się kilkakrotnym echem od ściany lasu, łąka nagle opustoszała.

Rudawoczerwona plama odróżniała się wyraźnie od ciemnej zieleni trawy. Stary lisiura leżał wyciągnięty z czarnymi jak smoła uszkami. Jego futro miało wyraźne ślady od uderzeń byka, który natrudził się mocno, aby zadać cios niepożądanemu osobnikowi w jego haremie. W białych, wielkich kłach tego zbója jak w żelaznym uścisku, tkwiło delikatne futerko tegorocznego szaraka. A może jeleń bronił przed lisem tego małego stworzenia?

Rabús miał też maleńki czerwony znaczek na swym futerku od mej kuli. Naliczyłem od ściany lasu do niego prawie dwieście kroków.

Wrócili Edek, Zdzichu i Hubert. Były gratulacje.

Taki epizod z lisem przeżyłem pierwszy raz w życiu. Choć staniałem się na nogach od zmęczenia i nieprzespanej nocy, byłem szczęśliwy.

Pniaki, oddział 45., 11 listopada 1984 r.

Dochodziła północ. Lodowaty wiatr dmie ze wschodu, białym szronem pokryły się łąki, a przydrożne bagna cienką warstwą lodu. Pomimo ciepłego okrycia zimno wdzierało mi się za kołnierz, a na brwiach tworzyły lodowe perełki. Pod stopami zmarznięta trawa łamała się przeraźliwie głośno i skrzypiała, a moje kroki chyba było słychać na drugim końcu oddziału. Szedłem powoli, zupełnie po ciemku i nie wiem dlaczego, ale bez przekonania na sukces w tej nocy.

Wreszcie grzęda w oddziale 45., misternie sklecona ambona na skraju lasu i wydm, żółtego piasku o tej porze zamienionego w zimny, srebrzysty, falujący dywan. Jak na zburzonym morzu płynęły po nim kępy sosnowych młodników.

Już dobrze przemarznięty wspiałem się po szczeblach drabiny na jej szczyt. Wiało tam okropnie. Przytuliłem się do podpory, ukryłem ręce głęboko w kieszeniach i tak trwałem w bezruchu. Obawiałem się poruszyć, aby nie zdradzić swej obecności na tym odludziu.

Ostrożnie oglądałem w lornetce stale ten sam krajobraz. Może przez godzinę lub dwie nie było żywego ducha. A tak na wczorajszym obiedzie u pani Basi Zdzichu zachęcał mnie do tego łowiska! To tam wyznaczono mi pniaki w oddziale 45., na co nieświadomie przystałem.

Kiedy w nocy wysiadłem z poloneza i doszedłem do sosnowego młodnika, pod którym stała moja ambona, coś wewnątrz mnie przekonywało, że Zdzichu, mówiąc oględnie, wpuścił kolegę w maliny. Owszem mogły tu przechodzić jelenie, ale co by miały robić na tych piaskach? Dzików też nie będzie, bo wolą żerować pod dębami szukając żołądzi i innych smacznych dżdżownic. Dlaczego zatem zachwalał tak bardzo te pniaki?

Moje oczy już przyzwyczyły się do ciemności. Przed sobą teraz miałem mocno sfałdowany żółty piasek, ciągnący się chyba ponad kilometr, a w niektórych miejscach pod sam czarny horyzont. Odkryłem na nim małe sadzonki, celowo chyba osłonięte paskami sosnowych młodników przed szalejącymi wiatrami.

Kiedy wstając zza lasu księżyc oświetlił teren, ujrzałem szpalery czarnych pniaków wyrwanych z ziemi. Musiałem je obejrzeć i sprawdzić dokładnie w lornetce.

Na początku dalej nie było tu nic atrakcyjnego. Czyżby moje przypuszczenia wobec Zdzicha miały się potwierdzić? Zniecierpliwiony znów przyłożyłem lornetkę do oczu. Teraz od smolistych pni oderwały się trzy ciemne sylwetki i biegnąc przecinały uprawę na piasku. Poznałem - to były łanie.

Szybko wstawał świt, a z nim wzmagał się zimny wiatr. Zmarzniętymi rękami starałem się w bezruchu utrzymać lornetkę. Nagle ukazał się w niej byk o krzaczastych wieńcach. Zaniepokojony zachowaniem się łań podniósł ociężały łeb. Najpierw wietrzył, przyglądając się bacznie mej ambonie i głośno stękał. Niespodziewanie ruszył za łaniami. Stał na piaskowym wzgórzu, wyprostował swą dojrzałą, grzywiastą sylwetkę, a z jego gęby buchnęła para, a potem doniosły ryk przewalił się po piaskach, aż po krańce tej pustyni.

Mając taki wspaniały widok nawet nie przyszło mi do głowy, aby bawić się w selekcionera tym bardziej, kiedy zobaczyłem następnego rywala biegnącego na piaskową górę.

Teraz też dopiero przypominałem sobie o mojej trzysetce. Zrzuciłem nakrycie z obiektywu, wizjer przysunąłem do oka, a w nim był obraz starcia obu byków. Na piaskowym wzgórzu działy się rzeczy chwytające za gardło myśliwego. Walczyli ze sobą dwaj mocarze Borów Bydgoskich, po łosiu najwięksi mieszkańcy puszczy.

W tej gorącej chwili przycisnąłem spust minolty. Niestety, na próżno! Nie zadziałała migawka. Klasyczny niewypał! Do

diabła z japońską techniką! Zbyt słabe światło zablokowało migawkę! Gdybym miał w tej chwili enerdowską praktykę, to takiej tragedii bym nie przeżywał. Z takim aparatem przemierzyłem wiele kanadyjskich puszczy i nigdy mnie nie zawiódł!

Walka byków trwała nadal. Czerwonordzawe suknie obu rywali w pierwszych promieniach wschodzącego słońca podkreślały ich zaciętość i nieustępliwość. Grzechotanie wieńców i bolesne pojękiwania wyraźnie było słychać na mej ambonie. Trwało to parę minut.

Kiedy już jaśniejsze światło odblokowało migawkę aparatu, najatrakcyjniejsza część walki obu byków dawno się skończyła. Teraz zdążyłem tylko jeszcze, chyba na otarcie łez, uchwycić w obiektyw odchodzącego napastnika i celnie trafić. On jednak o tym nie wiedział.

Mimo niepowodzenia to było naprawdę dla mnie wielkie przeżycie i jeszcze raz potwierdzało znaną maksymę, że bezkrwawe łowy są o wiele trudniejsze od sztucerowych trofeów, bowiem najczęściej w tym jedynym, niepowtarzalnym momencie albo słońce przykrywa chmurka lub zdarza się niewypał. Stąd tak trudno o dobrą tego typu fotografię, ale pokonanego byka będę miał w swym albumie

Całe zdarzenie zarejestrowałem głęboko w mej pamięci i mogłem przy śniadaniu opowiedzieć o nim w detalach Zdzichowi, Hubertowi, Mundkowi i pani Basi.

Do tutejszej tradycji należało, że każdy z nas opowiadał swoje przeżycia z myśliwskich zasiadek. Moje wrażenia przychylnie zostały przyjęte, z czego się bardzo ucieszyłem.

Na granicy obwodu, 12 listopada 1984 r.

Naszym myśliwskim kucharzem był Edek. Trzeba przyznać, że dania obiadowe przygotowywał znakomicie. Dzisiaj jedliśmy jajecznicę na boczku z wkładką z wędzonej kielbasy myśliwskiej, wyrobu Zdzicha. W dniu wczorajszym, po całonocnej eskapadzie, mieliśmy pyszną zupę z majerankiem, której ponętny zapach rozchodził się po całym domku. Jeszcze innym razem była wątróbka z grzybami, pyszności dla podniebienia, na zarumienionej cebulce i z zapachem sosnowego aromatu lasu zza okna. Proszę sprawdzić jak to smakuje! Na koniec, dla równowagi, po małym kieliszeczku wódki.

Moim i Zdzicha zadaniem było tylko zmywanie naczyń i serwowanie herbaty oraz kawy, tej ostatniej chyba najwięcej, bo towarzystwo ciągle chodziło niewyspane.

Przygotowania do kolejnej wyprawy z Frankiem, doprecyzowanie jej szczegółów, wybór rejonu, omawialiśmy na schodach naszej kwatery. Oparliśmy strzelby o poręcz, tuż pod wielkim malowidłem tokującego głuszca na ścianie naszego domku. Pijąc herbatę Franek podniósł głowę. Spojrzał na tokującego trubadura i oświadczył:

- Pojedziemy do jego rewiru. Tam w ubiegłym roku spotkałem tego ptaka. Tamten las jest bardzo interesujący i zasobny w zwierzynę. Warto go obejrzeć, choć to dość daleko, bo leży na granicy obwodu. Właściwie to sąsiadujemy z Kołem Piast z Kruszwicy, które może nam zawdzięczać to, że mają gdzie polować. Kiedy na ich obwodzie w Roźniatach po wojnie utworzono rezerwat i wybudowano woliery do hodowli bażantów, my kawał swojego terenu oddaliśmy kolegom znad Gopła. Mam tam też w pobliżu porachunki z ciekawym bykiem, który już nie pierwszy raz uszedł mej strzelbie. Chętnie bym się dzisiaj z nim spotkał!

Mimo zimnego wieczoru wcześniej wypity kieliszek

ogrzewał mnie dobrze i zachęcał do działania. Do plecaka zapakowałem aparat fotograficzny i resztki z obiadu.

Dość późno dotarliśmy do odległej ambony w oddziale dziewiętnastym, graniczącym z obwodem Piast. Tutaj nad wysokim lasem przelatywały klucze gęsi, które swym metalicznym gęganiem robiły wiele hałasu. Franek, korzystając z gęsiego zamieszania, szybko wdrapał się na ambonę. Mnie zatem wypadało pójść dalej na jedynekę, pod sam sąsiedni obwód.

Szkoda, że nie byłem tam wcześniej, ale i tak dwa ostatnie wznoszące się z pola ptaki trafiłem obiektywem aparatu.

Cały mój ekwipunek, poza kamerą, pozostawiłem na ziemi, a sam z trudem wdrapałem się na grzędę. Było tu cicho i spokojnie. Wydawało się, że od wielu lat nikt tu nie zaglądał. W drabinie brakowało szczebli, siedzenie było zmurszałe i groziło zarwaniem. Za to jaki wspaniały widok! U podnóża ciągnęła się niewielka skarpa, a za nią maliniak i sosnowa dragowina, dalej już młodniki, niczym gęsta kosodrzewina. Obok przebiegało wiele ścieżek zwierzyny wychodzącej na pola. Jedna z nich szczególnie mnie zainteresowała. Była jakby wydeptana przez warchlaki z lochą

Miałem zatem szanse na dziki! Gdyby Franek o tym wiedział na pewno by mnie tu nie puścił!

Zdradliwa, listopadowa mgła zaczęła oplatać swą pajęczyną młodniki i coraz gęściej zalegać w maliniakach. Noc zapadła szybko. Niebo było bez najmniejszej chmurki, drzewa teraz przypominały potworne kształty i wydawały się być w ciągłym ruchu.

Pierwszy raz w życiu siedziałem na tak niebezpiecznej ambonie, przy tym intuicyjnie przeczuwałem spotkanie z wychodzącymi na pola dzikami, najprawdopodobniej z warchlakami i lochą. Myśli te nie dawały mi spokoju, bo ścieżka pode mną była świeżo wydeptana, a z grzędy, której się kurczowo trzymałem, aby nie spaść, o celnym strzale nie było mowy.

Nim księżyc wyszedł zza lasu przez ponad godzinę przeżywałem istną orgię hałasów w maliniaku. Oczu omal nie wypatrzyłem w nim i na znajomej ścieżce. Niestety, nic nie odkryłem.

Łamane gałęzie, ciche warknięcia, tarmoszenie się i znów warknięcia. Co to może być, jaką do licha zagadkę ten maliniak mi szykuje? Mijała znów następna godzina, już bolały mnie wszystkie kości.

Nie słuchałem porykiwań jeleni, nawet nie reagowałem na daleki strzał, chyba Franka, który miał przecież tu porachunki z selektem.

Księżyc świecił jasno, było widno jak w dzień. Dochodziła druga w nocy, kiedy moim oczom ukazuje się mały, pasiasty niedźwiadek. Ponownie nastawiam ostrość lornetki i oczom nie wierzę! To borsuk, a za nim dwa maluchy chwytają się, biją na niby i zabawnie wspólnie toczą po ścieżce jak kłębek wełny.

Ale dałem się nabrać! Musiałem z zachwyty się poruszyć, bo maluchy znikły mi z oczu. Matka jednak pozostała i węszyła. Rozglądała się na boki i z cichym warknięciem ruszyła pod moją ambonę. Byłem zaskoczony, kiedy skradała się coraz wyraźniej do mojego plecaka. Teraz dopiero przypominałem sobie o resztkach z obiadu, które miałem wysypać na początku lasu.

Borsukowa była wielka. Mogłem ją obejrzeć z bliska. Na pewno ważyła kilkadziesiąt kilogramów. Miała grubą szyję i czarno - białą pręgę biegnącą przez łeb.

Jedną łapą wyrwała worek z żarciem z mego plecaka, rozerwała go, chwyciła resztę w łapy i tyłem zaczęła się cofać. Stuknąłem głośno w żerdź. Borsuk natychmiast stanął w miejscu. Wydawało mi się, że mnie dostrzegł. Oświetliłem go latarką. Nie reagował. Jeszcze stał przez chwilę i spokojnie cofając się zginął, ku memu wielkiemu zdumieniu, w maliniaku.

W trakcie spotkania ani przez chwilę nie przyszło mi do głowy, aby mieć jego nieprzemakalną skórę, czy bobrową sierść

na pędzel do kapelusza. Przecież to bardzo pożyteczny zwierzak, niszczy wiele myszy i szkodników leśnych, przy tym jest bardzo odważny. Przekonałem się o tym tej nocy.

Wprawdzie nabrał mnie sromotnie, jednak nie żałowałem tego czasu, ani spotkania z nim i jego zabawnymi urwisami.

Pudło w stu procentach, 13 listopada 1984 r.

Po północy obudził mnie Hubert.

- Wstawaj! Za oknem blada poświata księżyca - mówił po cichu. - Ubieraj się! Jest lepiej niż było przed pełnią. Ja ze Zdzichem wybieramy się do oddziału 98., ty pojedziesz z Frankiem. Czeką na ciebie w starej leśniczówce.

- Ale przebiegli - pomyślałem - jadą w sam środek puszczy, do jej samego matecznika. Tam przecież nie ma ambon, ale za to jest spokój, mieszkają odyńce, które nad ranem będą wracać z kukurydzianych pol.

Wygwieżdzone niebo świeciło tysiącami migających gwiazd. W starej leśniczówce świeciło też w oknie maleńkie światelko.

Franek, jak wzorowy żołnierz, już na mnie czekał.

- Pojedziemy trochę bliżej - powiedział - by być w kontakcie z kolegami. Tam są wielkie dziki! Będziemy pilnować mokradeł nad jeziorem Starym w oddziale 102. Mimo, że dzisiaj jest trzynastego mam nadzieję, że coś spotkamy. Muszę jednak tobie wyznać, że jestem trochę przesądny. Każdego trzynastego wykonuje tylko niezbędną czynności i te najczęściej mi się nie udają. Ale nie przejmuj się tym co mówię!

Wyszliśmy obaj na podwórko. Głośno skrzypnęły drzwi leśniczówki. Ze swej budy jak opętana wyskoczyła Bąka, pies leśniczego, rozszczękała się okropnie. W kancelarii zapalono

światło, otwarto okno i dało się słyszeć brzydkie przekleństwo.

Nastąpiła cisza. Jasna poświata księżycy towarzyszyła nam prawie do samych mokradeł. Według słów Franka mieszkało w nich wiele watach dziczych i w tych topieliskach czuły się nadzwyczaj bezpiecznie.

Rzeczywiście na skraju lasu było miejsce na zasiadkę wymarzone i tu postanowił zostać mój kolega. Mnie wypadało pójść dalej. Po ciemku stale potykałem się o młode sosenki, które teraz tworzyły przede mną przeszkody nie do pokonania, stąd hałas i mój niepokój o spotkanie z czujnym dzikiem.

Po godzinie drugiej siedziałem już wygodnie na ambonie. Było jeszcze zupełnie ciemno, ale bagno żyło swoim rytmem. Ciągłe jakieś dziwne buczenie, potem kwakanie i zawsze plusk wody towarzyszył tym hałasom. Ten głośny rejwach trwał aż do samego świtu, a kiedy starałem się wypatrzeć, co tam się dzieje, chłodnym powietrzem targnął huk z Franka czatowni. Przewalił się jak ciężki walec po wysokim lesie, nawet zachwiał koronami najbliższych sosen, bo spłoszył puszczyka, który usiadł przede mną i przestraszony szybko odleciał.

Kiedy pierwsze promienie słońca oświetliły horyzont nad bagna nadleciało stado czarnych kruków i krążąc darło się okropnie. To już koniec polowania! Przy takim hałasie tego lasu już nie i nikt nie odwiedzi. Tyle tych złowieszczych ptaków nie widziałem przedtem nigdzie. Chwilami nad mokradłem robiło się czarno od ich skrzydeł.

Co za dziwne fatum panuje na dzisiejszym polowaniu? Najpierw szczekanie psa przy leśniczówce, teraz tyle kraczących kruków! Czyżby Frankowa trzynastka miała się sprawdzać?

Postanowiłem wrócić do przyjaciela. Już z daleka sygnalizował mi, że strzelał do wielkiego odyńca. Kiedy się spotkaliśmy oświadczył, że znalazł parę czerwonych perełek farby, ale dzika, niestety, nie było.

Wrócił też Hubert ze Zdzichem. Z dużą znajomością odczytali miejsce zestrzału, połamane gałązki, przygniecioną

trawę i znaleźli pień brzoźki, w którym utkwiała kula Franka.

- Pudło w stu procentach - oświadczył Hubert.

Teraz już byłem pewien, że Franek zwali winę na pechową trzynastkę. Szkoda mi było przyjaciela. Zdenerwował się okropnie i w końcu zgodził na powrót do leśniczówki. Zupełnie załamany w drodze obiecał sobie, że porządnie przestrzela swój sztucer.

Kiedy kończyliśmy śniadanie naszym domkiem targał potworny huk. To Franek strzelał do dużej tektury, z zawieszonym w środku kawałkiem czarnej papy.

- Koledzy, idźmy mu pomóc - wstając od stołu, zaproponował Hubert. - Franek jest tym pudłem załamany. Chyba każdy z nas myślałby podobnie.

Na tarczy wszystkie wystrzelone kule układały się w czarnym kwadracie papy. Hubert nie czekając na pozwolenie Franka wziął jego sztucer i powtórzył ten sam wynik, a oddając mu strzelbę powiedział:

- Idź chłopie się przespać! Jutro na pewno trafisz tego dzika!

Franek nie wierzył tym wynikom. Ukrył się w stodole obok leśniczówki, położył na snopie słomy i dalej strzelał. Kule trafiały w sam środek tarczy zawieszanej teraz na kole siewnika. Odbijając się od niego niosły świszczący dźwięk, jakby pękających strun.

Długo nie trzeba było czekać. Zdenerwowany tym hukiem leśniczy zdrowo nabluzgał trefnemu strzelcowi. Ten jednak wcale się tym zbytnio nie przejął, bo wiedział, że trzynastka dotąd zawsze przynosiła mu pecha.

Następnej nocy jednak Franek strzelił swego selekta, za którym już od dwóch lat chodził bez powodzenia. Więc coś z tymi przesadami u niego było naprawdę i się sprawdzały.

Na Eszówce, 14 listopada 1984 r.

Mróz od kilku dni nie spadał, co najwyżej trochę zelżał za dnia, by pod wieczór ponownie szczypać w policzki i nos.

Nasza kompania do kolacji siadła w pełnym składzie i doskonałym nastroju. Strączkowski przywiózł rano swego byka, pozostali spotkali świeże barłogi i byli pełni nadziei na sukces dzisiejszej nocy.

Postanowiliśmy tego wieczoru nie brać do ust nawet kieliszka, bo Franek poprzedniej nocy wziął ich chyba zbyt wiele, a efektem tego było pudło do dużego odyńca.

Ta noc zapowiadała się piękna, rozgwieżdżona blaskiem księżyca, tajemnicza i radosna.

Byliśmy na granicy obwodu. Piaszczysta droga skręcała na północ, na legendą już okryty rewir zwany Eszówką. Tutaj jak w soczewce skupiały się wszystkie łowne zwierzęta puszczy. Był to teren wyjątkowo przychylny zwierzynie ze względu na dużą liczbę gęstych młodników, przy których znajdowały się ziemniaczyska i kukurydziane pola. W głębi stało parę zagubionych chałup pamiętających jeszcze ubiegły wiek. Niczym zwierzynie nie przeszkadzały, była do nich już przyzwyczajona. Nie było też myśliwego, który tu nie zdobył kapitalnych jelenich wieńców, medalowych parostków rogaczy i szabli dzików, wielkich jak kosy. Domyślałem się, że nazwę nadano temu rewirowi na cześć zasłużonego nestora koła Edmunda Eszego.

Nagle nasza skoda się zatrzymała. Obok na ozimie w poświęcie księżyca żerował byk o grubej szyi, z długą czarną grzywą. Był tu symbol tych borów. Nie był młodzieńcem. W lornetkach oglądaliśmy jego okazały wieniec. Liczyliśmy odnogi. Miał ich siedem lub osiem, na pewno był mocnym czternastakiem. W świetle księżyca pozował jakby do posagu na okazały cokół. Był jednak czujny. Niespodziewanie ruszył i wpadł w ścianę lasu, głośno łamiąc za sobą gałęzie.

Jechaliśmy dalej. Znow gwałtowne hamowanie rzuciło mnie na przednie oparcia siedzeń. Teraz jednak o wiele boleśniej odczułem to uderzenie. Przed maską samochodu przebiegła wataha dzików i zginęła w oszronionej szczotce młodnika. Przelatki, z postawionymi ku górze hybami wcale się nie bały, nie biegły szybko. Prowadziła ich wydeptana ścieżka na przyległe pole.

Nasze napięcie wzrosło do zenitu, a w światłach reflektorów pozostały tylko iskrzące się mrozem trawy i ogromna nadzieja na spotkanie z dzikiem.

Ciche sosny zakwitły tej nocy lodowymi perełkami i przyozdobiły się srebrzystym szronem. Rzuciły długie cienie i czarne pręgi na żółty piasek. Dalej las w tym rewirze był kilkuletni i rósł naprzeciw świeżo co pobuchtowanego przez dziki pola.

Z ogromnym trudem odnalazłem w nim przez Gronikowskiego wskazaną grzędę, z ławeczką i daszkiem nad głową, jednak ciasną i niewygodną. Nawet nóg nie można było wyprostować.

Dopiero po godzinie, kiedy byłem zmarznięty do szpiku kości, ukazał się mym oczom lis, który sznurował na wprost mej czatowni.

Nie jest dobrze – myślałem. Wcześniej wypłoszyliśmy watahę dzików, które szły do wyjścia na kukurydziane pole. Teraz przede mną lis, a za nim sarny wyszły i spokojnie żerowały. Tu chyba tej nocy już nic ciekawszego nie spotkam.

Znow minęło sporo czasu, a przede mną dalej nic się nie zmieniało poza tym, że księżyc powoli przygasał i robiło się ciemniej.

Zmień natychmiast to miejsce - myśl taka męczyła mnie coraz bardziej i coraz częściej. Może ty chłopie miałeś kiedyś więcej szczęścia, a teraz jesteś zagubiony jak ten palec w nocy, w tym nieznanym dzikim terenie. Weź się w garść i sam poszukaj sobie tego odyńca - coś mi stale doradzało.

W końcu postanowiłem zejść na ziemię. Z jaką ulgą opuściłem ostatni stopień drabiny! Od razu zrobiło mi się cieplej i wreszcie mogłem rozprostować nogi. Zdecydowanie chwyciłem podpórkę i pełen nowej energii po cichu wycofałem się na piaszczystą drogę.

Zbliżała się godzina druga. Szedłem w głębokich koleinach piasku. Mimo zagubienia nagle stałem się pełen wiary w spotkanie z nocnym zwierzem.

Za zakrętem drogi usłyszałem dalekie ujadanie psów powtarzane dość regularnie. Zapamiętałem ten rokujący nadzieję nocny sygnał z dawnych lat. Był on moją przepustką na spotkanie z czarnym zwierzem, jeżeli tylko będę umiał ją wykorzystać.

Odważnie zszedłem z utartego przez samochód szlaku i skierowałem na miedzę biegnącą w kierunku psich głosów. Minąłem uprawę, dalej klin niewielkiego lasu. Przede mną błysnęło blade światło w oknie domu. W lornetce odkryłem też parę innych spadzistych dachów pokrytych blachą, odbijającą o tej porze nocy zimny blask księżyca. Przed nimi roztaczało się rżysko, a na nim kopy zboża.

Uwiązany na łańcuchu wiejski Burek szarpał się i głośno oszczekiwał, choć jeszcze nie byłem pewien przyczyny jego zachowania. Ostrożnie przybliżyłem się do zagrody i rżyska. Nos już mnie bolał od ciągłego opierania lornetki i dalej nic ciekawego nie umiałem odkryć. Postanowiłem, że względu na szczekanie psa, pole to obejrzyć szczegółowo, snopek po snopku. Część kop stała, a od strony lasu widać było powywracane rzędy. Jedynie wśród nich mogłem się teraz spodziewać dzika i w końcu go znalazłem. Jeszcze św. Hubert mi dopomógł i usunął chmurkę z tak już bladego księżyca i wówczas nogi ugięły się mocno pod mną. Wśród kop stał równy im wielkością ogromny pojedynek Naraz zwątpiłem w tych ciemnościach. Może to krowa gospodarza? Przetarłem szkła - nie dzik, czarny jak smoła, wielki jak żubr, chyba ponad sto pięćdziesiąt kilogramów wagi, sześćdziesiąt kroków ode mnie. Ręce mi się zatrzęsły, obraz w

lornetce drgał jak galareta.

Nagle zdałem sobie sprawę, że łowczy nie wybaczyłby mi, gdybym do tego wielkiego dzika strzelał. Uspokoilem się trochę. Chciałeś dzika to go masz! Jednak przerósł on twoje oczekiwania - podpowiadało mi sumienie.

Nie mogłem od niego oczu oderwać. Przed sobą miałem tak wymarzonego, nocnego zwierza.

Jak rozerwana granatem gwałtownie rozleciała się przed nim kopa i snopki rozsypały się na boki. Olbrzym jak burza wpadł do jej środka i dokonał resztę dewastacji tej misternie przez rolnika ustawionej budowli, głośno mlaskając. Widocznie chwycił tam polne myszki, które mieszkaly pod słomą.



Jak w śnie odkryłem teraz drugiego dzika - chuligana, który pomagał swojemu starszemu opiekunowi w rozwalaniu snopów. Wyraźnie robił to w znowie, bo następną kopę zaczynał przewracać wtedy, kiedy tamten pożarł już wszystkie myszy w poprzedniej i stanął przed nową, przyglądając się pracy swego sługi. Jego pomocnik był o wiele mniejszym dzikiem, równie czarnym, posiadał gęsty kożuch i był stale w ruchu. Gospodarz tego pola miał szczęście, że tu trafiłem, bo do rana rżysko to zamienione by zostało w pobojoywisko. Czekalaby go dodatkowa

praca przy porządkowaniu zboża.

Szybko ustawiłem podpórkę. Mimo, że spektakl dzików mnie rozgrzał, nie mogłem trafić palcem na spust kniejówki. Wreszcie czarny krzyż, kożuch, kark i huk. Nie odkładałem od oka lunety. Dzik w niej rwał do najbliższego lasu i tylko w tej ciszy łamiące gałęzie upewniły mnie o jego ucieczce.

Pies już przestał czekać. Naraz w kilku oknach chaty zapalono światła, a księżyc się skrył zupełnie. Na polu zastała mnie ciemna noc. Podszedłem do rżyska. Po kolei dochodziłem do leżących snopków zboża, ruszałem je butem, aż w końcu dotarłem do lasu. Jego wnętrze było ciemne i gęste, nie dawało żadnej szansy na odnalezienie dzika, jeżeli tylko moja kula go dosięgła.

A jak nie trafiłem dzika, gorzko będę się przed łowczym tłumaczył! Teraz liczyły się tylko fakty. Dzika na rżysku nie było, łamane w lesie gałęzie świadczyły o jego ucieczce, a co z drugim? Same niewiadome. Może leży ranny? Farby w świetle kiepskiej latarki nie mogę znaleźć, sam w ten las nie wejść i masz ci tu babo kłopot!

Załamany powróciłem do piaskowej drogi, zdając sobie sprawę z ogromnego zadania, jakie mnie tego ranka czekało. Reakcje łowczego już znałem na pamięć. Zawsze grzeczny i układny, teraz powie: przecież jest ludzką rzeczą w nocy nie trafić dzika, a Franek nazwie sprawę po imieniu i będę u niego pudlarzem.

Szare, jednolite niebo stało już nade mną, kiedy wrócił łowczy. Widząc mnie ze zwieszoną głową, spytał:

- Co, pudło?

Cały bieg zdarzeń opowiedziałem w detalach. Pocieszył mnie, abym się nie martwił.

- Coś zaradzimy. Wydaje mi się, że on leży. Weź moją silną latarkę i w ten las wejdziemy razem.

Pod rżysko podjechaliśmy samochodem. Łowczy zdjął ze swego sztucera lunetę, ja wziąłem latarkę i tak poszliśmy szukać

dzika.

- To ty porozzwalałeś te snopy? - spytał mnie łowczy.

- Przecież chłop nas więcej na pole nie wpuści!

Znów od nowa się tłumaczyłem i usprawiedliwiałem. Teraz dopiero zobaczyłem ten ogrom chuligańskich wybryków odyńca. Oprócz bałaganu widniały tu głębokie rowy, wyorane w poszukiwaniu myszy przez oba dziki.

Nie było nawet śladu farby i śladu na to, że dzik tu został. Jediną nadzieją był pobliski las.

Kiedy opuszczaliśmy rżysko łowczy zauważył, że jedna z kop zboża wydała się mu nietypowa. Była zbyt spłaszczona. Podszedł do niej, zdjął z wierzchu snopek zboża i krzyknął do mnie:

- Chodź tu jest ten twój żubr!

Biegłem jak opętany! Z serca spadł mi kamień! Wśród rozłożonych żółtych snopów, w samym środku rozwalonej kopy połyskiwał szczecina czarny kożuch dzika.

- Waży ze stówę jak nic - stwierdził łowczy.

Chwycił za tylny bieg, odwrócił zwierzę. Moja kula tkwiła w dolnej części karku. Uszedł zaledwie z dziesięć kroków. Wpadając w kopę nakrył się snopkami zboża i zamaskował. Teraz stałem nad nim i powracałem myślami do nocnych przeżyć. Łowczy odnalazł odciski na piachu rapcie jego współtowarzysza. Jego trop ledwie można było nakryć dłonią.

- Ma dobrze ponad sto pięćdziesiąt kilogramów - klepiąc mnie po ramieniu powiedział łowczy. - Gratuluję!

Na wadze w skupie mojemu dzikowi zawieszono metrykę z wagą 83 kilogramy.

Łowczy tej nocy przegapił dużego odyńca. Do domku myśliwskiego wróciliśmy już późno. Moi towarzysze, zachęceni tym sukcesem, pojechali jeszcze na oziminy, gdzie wychodziły jelenie. Mieli szczęście, spotkali całą chmarę. Edek strzelił cherlawą łanię, a łowczy wałęsającego się lisa. Niestety, łanie musiano odszukać przy pomocy psa.

W tym polowaniu już nie brałem udziału. Byłem potwornie zmęczony i wołałem na dłużej pozostawić wrażenia z dzisiejszej nocy. Po wypiciu gorącej herbaty z rumem zdażyłem jeszcze sporządzić notatkę z nocnych przeżyć, a te, których nie zapisałem, powróciły w czasie snu.

*

Do dziś jeszcze pamiętam kolację przygotowaną przez panią Basię - żonę łowczego. Nasza kompania była wesoła. Siedzieliśmy przy stole w domku myśliwskim Diany po powrocie z wieczornej zasiadki. Zanim zaczęły się opowiadania, raczyliśmy się pysznymi daniami. Była pachnąca cebulką wątróbka, kawa, a nawet smażona ryba, przyrządzona na sposób regionalny.

Zaczęły się żarty, opowiadania, o dopiero doznanych przygodach. Napięcie wzrastało coraz bardziej. Kiedy zaś Hubert wyciągnął ze swej myśliwskiej torby flaszkę, a obok stanęła druga i trzecia, gwałtownie zwiększała się wielkość widzianych w borze odyńców, a byki miały medalowe wieńce.

Była już późna noc, znad puszczy leciały coraz niższe śniegiem napchane chmury. Czułem się wówczas młodym sztubakiem, któremu skończyły się wakacje u dziadka i musiał wracać do domu.

Zbieraliśmy się do wyjazdu, emocje myśliwskie ustępowały. Z żalem żegnaliśmy srebrną szadzią zabarwiony piaskowy krajobraz Bydgoskich Borów, zapach przywędłych wrzosów i grzybni.

Dwa rosochate jelenie wieńce na dachu naszego auta wzbudzały zazdrość i podziw, a nam przypominały przygody przeżyte w puszczy w ciągu pięciu nie przespanych nocy.

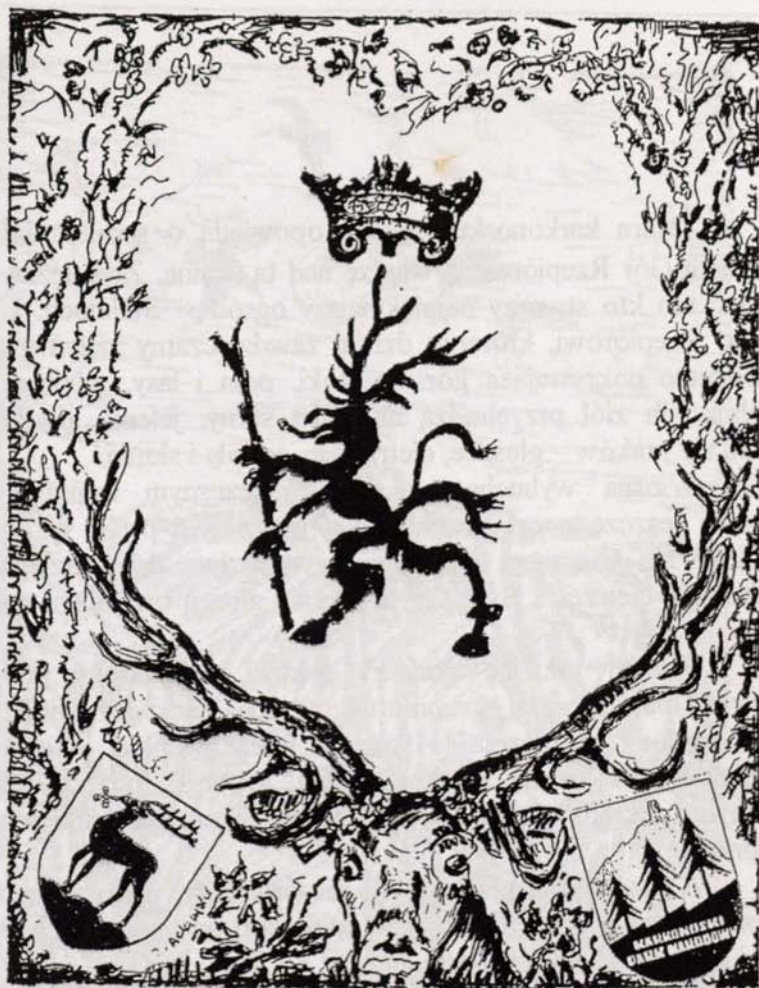
W tym położeniu nie można było
przebiegać, ponieważ w tym czasie
nie było jeszcze żadnych
zobowiązań, któreby mogłyby
być powodem do
zawieszenia sprawy.

W tym czasie nie było
żadnych zobowiązań, któreby
mogłyby być powodem do
zawieszenia sprawy.

W tym czasie nie było
żadnych zobowiązań, któreby
mogłyby być powodem do
zawieszenia sprawy.

W tym czasie nie było
żadnych zobowiązań, któreby
mogłyby być powodem do
zawieszenia sprawy.

W tym czasie nie było
żadnych zobowiązań, któreby
mogłyby być powodem do
zawieszenia sprawy.



CZĘŚĆ DRUGA W OGRODZIE RZEPIÓRA

Stara karkonoska legenda opowiada o sporze diabła z Duchem Gór Rzepiorem o władzę nad tą krainą. Zwycięzcą miał zostać ten kto stworzy najpiękniejszy ogród w Sudetach. Udało się to Rzepirowi, któremu dzisiaj zawdzięczamy zieleni gęstym kobiercem pokrywającą górskie stoki, pola i lasy, gdzie wśród pachnących ziół przychodzą na świat sarny, jelenie, muflony i dziki, a z ptaków – głuszce, cietrzewie, sokoły i słonki.

Wiosna wybucha tu nagle. Wczesnym rankiem, po ciemnej jeszcze nocy, rozbrzmiewa głuszcowa pieśń w Sowiej Dolinie. Na Czarnym Grzbiecie w wymarłym lesie rozlega się bełkotanie cietrzewi. Swą skrytą pieśnią głoszą one nową radość życia.

Później już nie poruszy gałązki najmniejszy powiew wiatru. Upał leje się z bezchmurnego nieba. Teraz przychodzą na świat młode zwierzęta i ptaki. Rześki chłód spływa z zaśnieżonych jeszcze Kotłów i koi grubego odyńca, który niedawno ukradkiem wrócił zmęczony z nocnej, złodziejskiej wyprawy.

A już liście buków się zaczerwieniły, pokryły patyną śniedzi, złota i żółci. Srebrzy się babie lato na przełęczach, a po kniei odzywa się królewski zwierz.

Nagle białe puch stroi łąki i lasy, przybiera góry jakby do ślubu. Dzik ostrożnie stawia kroki, by nie zdradzić swej kryjówki. I tylko szaraczek nie robi sobie nic z ponowy i kurzy się za nim śnieg tumanami.

W każdej porze roku zapraszam do tego cudownego ogrodu Rzepióra z kamerą i strzelbą!



ZWIĄSTUNY WIOSNY



21. Na szlaku ptasich przelotów

Przedemną bagno wrzało życiem setek stworzeń. Pod zielonym sklepieniem świerków było mroczno i cicho, tam na gnieździe wysiadywała swe jajka słonka. Partner obok strzegł wspólnego gniazda i bacznie zerkał w kierunku mego obiektywu. Wybrałem to stanowisko na szczycie skarpy, aby być blisko niego. Pode mną cicho szemrał górski strumyk, tłumiał moje głośne zachowanie i co chwilę ugiął i szarpał gałązką brzoźki zamoczonej w wodzie.

Słonki każdego roku budowały w tym rejonie swoje gniazdo i szczęśliwie wychowywały pisklęta. Kiedyś nieruchomo siedzącą na gnieździe samiczkę pokazał mi leśniczy i tak to miejsce polubiłem, że od wielu lat każdą wiosnę zaczynałem od odwiedzenia długodziobej jego mieszkanki.



Teraz obok gniazda odkryłem jeszcze dwie wielkie żaby w godowym uścisku, a na pobliskim bajorku parę kaczorów krzyżówki. Nie zwracały na mnie zupełnie uwagi. Cały czas były zajęte rozczesywaniem swoich piórek na skrzydłach, dając istny pokaz mody przed siedzącą na gnieździe kaczką – mamą.

Przed nami z mokradła unosiły się białe opary – resztki nocnej mgiełki i rozpyływały na tle granatowego, górskiego masywu Karkonoszy, który pierścieniem otaczał staw i mokradła Wojcieszyc, Podgórzyna i Sosnowki.

Siedząc osłonięty w trzcinowym namiocie przypominałem sobie, że nigdy przedtem nie byłem na wiosennych ciągach słonek. Obiecał mi kiedyś leśniczy z Maciejowej, że zabierze mnie na Podkowę, w miejsce gdzie każdej wiosny spotykano te ptaki. Tam w kilkuhektarowym bagiennym lesie każdego roku polował na te tajemnicze ptaki. Nikt poza nim z jego koła łowieckiego nie mógł się pochwalić tym rzadkim trofeum.

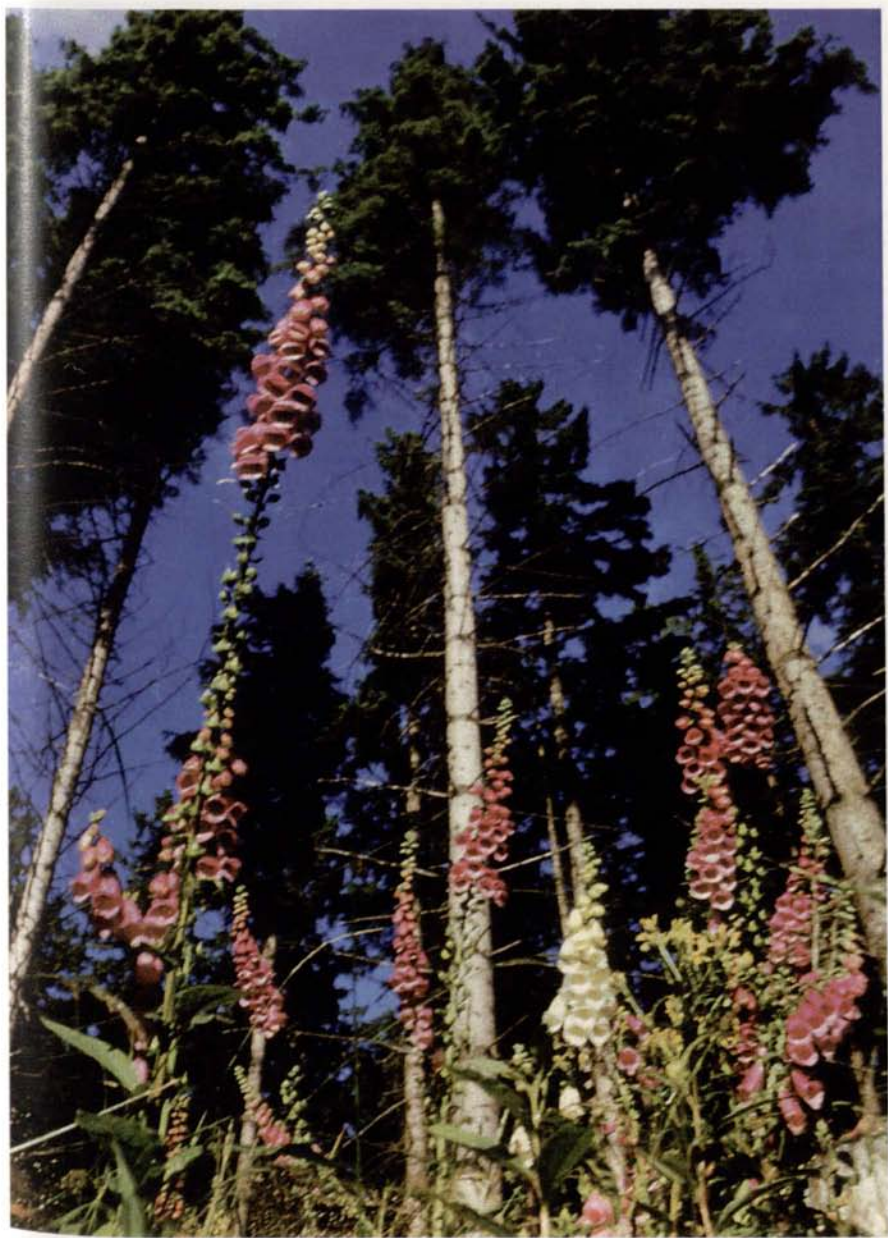
Po powrocie do domu postanowiłem telefonicznie przypomnieć mu o tej obietnicy. Jak to zwykle bywa leśniczy znalazł trochę czasu dopiero po trzech dniach i umówił się ze mną przed lasem.

Pod wieczór chmury zaciemniały horyzont, ciepły, wilgotny powiew wiatru zwiastował mżawkę.

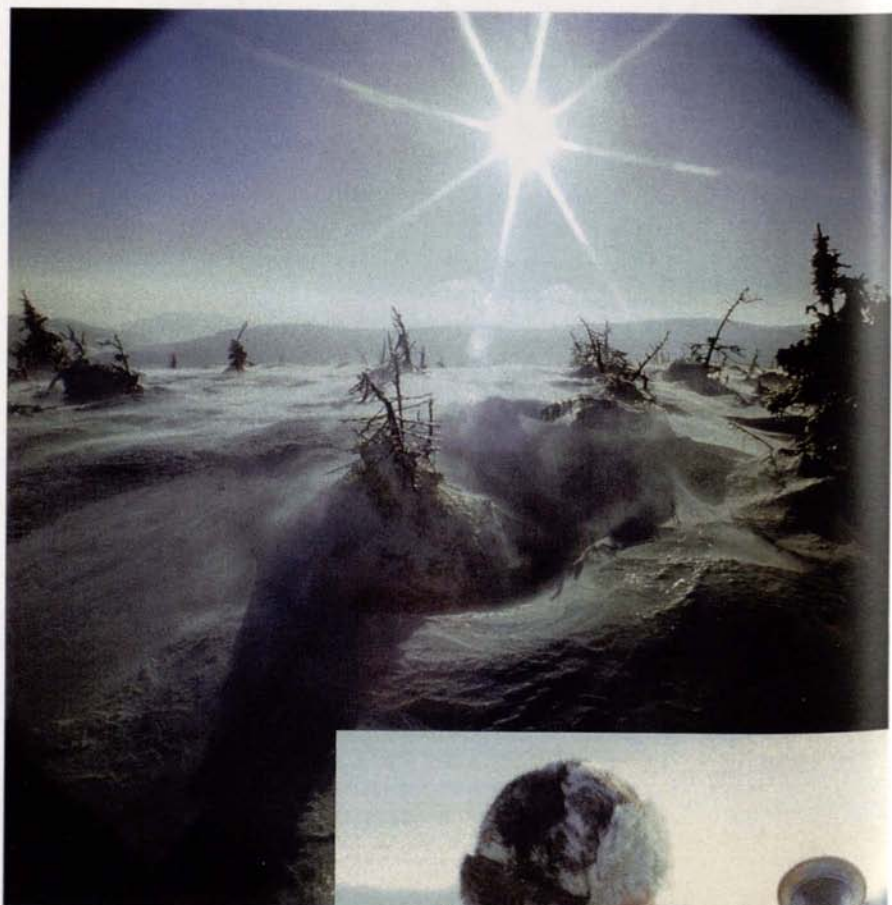
- Jeżeli nie będzie padać siądziemy pod brzózkami – zakomunikował leśniczy. – Kamerę możesz schować głęboko do plecaka, bo jeżeli słonki dziś będą ciągly to o pełnym mroku.

Zmęczeni ostatni odcinek drogi pokonywaliśmy skacząc po pniach zanurzonych w kałużach wody. Przed nami ciągnęła się długa, podmokła łąka otoczona olchami, które rosły przy strumyku. Z nastającym zmierzchem robiło się coraz ciszej i coraz gęściej kropelki wody pokrywały twarz. Brzydka szarość powoli wstępowała na łąkę, przed nami znikły wszystkie stworzenia, bo nastawał czas ciągów słonek.

Na styku dnia i nocy w ciszy, która napełniła łąkę, niepostrzeżenie rozległo się głośnie chrapanie. Powtórzyło się



Wiosna wybuchła tu nagle. (s. 129)



W każdej porze roku
zaprasza, ten cudowny
ogród Rzepióra. (s. 129)



Noc cudowna, śnieżna
noc, zwiastująca Wigilię Bożego Narodzenia (s. 203)

kilkakrotnie, kiedy słonka ciągnęła nad łąką, następnie syknąwszy zginęła w ciemnej ścianie lasu. Po chwili znów chrapanie dało się słyszeć tuż nad wierzchołkami olch. Dwa ptaki niczym na pokazie lotniczym koziółkowały zabawnie wokół siebie. Nagle jeden z nich pokazał się wyraźnie nad wierzchołkiem olchy, w pobliżu leśniczego i jakby trafił niewidoczną przeszkodę. Zaczął bezwładnie opadać. Potem dopiero głośny huk nappełnił tę ciszę, zanim druga słonka obniżyła lot chrapiąc. Świecą poszybowała w niebo.

Huk jej nie przestraszył, bo nad łąką znów rozległo się chrapanie. Na próżno próbowałem stracić jednego z goniących się ptaków. Leśniczy też teraz spudłował bliską słonkę. Zrobiło mi się lżej na sercu, że tej też się udało ujść z życiem.

W świetle latarki oglądałem tego maleńkiego ptaka o ciemnobrazowym grzbiecie, z popielatą pręgą i zabawnie ciągnącą się smugą przez oko. Wydawało się, że ptaszek się teraz nam przyglądał. Jego czarne, duże oczy przeszywały nas byстрым wzrokiem. Zauważył to leśniczy i powiedział:

- Strzeliłem tylko dlatego, żeby wywiązać się z danej obietnicy.

Zrobiło mi się żal długodziobej słonki i przyrzekłem sobie że już więcej nie będę na nią polować ze strzelbą.

22. *Taniec słonek*

Druga dekada maja miała się ku końcowi. Noce były ciemne, ale jak na tę porę roku w górach dość ciepłe. Z leśniczym Michałkiewiczem spotkaliśmy się na parkingu hotelu „Skalny” na Wilczej Porębie.

- Domyślam się, że macie odstrzały na dzika, oczywiście mam na myśli odyńca, bo to przecież dopiero wiosna - powiedział leśniczy. - Przypominam o tym dlatego, aby było wszystko jasne już od samego początku.

Obaj potwierdziliśmy jego słowa kiwnięciem głowy.

- Zobaczymy co też nam ten górski bór dzisiaj zechce ofiarować – kontynuował pan Michałkiewicz. - W ubiegłym tygodniu, kiedy kontrolowałem zrab, odkryłem na granicy kosodrzewiny dwa świeże dzicze przesmyki. Było to również interesujące co zagadkowe, bo tam nigdy tyle czarnego zwierza dotąd nie bywało. Podejście jednak jest mozolne i trudne. Biegnie środkiem leśnego potoku, zupełnie stromo pod górę. Stąd domyślam się, że nikt tam jeszcze na dziki nie polował i żyją sobie jak u Pana Boga za przysłowiowym piecem.

Ta druga informacja była dla mnie wielce obiecująca. Nie płoszona zwierzyna chodzi na pewno tam jak w chronionym rezerwacie. Wcześniej intensywne polowania w sudeckich dolinach skutecznie je przegnały, a tu miała zupełny spokój. Więc mamy ogromną szansę na spotkanie z dzikami! Cieszyłem się w duchu. Jednak opis podejścia w górę - po kamieniach, strumieniem i to jeszcze w nocy, w głowie nijak mi się nie mieścił. Chyba leśniczy trochę przesadził?

- Siadajcie! Jedziemy, bo nocy ubywa!

Fiat 125 wprowadzie stękał, ale dziarsko piał się pod górę, na początku jeszcze na drugim biegu, ale już wyżej tylko liczyła się jedyńka.

Jechaliśmy gospodarczą drogą, wzdłuż warstwicy, stale pod górę. Dawno zgubiliśmy ostatnie światła Karpacza i wjechaliśmy w rzadko odwiedzaną Sowią Dolinę, między Czarną Kopą a Kowarskim Grzbietem. Droga wiodła w tunelu zieleni niebotycznych świerków, a światła reflektorów często odsłaniały granitowe skały. Temperatura w chłodnicy samochodu szybko zbliżyła się do krytycznej czerwonej linii. Kiedy wydawało się, że płyn się zagotuje, niespodziewanie przed nami wyrósł drewniany szałas.

- Droga się skończyła - wyjaśnił leśniczy.

- Tu pozostawimy auto. Jesteśmy na wysokości prawie 900 metrów. Jeszcze pozostało nam tylko 200, ale to już raczej drabina a nie droga. Jej najtrudniejszy odcinek pozostał na końcu!

Weszliśmy do leśnego szałas drwali. W piecyku jeszcze zarzyły się niedopalone kłocę. Było ciepło i przyjemnie. Przygotowywaliśmy się do wyjścia pod Czarną Kopę, na dzicze przesmyki.

Naraz ze zgrzytem otworzyły się drzwi i silny snop światła zupełnie nas oślepił.

- Straż ochrony granicy, proszę o dokumenty!

Ten stanowczy, niespodziewany głos ugiął mi kolana. Guzik będzie z dzików - pomyślałem, a tak dobrze się zapowiadało! Następnym snop światła.

- Ach to pan, panie leśniczy, nawet nie zauważyliśmy

- powiedział jeden z pograniczników - Chyba pozostaniecie na grani do świtu? Macie zielone światło!

Oślepieni przez wopistów weszliśmy w kamienisty górski potok, o mokrych i śliskich głazach. Starałem się nie stracić równowagi, by nie runąć w dół. Owalne skałki zagradały koryto, ale dzięki nim mogłem też rękoma o nie się opierać i powoli

posuwać do przodu. Ponoć można było iść szerszym potokiem płynącej Płonnicy czy Niedźwiady, ale według słów leśniczego tam było jeszcze gorzej.

Byłem mokry - mniej od wody, więcej od własnego, gorącego potu. Ta droga pozbawiała mnie tchu, stąd częste przystanki i odpoczynek. Zupełnie się ze sobą nie komunikowaliśmy, w gardle miałem tylko gorzką pianę.

Leśniczy chyba zauważył, że już mam dość, bo kiedy go mijalem również zmęczony po cichu wyszeptał:

- Zostaniesz najniżej, przy pierwszym przesmyku. Uważaj bacznie na ścieżkę!

Usiadłem na trójnogu, zamknąłem mocno oczy. Przez parę minut dochodziłem do siebie, chłodzony rześkim, górskim powietrzem. Kiedy je otworzyłem, prawie oniemiałem z wrażenia. Nade mną wisiały miliony gwiazd tak blisko, że można było po nie sięgnąć ręką! Byłem na dachu Karkonoszy i wkoło miałem góry.

Tu świt wstawał o wiele wcześniej. Oczy zdążyły się już przyzwyczaić do ciemności, gdy odkryłem kilka gejzerów, które z rozpadlin skalnych dymiły parą, unosząc ją z zawrotną szybkością ku gwiazdom. Co za niesamowity widok! Jakieś nieczytelne piski i chrapania dochodziły stale do moich uszu. W warkoczu jeszcze szarej pary dwa niepokorne ptaszki, unosząc się do góry, usiłowały ze sobą walczyć. A może to był ich godowy taniec? Stale ciągnione przez wiry wydawały dźwięk podobny do uderzania się dzióbkami. Na chwilę znikwały, spadały na ścieżkę by ponownie wzbić się do lotu.

Ależ to przecież nasze słońki! Jak mogłem ich nie rozpoznać? Taniec godowy trwał jeszcze parę minut do chwili, kiedy pierwsze promienie słońca uniosły się nad Kowarskim Grzbietem.

Byłem oszołomiony tym wydarzeniem! Nagle zginęły dymiące gejzery, a wraz z nimi i słońki. Podczas oglądania tego ciekawego spektaklu przegapiłem dużego odyńca, który przez

chwilę przyglądał mi się ze ścieżki. Kiedy błyskawicznie sięgnąłem po manlichera, dzik miał wystarczająco dużo czasu, aby wpaść w kosodrzewinę.

Zostaw chłopie ten zachwyt dla słońca i wschodu słońca! Nie po to tyle się natrudziłeś, żeby teraz dać taką plamę! Tędy na pewno będą wracać następne dziki! Z przyległych gąszczy stale dochodziły głośne fukania i piski. Teraz byłem już czujny i dobrze przygotowany na spotkanie z nimi.

Widoczność była znakomita. Przy dziczej ścieżce leżały olbrzymie płaty śniegu, które zupełnie rozjaśniały grań. W gęstym jak szczotka zagajniku kotłowało się jak w przysłowiowej chlewni. Nawet odbezpieczyłem broń pewien wyjścia wielkiego odyńca. To jednak dość długo się przeciągało. Potem nastąpiła cisza, a hałas przeniósł się kawałek dalej. Znowu powtarzały się piski i fukania zdenerwowanej lochy.

Z zachowania watahy wynikało, że musiała mnie odkryć i próbowała wyjść trochę dalej. Przez lornetkę w gałęziach zauważyłem wielkiego dziką, a kiedy skierowałem tam lunetę sztucera, na śnieg wyjechał niewielki warchlaczek. Powiększony w dziesięciokrotnej lornetce był całkiem, całkiem. Paski na sierści zdradzały jednak jego niemowlęcość. Dumnie kroczył do ścieżki, nie zważając na ostrzeżenia matki. Postanowiłem się nie ruszać, aby go nie wystraszyć, a dziczek pełen ufności w swoje siły szybko znalazł się naprzeciw mnie. Zamieniony sztucer na teleobiektyw i seria trzasków migawki jednak go zatrzymała. Był podobnie jak i ja zdziwiony tym nagłym spotkaniem. Mogłem dowoli go fotografować, ale wokół na białym śniegu nie było elementu porównania co do jego wielkości, stąd postanowiłem ułożyć obok trasy teleobiektyw i tak powstała fotografia dzika na śniegu z kamerą.

To już był koniec dzisiejszego polowania na dziki!

Potem leśniczy opowiadał, że cała wataha wyszła ścieżką przez nas nie obstawioną. Ja miałem czyste sumienie - dziką spotkałem i miałem na to dowód na kliszy, a przed oczami

jeszcze taniec słońek! Czy to mało?

Kiedy opuszczaliśmy Sowią Dolinę na skarpie potoku
wyrastały jedne z najpiękniejszych zwiastunów wiosny - liliowe,
delikatne kielichy krokusów.



23. Miłosne gody na przełęczy

Cała fala ciepłych wichrów opadała spod Skalnego Stołu i wtłaczała się w żleb Małej Jamy. Gwałtownie roztopiała zwały śniegów, podnosiła stan wody w potoku Piszczaka do niespotykanego dotąd poziomu. Zalewała w dolinie coraz to nowe młodniki i rozlewała się szeroko po śródleśnych łączkach. Stawała się wielkim zagrożeniem dla cietrzewi, które szykowały się do wiosennych toków i budowania gniazd. Również zaniepokojeni byli ich mniejsi sąsiedzi - drozdy, które tej wiosny zdążyły już wybudować nad potokiem swe gniazda i przystępowały do wysiadywania jaj. W bezwietrzne dni jeszcze przed świtem koguty leciały nad Tabaczną Ścieżką w stronę Kruczych Skał i Wołowej Góry, jakby chcąc sprawdzić, kiedy to ciepło się zatrzyma i zniknie zagrożenie.

Wszyscy, którzy tej wiosny wędrowali z Przełęczy Okraj na Skalny Stół, czy do leśniczówki Jedlinki, bez trudu, zwłaszcza wczesnym rankiem, mogli zobaczyć częste przeloty tych czarnych ptaków ponad swoimi głowami. Ze względu na niecodziennosc tych spotkań stały się wielką atrakcją dla turystów, a szczególnie radowały serca myśliwych polujących tu na dziki i jelenie.

*

Z początku było ciemno, Wiesiek szedł pierwszy, oświecł drogę latarką. Oczy przyzwyczyły się do ciemności, powoli zacząłem odróżniać kamienie i powywracane pnie, omijać niebezpieczne lodowe muldy. A wydawało się po wyjściu z

Bacówki na Okraju, że mgła i noc uniemożliwią nam dojście do wąwozu i potoku. Drogę tę znałem prawie na pamięć, choćby z ubiegłorocznego rykowiska. Tu przecież czatowaliśmy na byki, które schodziły z grzbietu w doliny. Teraz wiosną przy chłodnej, sprzyjającej pogodzie na stokach słychać było tokujące cietrzewie, nieraz bardzo odległe. Szczególnie intensywny ich bełkot odkryłem wśród starych okazów jodły i buków w 300-metrowym wąwozie potoku przy Świerkowej Ścieżce.

Gospodarz wskazał mi wykrot, a raczej jamę pod korzeniem wywróconego świerka. Możliwie jak najciszej wtoczyłem się do jej wnętrza, usiadłem na krzeselku i okryłem szczelnie kocem. Przed sobą rozwiesiłem maskującą siatkę. Mijały długie minuty oczekiwania. Trwałem w bezruchu. Najmniejsze poruszenie powodowało obsypywanie się na głowę piasku i kamieni. Robiło się coraz bardziej zimno, a gęsty płaszcz mgieł szczelnie otulał wszystko. Długo czekałem nim na wschodzie niebo zaczęło szarzeć. Nagle ze środka łąki, ze szczytu najwyższego świerka popłynęło w dół kilka melancholijnych pojedynczych fanfar. Były głośnie i rozchodziły się daleko. Tony ich pobrzmiwały nastrojowo i uroczyście. Swym urzekającym śpiewem drożdź zwiastował nastawanie wiosny. Przerwał go dopiero głośny łopot skrzydeł i wylądowanie w konarach dużego ptaka. Potem słychać było już tylko donośny, wojowniczy bełkot, głośnie podskakiwania i czuszykanie.

Naraz wszystko ucichło, czyżbym został odkryty? Słońce jakoś nie miało chęci pokazania się nad doliną, ale wyraźnie zrobiło się jaśniej.

Cietrzewie po chwili rozpoczęły swe toki od nowa. Po wschodzie słońca ożywiły się i było je słychać coraz bliżej mej czatowni. Na czuszykanie samca odpowiadał inny cietrzew, znajdujący się w pobliżu. Tej grze towarzyszyły bełkoty i ciągły łopot skrzydeł.

Z mego domku bezskuteczne w lornetce wypatrywałem sprawcy tych wojowniczych popisów. Jeszcze było zbyt ciemno,



Nagle białe puch stroi łąki i lasy, przybiera góry jakby do ślubu. (s. 129)



Na styku dnia i nocy rozległo się głośne chrapanie. (s. 128)



A kiedy się poruszył wiedziałem już, że to tokowik. (s. 137)

ale już coraz wyraźniej mogłem rozpoznawać poszczególne konary i skałki.

Naraz pod pniem powalonej brzozy odkryłem czarny, podobny do leżących tu kamieni, nieruchomy punkt, a kiedy się poruszył wiedziałem już, że to tokowik. Chyba ten sam, który z łopotem skrzydeł wylądował dzisiejszego ranka.

Tymczasem kolor nieba zmienił się w fioletową szarość, a ze szczytu drzewa dalej płynęły pieśni miłosne drozda.

Pozazdrościł mu większy sąsiad, bo bełkot spod pnia płynął teraz bez przerwy - raz ciszej, a potem znów głośno. Podobne głosy dało się słyszeć z różnych miejsc zbocza.



Tokowik w różowym świetle poranka prezentował się okazale i dostojnie. Granatowa sylwetka ptaka wyraźnie odcinała się od zieleni i żółci traw. Nastroszone pióra zdobiły białe plamy, które niczym sygnalizator w tej szarówce raz były u góry i raptem opadały.

Kiedy po raz pierwszy zobaczyłem go w obiektywie, ptak był odwrócony, a wielka czarna lira wyrastała ponad śnieżnobiały pióropusz. Było jeszcze zbyt ciemno, ale nim wybiegł na ścieżkę dwukrotnie aparat zarejestrował jego sylwetkę.

Teraz kogut bulgotał zawzięcie. Na tle wysuszonych traw

wydawał się jeszcze bardziej bojowy. Dreptał w miejscu, po czym błyskawicznie pognał parę kroczków i podniósł wysoko łeb – czuszykał, zabawnie podskakiwał i opadał w to samo miejsce. Błyszczącym granatem, czerwienią swej głowy i bielą plam na swej sukni wabił kury.

Znikły już zupełnie wodą połyskujące trawy, słońce zajrzało do wnętrza wąwozu, znów zaśpiewał drozd, a po nim „kek”, powtarzany głos kury słyszeć było tuż obok.

Cieciorę trudno było odkryć. Jej upierzenie zlewało się zupełnie z zgniłymi barwami traw. Przy tym kura była bardzo ostrożna i podejrzliwa. Chyba usłyszała trzask migawki, bo jak rażona śrutem wpadła w wysokie trawy. Za nią bez wahania i namysłu udał się jej ulubieniec. Przed obiektywem pozostała tylko pusta łączka.

Po chwili grały już wszystkie koguty, a popisywanie się przed nimi kur wyraźnie było słyszeć w kilku miejscach zbocza. Przelatywały też często nad grającymi samcami, choć o zarejestrowanie ich na kliszy było bardzo trudne.

Zrobiło się już bardzo ciepło, a dzień był w pełni. Zziębnięty na kość miałem już opuścić swój domek pod wykrotem, gdy jakiś czarny ptak, wielkości naszego szpaka, usiadł obok na wystającym korzeniu z mej czatowni. Przybliżył się do mnie, usiłował sprawdzić czy aby się nie pomylił. Kiedy upewnił się o mojej obecności, wyraźnie chciał się ze mną zaprzyjaźnić. Zdjąłem przy nim siatkę, przefrunął tylko z dwa metry i dalej się mi przyglądał.

Ale byłem gapa! Teraz dopiero odkryłem jego gniazdo, a w nim partnerkę wysiadującą jajka.

Najpierw pośpiesznie zrobiłem parę zdjęć, ale kiedy samiczka zaczęła mi wyraźnie pozować do fotografii, czekałem tylko na najciekawsze jej pozycje, w których wyglądała najokazalej.

Pozostawiłem już cietrzewie i tylko zająłem się oglądaniem drozdów, które chyba od pierwszego wejrzenia

zaakceptowały moją obecność, a ja je bardzo polubiłem.

Ptak siedzący na gnieździe przypominał mi wyglądem naszego kosa. Odróżniała go jednak biała, księżycowa pręga na piersi. Wyszedłem z ukrycia na zewnątrz, zbliżyłem się jeszcze bardziej do gniazda, zrobiłem znów parę zdjęć i nie chcąc stracić zaufania samiczki usiadłem obok i słuchałem fanfar jej partnera. A on przed nami ze szczytu drzewa popisywał się swym doniosłym i urzekającym śpiewem.

Byłem świadkiem cudownego przedstawienia, miłosnych godów tych dwóch górskich ptaków na przełęczu, z początkiem wiosny.

24. Marzenia o głuszcowych tokach

W polskich Karkonoszach zamieszkuje niewielka kopulacja głuszcza, najczęściej w naturalnych borach górnoreglowych. Podczas organizowania wystawy fotografii przyrodniczej w salach Karkonoskiego Parku Narodowego marzeniem moim było pokazanie tam tego tajemniczego ptaka.

Głuszcę stał się wówczas moim najbardziej oczekiwanym trofeum myśliwskim. Wcześniej wieloletnie próby uwidocznienia jego na fotografii spełzły na niczym. Już wiele razy wysłuchałem pieśni głuszcowych toków w Puszczy Augustowskiej.

Były jednak dla mnie tylko wiosenną przygodą. Znałem ich prawie wszystkie rytualne tajemnice na pamięć, a udane fotografie pozostawały dotąd zawsze w sferze marzeń. Podejrzliwe ptaki nigdy nie pozwoliły się zbliżyć z aparatem do swoich ostoi, a uczty weselne odbywały w zupełnej ciemności, jeszcze przed świtem.

Teraz jednak nadarzała się wyjątkowa okazja. Wyczuwałem nikłą szansę spełnienia wieloletnich nieskutecznych polowań, a to za sprawą leśniczego z Wojcieszyc. Droga do sukcesu była jednak jeszcze długa i mozolna.

Tej wiosny poznałem leśniczego Horacego, który był specjalistą na Pogórzu Sudeckim od głuszcowych toków. Mieszkał w starej leśniczówce, wybudowanej pod koniec dziewiętnastego wieku, pełnej myśliwskich pamiątek, jeszcze z Polesia i okazów fauny Karkonoszy. Wszystkie pomieszczenia obwiesił medalowymi okazami zwierzyny łownej. Było też sporo eksponatów muzealnych, broni skałkowej, luków, skamienielin

kopyt mamutów i niedźwiedzi. Kolekcja spreparowanych ptaków robiła wyjątkowe wrażenie, a szczególnie okazały głuszc. Leśniczy jak mało kto mógł godzinami opowiadać o tym tajemniczym ptaku, a co najważniejsze znał wiele tokowisk w Karkonoszach. Jak mówił niejeden raz uczestniczył zaraz po wojnie w podprowadzaniu myśliwych pod ich ostoje.

Pierwszym warunkiem uczestnictwa w głuszcowych bezkrwawych łowach było posiadanie zezwolenia na przebywanie poza wyznaczonymi trasami w KPN. W Dyrekcji Parku w Sobieszowie ze zrozumieniem potraktowano moje zachcianki, choć trochę z niedowierzaniem na jakiś sukces. Ale po wylegitymowaniu się folderami z kilku przyrodniczych wystaw i pismem od redaktor naczelnej Łowca Polskiego, pani Haliny Nehring, jeszcze w marcu otrzymałem taką zgodę na piśmie. Upoważniała mnie do poruszania się poza szlakami turystycznymi oraz do wstępu do rezerwatów ścisłych w strefie granicznej.

*

W leśniczówce paliła się osłonięta abażurem z orlich piór elektryczna lampa. W kominku skwierczały polana drewna. Leśniczy zapytał co mnie o tej porze sprowadza do niego. Z wielkim przejęciem wręczyłem mu dopiero co odebraną w dyrekcji KPN zgodę na polowanie w borach górnego regła na głuszca.

- Ale pan jest uparty – powiedział. - Widzę jednak, że pan dopiął swego! Myślę, że mamy szanse, jeżeli te dawne ostoje jeszcze tam pozostały. Nie wiem czy uda się ustrzelić z teleobiektywu tego trubadura, z którym kiedyś się zaprzyjaźniłem, ale może jego następcę. Mam jednak nadzieję, że wysłuchamy pieśni godowej tych coraz rzadszych ptaków.

Do późna w nocy ślęczeliśmy nad mapą, by w końcu zaznaczyć trzy zapamiętane sprzed lat przez leśniczego ostoje i tokowiska głuszców. Bez namysłu zakreślił je flamastrem na mapie: pierwsze na zboczu w okolicach Trzech Jaworów, drugie

na przełomie rzeki Kamiennej przy Owczych Skałach, a trzecie poza Parkiem Narodowym, bo aż w Puszczy Bolesławieckiej. Byłem uradowany, bo dotąd przed ciekawskimi strażnicy miejsca tokowisk głuszców utrzymywali w wielkiej tajemnicy.

- Niech pan się temu nie dziwi. Głuszec to mieszkaniac spokojnych, wielkich kompleksów leśnych i dlatego stał się tak nieliczny. W czasie trwania godów odkrywa trochę tajemnice ze swego życia, ale odbywa się to w niewystarczającym oświetleniu dla fotografii. W górach powinno być lepiej. Ptaki zaskakiwane są zmianą oświetlenia, kiedy ciemna noc zostaje gwałtownie zastąpiona przez jasność wschodzącego słońca. Wystarczy wcześniej niepostrzeżenie być w pobliżu tokowiska, aby znaleźć szansę na spotkanie z nimi. Mnie to się wielokrotnie udawało, stąd jeden stary kogut, zaskoczony moją obecnością, nawet się do mnie w końcu przyzwyczaił.

Była połowa kwietnia. Żegnając się z leśniczym umówiłem się na spotkanie w czasie pełni księżyca.

Koguty grały na ziemi

22 kwietnia noc była jasna, a księżyc w pełni. Bez trudu minęliśmy Szklarską Porębę, by Czeską Drogą dojechać do mostku na Owczym Potoku, stąd dalej pod górę, drogą wewnętrzną, do strażnicy WOP przy Wodospadzie Kamieńczyka.

Wartownik z niedowierzaniem doszedł do naszego fiata. Tu droga się kończyła i musieliśmy pozostawić auto.

- Panowie o tej porze? To coś nie w porządku - zauważył żołnierz.

Szybko chciałem wyjaśnić cel naszej podróży, ale najpierw stanowczo poprosił o dowody, obejrzał samochód z każdej strony, wewnątrz oświetlił latarką i kazał czekać.

Spojrzałem na zegarek. Było piętnaście po drugiej. Mijały minuty, a poza zapaleniem świateł w oknach strażnicy nic się nie działo. Noc była dość chłodna, księżyc za chwilę schować się miał za grzbietem góry i zrobi się naprawdę ciemno.

- Panie leśniczy, co dalej? Na pewno wartownik zadzwoni gdzie trzeba, a potem będziemy się tłumaczyć.

- Za dawnych czasów na tej wartowni miał dyżury mój dobry znajomy, porucznik Kodzak. Wtedy nie miałem nigdy podobnych problemów, a głuszcze grały, że aż tu było je dobrze słyszeć. Przed nami była wspinaczka pod górę. Jesteśmy na wysokości 840 m, a musimy wejść na Rozdroże, czyli na 1050 m. Jeżeli nas stąd wypuszczą to pójdziemy wzdłuż Potoku Kamieńczyka, a później Wąskiego Potoku.

Wnet zgasły światła w strażnicy. Wartownik oddał nam dowody i wskazał ścieżkę, ostrzegając przed połamaniem nóg. Podziękowaliśmy za ostrzeżenie. Jeżeli to miała być ścieżka, to mylił się ten co ją tak nazwał. Kamień na kamieniu i tylko jakimś znanym sobie sposobem starszy ode mnie prawie o dwadzieścia lat leśniczy nieźle sobie radził z tą nocną drogą. Chociaż i od niego dochodziło głośnie sapanie, które zaniepokoiło małą sowę, chyba mniejszą od gołębia, o kwadratowej, wielkiej twarzy. Siadywała przed nami na kamieniach i po prostu szczekała jak pies. Znikła dopiero, kiedy wyszliśmy poza granicę lasu.

- Zostaniemy tu na dłużej - stwierdził leśniczy. - Dobrze, że ta włośchatka nas pozostawiła, bo narobiła tyle hałasu, że nawet martwiłem się, że nas zdekonspiruje.

Przed nami rozciągał się stok Karkonoskiej Tajgi, niskich drzewek zwanych przez leśniczego świerkową szczotką. Na zboczu stały przedziwnych kształtów czarne skały, przypominające czasem stare, opuszczone chałupy.

- Nie wiem czy dobrze trafiłem? Wszystko się tu zmieniło, nie ten las, nie to co dawniej zbocze, albo może już nie ta pamięć - mówił po cichu do siebie leśniczy.

Lekkie stuknięcie laską poderwało mnie z drzemki.

Czarne zbocze stało uśpione, tylko zimny wiaterek spływał po nim ku dołowi. Znów powoli zacząłem odróżniać kamienie i drzewka. Blednąc zaczęła czernić nocy, gwiazdy wzniosły się wyżej i zbladły. W tej zupełnej ciszy po raz któryś rozszczękała się włochatka, po niej odezwał się głuszec. Wyraźnie już dniało.

- Patrz na tę skałę - powiedział szeptem leśniczy. - Podejdziemy tam. Dawniej obok siadały ptaki na nocleg.

Możliwie jak najciszej weszliśmy na skalną półkę i ukryliśmy się w szczelinie. Różowe niebo niczym barwny parasol okryło całe górskie pasmo. Niespodziewanie nad nami kilkakrotnie chrapnęła słonka. Jej czarna sylwetka zginęła na zboczu.

Głuszce jednak dotąd uparcie milczały. Nagle bliskie kłapnięcie coraz bardziej nabierało mocy. Pod następną skałą kogut rozpalał się i zaczynał grać coraz głośniej. Jego pieśń odbijała się od stoku i ponownie wracała do nas echem.

O podejściu do tokującego głuszca nie mogło być mowy. Mgła spływająca ze stoku zasłoniła nam obraz. Perspektywa na fotografowanie stawiała się coraz odleglejsza, ale ośmieliła ptaki, które czując się bezpiecznie zachowywały się coraz głośniej. Godową pieśń słyszeć było już z kilku miejsc na stoku. Naraz kogut zaczął grać tuż przy naszym schronie i było kwestią tylko czasu, kiedy ukaże się moim oczom.

Nagle wśród otaczających polankę choinek coś błysnęło czernią i granatem. Mgła powoli ustępowała i robiło się coraz jaśniej. Mocno ścisnąłem w rękę nikona, gotowego do strzału. Naraz wśród świerszczyny rozpoznałem trubadura. Jak wąż wyciągał swój łeb z hakowatym dziobem ponad gałązki drzewek. Niczym indor rósł w upojeniu i zagrał swą godową pieśń. Miałem w końcu szczęście. Jego kontury wyraźnie zarysowały się na tle nikłej ścieżki. Byłem pewien, że trzask migawki aparatu go wystraszy. Stało się inaczej. Nastroszył pióra, drżał jak w ekstazie, nie reagował na hałas. Nagle jak czarna kula zaczął toczyć się w jego kierunku rywal, wydając gardłowe



Blask poranka wdzierał się coraz bardziej do głuszcowego matecznika. (s. 145)



Nagle wśród otaczających polankę choinek coś błysnęło czernią. (s. 144)



Kura odkryła moją szczelinę. (s. 145)

dźwięki.

Fotografowałem jak opętany. Zapomniałem o całym świecie. Ukazała się też kura. Stałem się świadkiem wiosennych zalotów. Raptem skończył się film, a teraz rozgrywały się najważniejsze miłosne sceny i tylko na moich oczach. Ale nie żałowałem! Miałem na pewno kilka poprawnych obrazów z ich życia.

Blask poranka wdzierał się coraz bardziej do głuszcowego matecznika. Swym światłem rozpałał płomyki na rudych piórach samiczek. Ich amant popisując się wysoko podskakiwał. Opadł parę metrów dalej i grał od nowa.

To niecodzienne widowisko na zboczu trwałoby jeszcze, gdyby nie kura, która odkryła moją szczelinę. Lęk i zaparty oddech oraz gwałtowne bicie serca zdradziły mnie. Kura z głośnym furkotem odleciała. Zbocze stało się naraz puste, jakby tu nic się nie zdarzyło. Jeszcze głośny skrzek, szorowanie po ziemi skrzydłami i drobnymi kroczkami ptaki oddaliły się od naszej skały. Nastąpiła zupełna cisza.

Pierwsze promienie słońca przedarły się przez zębaty grzbiet góry, a głuszcze umilkły zupełnie. Czas było wracać!

Jakby na deser tej wzrokowej uczty pod naszą skałą słoneczne promienie odsłoniły przed nami krzew różowoczerwonych, wonnych kwiatów wawrzynka wilczełyko.

Schodziliśmy oczarowani wspomnieniami i wspaniałością wiosny w Dolinie Trzech Jaworów.

25. *Polsko-czeski głuszc*

W Karpnikach mieszkał stary góral spod Bukowiny. Całe swoje życie dzielił pomiędzy włóczęgę po lesie, a rękodzielnictwo. Miał duszę ludowego artysty i lubił rzeźbić w drzewie zwierzęta i ptaki.

Jego myślistwo nie polegało na tropieniu zwierząt i polowaniu, a na podglądaniu przyrody i znoszeniu do chaty co ciekawszych sękatych konarów, z których potem powstawały urodziwe figurki. Rzeźby, które strugał, miały naturalny kształt i chętnie były nabywane do prywatnych kolekcji.

Kiedys z ciekawości zapytałem górala skąd u niego taki zapach do rzeźbienia tokującego głuszca?

- A bo widzi pan – odpowiedział. - Znam oswojonego koguta, pół Czecha, a pół Polaka i mogę się jemu przyglądać dowoli. On mnie zna od lat i obaj się lubimy.

Cały czas miałem na myśli koguta z hodowli wolierowej, aż raz ośmieliłem się zapytać, czy nie warto byłoby tego aktora sfotografować.

- To nie takie proste! - Ten kogut żyje na granicy parku i państwa. Raz mieszka po stronie czeskiej, a drugi raz po polskiej. Od wielu lat go wiosną stale spotykam i chyba cieszymy się z tego wspólnie.

Ta informacja dla mnie była zaskoczeniem. Przrzekłem sobie, że przyszłej wiosny namówię górala do wspólnej wyprawy na granicę Parku i ewentualny udział w spotkaniu z polsko - czeskim trubadurem.

Ptak miał tokować na drzewach, które rosły na zalesionym

zbozcu, powyżej 1200 m, obok skał zwanych Starymi Granatami, aż pod Drogę Przyjaźni, która biegła po czeskiej stronie Grzbietu Kowarskiego.

- Tam w lasach pod Smerćinną żyło wiele tych ptaków, ale tylko ten czuł się naszym krajanem i często nas odwiedzał – opowiadał góral.

Te tereny przy granicy dzierżawiło koło łowieckie „Knieja”. Wiele jesiennych wieczorów spędziłem tutaj na rykowisku, ale o głuszczu tam tokującym nikt dotąd mi nie mówił.

Góral już właściwie nie polował, ale te skalne przełęcze były kiedyś jego żywiołem. Obiecał, że wiosną następnego roku odszuka znajomego głuszcza, a wówczas spróbuje mi go pokazać.

Tego roku zima przyszła sroga, śnieg już leżał w górach od Wszystkich Świętych, a jego pokrywa była wyjątkowo gruba. Za to wiosna wybuchła nagle. Wiatry fenowe, które szalały w marcu, wymiotły go niemal doszczętnie, a resztki stopiło kwietniowe słońce.

Na umówioną wyprawę pod Przełęcz Kowarską wybraliśmy się z początkiem maja. Było już ciepło, wiosna w górnych reglach Karkonoszy stała się faktem. Zazieleniły się zbocza, na drzewach pojawiły się nowe odrosty, nad głowami uparcie wzlatywał siwarnik, ptaszek nieco mniejszy od skowronka i siadał na szczytach drzew. Znów wzlatywał, pionowo w górę i tokował, po czym gwałtownie opadał zataczając taneczne kręgi i wytrwale śpiewał.

Spod leśniczówki Jedlinka szliśmy już prawie dwie godziny. Droga stale pięła się pod górę, była kręta, ale wygodna. Dopiero od potoku Malina stawiała się wyboista, aż do samego schronu Budnik. Tam na szerokiej polanie mieliśmy przenocować. Była tu świetna baza wypadowa na zbocza porośłe lasami pod Kowarskim Grzbietem. Ze schronu do granicy Parku było niedaleko, a do tokowisk głuszcza droga prowadziła po warstwiczy zbocza.

Krótką noc minęła szybko. Jeszcze przed świtem

siedziałem ukryty w porozrzucanych na stoku skałach. Poobijany przez korzenie i wykroty, w towarzystwie górala czekałem uzbrojony w aparat fotograficzny na głuszca, który nie bał się ludzi. Po lewej stronie miałem opadające zbocze porośnięte starodrzewiem, a na wprost rysowały się kontury wykrotów wśród niskich świerkowych młodników.

Nagle nad nami powietrzem targnął wielki szum. Nad skałami przeleciało jakieś wielkie ptaszysko, które z łopotem skrzydeł usiadło na pobliskim pniaku. Po chwili głośnie telekkanie napełniło las.

Sierp księżycy stał nad zboczem, rzucał reszki martwego światła. W lornetce dobrze widziałem gracza. Czy aby dotrwa tu do świtu? Gdzieś w oddali odezwał się po cichu inny kogut.

Niebo nad Okrajem już zbladło. Dotąd prawie ciche zbocze ożywało coraz bardziej. Obok na skale usiadło kilka ptaszków, mniejszych od wróbli, chyba zabarwionych na czerwono. Nie bały się zupełnie i spokojnie odleciały. Sprawdziłem miejsce, w którym zapadł stary gracz. Było puste.



Zrobiło się już zupełnie jasno. Naraz przed naszą skałą na konarze drzewa usiadł czarny ptak. Zamarłem w bezruchu, gdyż to było nagłe i niespodziewane. Czulem, że mi się przyglądał.

Dziwiła go chyba błyszcząca soczewka obiektywu. Raz patrzył na mnie, później się odwracał by ponownie spojrzeć mi prosto w oczy. Nie miałem śmiałości przycisnąć spustu aparatu, a on mnie chciał rozpoznać. Góral pokazał swoją twarz. Głuszec nie reagował. Teraz dopiero zrobiłem trzy zdjęcia. Czas podczas tego spotkania płynął szybko, film w aparacie skończył się jeszcze szybciej. Hałas migawki ptaka jednak wypłoszył. Jednak jemu zawdzięczam wymarzone fotografie z karkonoskiej kniei.

Znów po lewej stronie skały tokował stary głuszec. Nastroszył pióra. Chyba dostrzegł rywala, bo wydał gardłowy okrzyk, a zupełnie nie słyszał głośnego szmeru migawki aparatu.

Blask światła wtłoczył się w las i rozjaśnił swym blaskiem jego wszystkie zakamarki. Z nabożnym skupieniem góral pokazywał mi swego ulubieńca. Wydawało się, że głuszec jednak był rozczarowany tym spotkaniem. Wskakiwał i zeskakiwał z pniaka i za nic nie chciał się zbliżyć do nas.

W coraz jaśniejszej fali światła srebrzyły się resztki śniegu na Kowarskim Grzbiecie. W tym kierunku leciały z głośnym bełkotem niektóre ptaki. Inne znów wracały zza granicy, więc tych o podwójnym obywatelstwie było tu więcej. Przed nami jednak las cichł coraz bardziej.

- Schodzimy - zdecydował góral.

Śliskie kamienie wymagały od nas ostrożności i uwagi.

Zastanawiające było jak myśmy tu w nocy się wdrapali! Ale na pewno warto było!

Znów trzeba będzie czekać cały długi rok na spotkanie z przyjaznymi ludzom głuszcami. A góral naszkicował sobie trzy nowe sylwetki tego ptaka do rzeźbiarskiej kolekcji.

ZAWTAŁO KROTKIE LATO



ZAWITAŁO KRÓTKIE LATO

26. Łowiecka brawura

Moją ambonę na Dąbrowicy opuściłem późno, bo grubo po dziesiątej przed południem. Za najbliższym zakrętem wpadłem nogą w borsuczą norę. Moja niezdarność i szamotanina przy jej wyciąganiu zwróciła uwagę jastrzębia gołębiarza.

Jego wytworne korkociagi nade mną miały moc hipnotyczną, bo przeszywały mnie ciarki na myśl o tym, że ten wielki drapieżnik weźmie mnie za swoją ofiarę i zaatakuje.

On jednak się wcale nie spieszył. Chciał mi się przyjrzeć dokładniej, dlatego stale obniżał swój lot.

Moja przygoda wydała mi się trochę śmieszna, ale i niebezpieczna. Uwieczony w głębokiej dziurze, pełnej korzeni, na wszelki wypadek wprowadziłem nabój śrutowy do lufy kniejówki, bo przecież gdyby w tym miejscu była sarna, czy inny zwierz, niechybnie ten drapieżnik by go zaatakował. Przede mną czuł jednak respekt! Lotem ślizgowym przeleciał obok, nie zdradzając chęci ataku. Przestałem się szamotać i to go zupełnie wprowadziło w błąd i uśpiło. Krążąc nade mną, dalej bacznie mi się przyglądał. Rzadko kiedy z ptakiem miałem taki kontakt wzrokowy jak z tym krwiożerczym gołębiarzem.

Jaki on był wspaniały, o popielatej, ciemnej barwie z żółtym prążkowanym brzuchem! Wyglądem i zawziętością przypominał atakującego tygrysa! Jego drapieżny wzrok, hakowaty dziób i ostre szpony budziły przestrasz.

Na tym terenie zobaczyłem go po raz pierwszy. Najpierw wziąłem za myszołowa. Znów wzbił się wysoko, krążył nad łąką, a kiedy się poruszyłem, jak strzała, nie ruszając skrzydłami,

omijając zręcznie gałęzie drzew wypadł niespostrzeżenie i przeleciał tuż nade mną, by zniknąć ostatecznie za lasem.

Kiedy wreszcie uwolniłem swoją nogę, poczułem respekt dla brawury tego drapieżnika. Nawet byłem pełen podziwu i przyjaznych uczuć dla niego, choć tak jak każdy gołębiarz był groźnym zbójcą w łowisku. Dla dogonienia ofiary wybierał zawsze najkrótszą drogę i chwytem szponów porywał swą zdobycz. Latał nisko, między drzewami. Siadał na grzbiecie zająca, kuropatwy, czy bażanta zadając śmierć uderzeniem dzioba w głowę.

Szerzył w łowisku wielkie spustoszenie. Kiedy nie był chroniony nie darowano mu tych zbójceckich występków i polowano na niego z puchaczem. Dziś jak większość drapieżników ma całoroczną ochronę i stał się cennym sanitariuszem w lesie.

Jeszcze do niedawna układano go do łowów na zające, kuropatwy, żurawie i gęsi. Ptaka noszono na rękawicy, a kiedy psy spłoszyły zwierzę dla jego schwytania wypuszczano gołębiarza. Mimo, że jest on bardzo ostrożnym ptakiem, nie darzącym nikogo większym zaufaniem, to jego dzikość umiano wykorzystać.

Gołębiarza zważ też austriackim urzędnikiem. Jest bardzo punktualny, stale poluje na tym samym rewirze i o tej samej godzinie. Jeżeli jest to prawda, to jutro znów będę miał możliwość spotkać się z nim na rannej zasiadce.

Ambona moja stała nad wąskim polem obsianym owsem, przylegającym do starego lasu. Pilnowałem tam zboża przed dzikami, które robiły wielkie szkody w uprawie. Tu nikt nie zakłócał im spokoju i nie miały żadnej konkurencji, tak przynajmniej mi się wydawało. Jednak teraz odkryłem, że również to pole odwiedzało stado domowych gołębi.

Tego ranka kilkakrotnie podrywało się do lotu i znów siadało. Działo się tak kiedy jastrząb pokazywał się wysoko na niebie.

Gołębie ponownie zapadały, kiedy znikał. Pracowitość tego ptaka była imponująca. Regularnie przelatywał nad polem na znacznych wysokościach, usypiając czujność swych ofiar. Wydawało się, że nie zwracał na nie zupełnie uwagi.

Swym przemyślnym postępowaniem ujął mnie nawet za serce, bo postanowiłem poczekać w ukryciu do chwili, kiedy zaatakuje stado. Jego myśli poznałem na wskroś i moje przewidywania miały się spełnić, a przy okazji mogłem nie myśleć o bezowocnym oczekiwaniu na dziki i przemęczeniu, niedospaną nocą.



Kotlina nad Bobrem stała się ziemią obiecaną dla gołębiarza. Zamieszkiwało tu sporo dzikiego ptactwa. Koła łowieckie stale wypuszczały młode bażanty, było dużo kuropatw, saren, dzikich i domowych gołębi. Jego pracowitość była uczciwa i imponująca, szczególnie w czasie karmienia piskląt. Żywił je tylko przez siebie upolowaną zdobyczą.

Jastrząb na jakiś czas oddalił się w stronę Sokolika i nastąpiła długa cisza. Stado gołębi spokojnie napełniało swoje wola ziarnem, gdy naraź coś poderwało je do lotu. Jastrząb błyskawicznie uderzył i trafił bocznego ptaka tak, że ten koziółkując opadał ku ziemi. Teraz brawurowo gołębiarz dopadł ponownie ofiarę, chwycił ją w swoje szpony i ślizgowym lotem szybował ku ziemi.

Silnie trzymając zdobycz usiadł na pniu złamanego przez

burzę świerka. Kilkakrotnie walił dziobem w łeb ofiary, jednocześnie podejrzliwie zerkając w stronę mej ambony.

Cofnąłem do wnętrza lornetkę. Zaniepokojenie ptaka rozluźniło jego uścisk szponów i szamoczący się gołąb opadł na ziemię. Drapieżnik nie darował mu tego. Zeskoczył z pnia i ostrym dziobem dobijał jeszcze ruszającą się ofiarę.

Ten widok stał się dla mnie niezbyt smaczny. Nie wiedziałem czy żałować tego nieszczęśnika, czy też podziwiać drapieżność gołębiarza. Jastrząb na moich oczach dokonywał selekcji najsłabszego ze stada gołębia.

Mimo wielkiej zručności w łowieckim rzemiośle ptak ten często głoduje. Darowałem mu ten występ i pożegnałem jak bliskiego znajomego, kiedy odlatywał ze zdobyczą.

Po nim pozostało mi kilka fotografii i zapamiętana łowiecka brawura.

27. Rzadkie widowisko

Jasiowa Dolina była ostoją najpiękniejszych rogaczy, jakie występowały w Rudawach Janowickich. Przyczyniała się do tego obfitość wartościowej karmy, a do naturalnej selekcji słabych i chorych sztuk w dużej mierze panujący tu ostry klimat oraz liczne występowanie jastrzębi i sokoła, a także znacznej ilości krwiożerczych lisów. Częste mrozy, niespodziewanie wracające niemal każdej wiosny w Dolinę, powodowały deformację dopiero co nakładanych przez rogacze parostków. Wszystkie te czynniki powodowały, że zdobywane tu sarnie trofea były cenne, wielkie i ciekawe. Przyciągały też wielu amatorów unikalnych okazów oraz myśliwych dewizowych.

Leśniczy opowiadał mi, że pod jego ambonę przychodzi rogacz, który ma zasłonięte oko przez jeden badyl. Ponieważ źle widzi, wychodzi na żer zupełnie po ciemku, kiedy trudno jego ocenić nawet w nocnej lornetce.

- Ja na rogacza nie biorę odstrzału – dodał – możesz sobie go obejrzeć.

Było bardzo ciepło.

- Idzie burza – zauważył leśnik. – Dziś już z zasiadki nic nie będzie! Jeżeli tylko możesz to wybierz się wcześniej rano, ale zaczęły się sianokosy i łączka pod amboną będzie koszona. Musisz parę dni poczekać.

Prawie po tygodniu od naszej rozmowy wszedłem w stary świerkowy bór, zaścielony płataniną kolczastych jeżyn, porośnięty kępami świerszczyny i młodych dąbczaków.

Ciągle przyspieszałem, aby zdążyć jeszcze przed świtem

zasiąść na ambonie Mietka, ustawionej na skraju łąki. Wiedziałem, że obok na pole wychodzą dwa rogacze – jeden silny krzyżak z bardzo wysokimi różkami, a drugi to ten selekcyjny, ze złamanym parostkiem zasłaniającym oko. Rogacz ten był bardzo ostrożny, bo dotąd nikomu nie pozwolił podejść do siebie, choć marzyło o nim wielu selekjonerów. Wychodził późno o zmroku i wracał przed świtem do swoich dziennych leży.

W lesie oświeślałem sobie drogę latarką. Zbudzony światłem puszczyk nerwowo rozhukał się wśród drzew, wprowadzając nastrój niepokoju w łowisku. Taki głośny sygnał tej wścibskiej sowy mógł być ostrzeżeniem dla ostrożnego rogacza.

Nie musiałem długo czekać na kilkakrotne szczeknięcie kozła. Pochodziło jednak z krańca dość odległej łąki. Potem nastała zupełna cisza. Starłem się wychwycić choćby najmniejszy szmer, ale nic takiego nie miało miejsca. Zewsząd otaczała mnie czarna noc, a w niej nawet słyszałem bicie własnego serca.

Jest dobrze! Jeszcze ostrożniej podszedłem do drabiny i starałem się w czasie wspinania na nią ani razu nie stuknąć. Otwarłem powoli drzwi i wśliznąłem się do wnętrza niczym wąż.

Zadowolony przysunąłem się do szczeliny okna i oniemiałem z wrażenia. W szklach lornetki odkryłem dużego rogacza stojącego nad strumieniem, o ceglastej sukni i z wpłatanymi trawami w rogi. Zrobiło mi się gorąco, byłem pewien, że to on, o jednej chyba trzydziestocentymetrowej tyce w kształcie krzyża, okręconej zielskiem i drugiej zwisającej ku dołowi.

Kiedy wyrównałem ostrość lunety na kniejówce, rogacz nagle zniknął mi z pola widzenia. Gdyby nie lekki chłód poranka, który nagle wypełził z mrocznej kniei i owiał moją twarz, byłaby mokra od potu i niespodziewanego wrażenia.

Już cienka świetlna rysa na grzbiecie Karkonoszy robiła

się coraz jaśniejsza, aż przybrała kolor krwistej wstęgi. Zapaliło się słońce na Słoneczniku, potem na Wielkim Szyszaku i świt powoli zawitał pod moją amboną. Zauważyłem, że naraz świerk na skraju strumyka zaczął się lekko kołysać i uginać. Moja strzelba wycelowana była w punkt przed ruszającym się drzewkiem. Czekałem na ukazanie się komory rogacza.

Kiedy byłem już pewien jego głowy, dało się słyszeć pomrukiwania. Natychmiast odłożyłem broń. Z zaskoczeniem teraz wypatrywałem dzika lub lisa, a może jeszcze innego zwierza, które pomrukuje.



Nagle ku mojemu zdziwieniu na łąkę przybył zając i dalej nerwowo mruczał. Z pomocą przednich łapek zaczął czyścić swój kożuch.

Dla kogo on tak się stroi, komu się chce przypodobać? Miał partnerkę – to było już jasne, choćby przez to jego mruczenie i zalotny wygląd.

Byłem tak wpatrzony w zachowanie zająca, że zapomniałem zupełnie o rogaczu. Nawet rozładowałem strzelbę, aby o niej nie myśleć, tak bardzo mnie ten szarak ujął swym niecodziennym postępowaniem. Z niecierpliwością czekałem na jego wybrankę, dla której poświęcał aż tyle czasu.

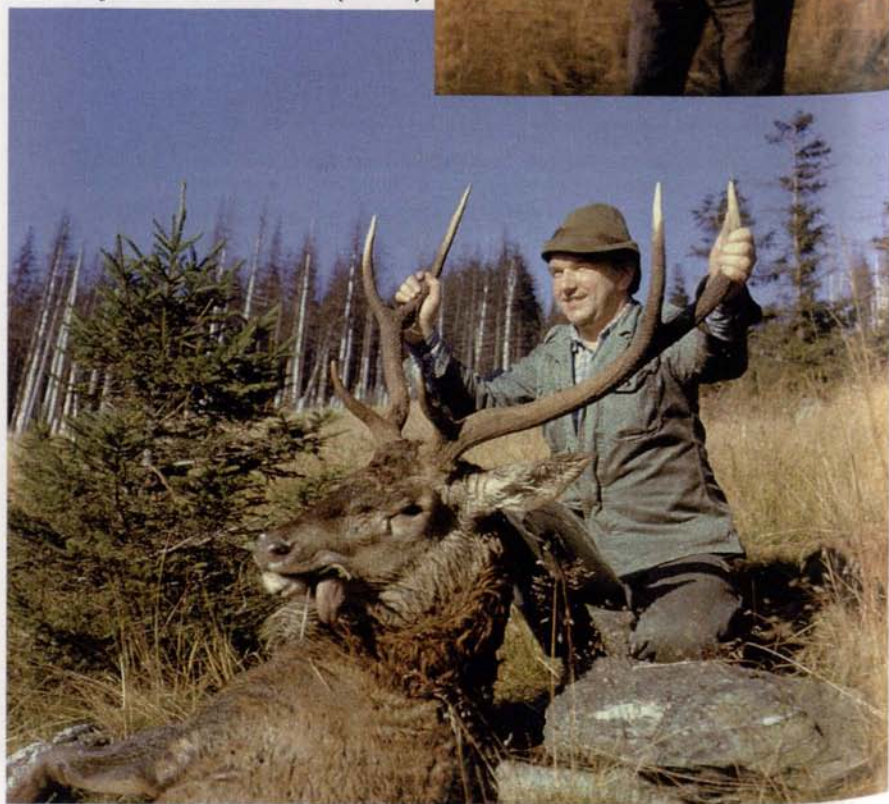


Silnie trzymając zdobycz, usiadł na pniu. (s. 154)

Trafiony, pozostał na miejscu. (s. 174)



Byk leżał na skałach. (s. 170)



Naraz omal nie zakląłem! Ze strumyka wyskoczył jak szalony najzwyklejszy kaczor krzyżówki. Wprawdzie czytałem o różnych zboczeniach, ale żeby gach stroił się do kaczora? Im dłużej przyglądałem się tej scenie, nabierałem coraz większego przekonania, że szarak został wyrzucony ze swego legowiska przez zادیornego kaczora. Bronił się teraz udając ważniaka, a przy tym pomrukiwał.

Ale z niego bohater! Ma wprawdzie cały zastęp nieprzyjaciół, prześladujących go o każdej porze dnia i nocy, ale żeby takiej kaczce ulegać? To mi się w głowie nie mieściło! Tym razem zamiast przywieść rogacza będę miał piękną fotkę kaczora z zajacem, ale czy nie było warto poświęcić cały ten ranek na to rzadkie widowisko?

Rogacz na pewno poczeka, a ponieważ wychodzi tylko nocą, długo jeszcze będzie zamieszkiwał Jasiową Dolinę. Myślę, że innym razem się z nim na pewno spotkam!

Zajaca zapamiętałem jako kulturalnego tchórza, który, choć w elegancki sposób, to skompromitował się przede mną i tym dzikim kaczorem.

Jednak na łące urządził rzadkie widowisko!

28. Szydlarz

Leśniczówka Mietka Sadowskiego w Wojcieszowie była chętnie odwiedzana przez myśliwych. Znajdowała się w niej książka ewidencji realizowanych tu odstrzałów, a leśnik udzielał cennych rad na temat skuteczności ich wykonania. Jednak wielu zapamiętało ją dzięki zamieszkującym obok niej leśnym zwierzętom, którym udzielono azylu. Najczęściej najpierw przypadkowo trafiały one do rąk ludzkich, a potem pod opiekę leśniczego. Tutaj nabierały sił i powracały do zdrowia, by ponownie znaleźć się w lesie.

Żona leśniczego, miała pełne ręce roboty, bo trzeba było wykarmić często dość znaczny inwentarz.

Leśniczówkę pobudowano na pagórku i wkomponowano w skalisty pejzaż, dlatego zwierzyna miała tu prawie naturalne wybiegi i czuła się jak u siebie w domu.

Wokół porastały lasy mieszane z bogatym podszyciem, któremu sprzyjało nie tylko wapienne podłoże i czysta woda, ale i cieplejszy i klimat. Wraz ze wzrostem wysokości okres wegetacji roślin był krótszy o miesiąc, niż gdzie indziej w Sudetach.

W obniżeniach terenu, pomiędzy góorskimi grzbietami, rosły niezliczone ilości ziół, kwiatów i paproci. Swoim bujnym listowiem osłaniały wnęki i wapienne jaskinie, gdzie dzika zwierzyna stworzyła sobie dogodne warunki do bytowania.

Obwód ten, którym opiekował się leśniczy, stał się bardzo atrakcyjnym dla zdobycia rzadkich trofeów myśliwskich. Kiedy i ja otrzymałem odstrzał na rogacza w tym rejonie, nie ukrywałem zadowolenia. Wzniesienia wapienne, gdzie kiedyś żyły

niedźwiedzie jaskiniowe, teraz stały przede mną otworem.

*

Od samego ranka burza wisiała w powietrzu. Czuło się ją ze wszystkich stron. Tę lipcową noc przespałem w stercie siana, by skoro świt zasiąść na Mietka ambonie, stojącej na skraju dość stromego zbocza. Wczorajszego wieczora łąka była pusta, a przyległe chaszcze jakby wymarłe. Dziś gęsta, wilgotna wata przykrywała wszystko, a grzmoty nadchodzącej nawałnicy były coraz bliżej. Wybór był tylko jeden – zdążyć przed deszczem pod dach. Na pamięć dobiegłem do ambony, dość odważnie wdrapałem się do jej wnętrza, poganiany wielkimi kroplami deszczu. Po chwili już gęstym dudnieniem rozdzwoniły się one po dachu nade mną.

Ulewa wybuchła z szaloną siłą, woda wdzierала się do wnętrza. Takie nawałnice występują tylko w górach i nad morzem. Przyciskałem do ścian luźne, mokre deski, kiedy wraz z oślepiającą błyskawicą strzelił piorun w rozłożystego buka obok ambony. Zamarłem z wrażenia. Odruchowo wepchnąłem się w najsuchszy kąt i tak przetrwałem resztę ulewy. Tymczasem grzmoty przeniosły się na drugi grzbiet i całą siłą wyładowywały swą energię. Krótka, jakby wiosenna burza, przeszła szybko i niespodziewanie. Mokra od deszczu łąka, wrzynająca się w czarną ścianę lasu, nabrała wyrazistości, a gwałtowne powiewy wiatru wypędziły z niej resztki wilgoci.

Już od kilku lat uganiałem się po górach za kapitalnym rogaczem i bez najmniejszego powodzenia. Czyżbym i w tym obwodzie nie spotkał nic godnego uwagi?

Po prawie godzinie obserwacji jakby spod samej ambony na łąkę wyszła sarna. Długo się wahała, ale nie wyczuwając niebezpieczeństwa podążała na zbocze.

Nagle parę metrów od miejsca mej zasiadki ujrzałem rogacza o szydłowatych, świecących białością parostkach. Jednak

dostał wiatr, strasząc zawrócił i w wysokich susach wybiegł na grzbiet łąki. O strzale nie było mowy, bo za nim ciągnęła się dolina i gospodarskie zabudowania. Chyba wiedział o tym, bo ten grzbiet wielokrotnie ratował mu skórę.

Długo jednak nie czekał. Ruszył galopem pod las, gdzie spokojnie inny rogacz objadał świeże listki brzoźki. Młody widłaczek, nie przeczuwając niebezpieczeństwa, naraz stanął przed groźnym rywalem do śmiertelnej walki. Tylko młodość i spryt uratowały go od potężnego ciosu w brzuch. Po chwili rozgorzała walka o ten skrawek łąki. Zachowanie obu rogaczy zwróciło uwagę żerujących wokół saren, które walce wytrwale kibicowały. Naliczyłem ich chyba ze siedem i parę młodych koźląt.

Znów zaczęły się przepychania upartych rogaczy. Ustępował raz jeden, raz drugi. Obaj mieli jednak tylko niegroźne okaleczenia skóry. Naraz widłaczek po niespodziewanym ciosie rywala upadł na kolana i pojedynek ten na pewno skończyłby się dla niego śmiertelnie. Jednak kiedy szydlarz szykował się do zadania młodzieńcowi decydującego ciosu, mierząc w brzuch swej ofiary, trafiony swoją kulą zwałił się w ogień.

Młody rogacz powoli podniósł się z trawy i długo nie wierzył w to, że jego groźny rywal padł przed nim. Z początku boleśnie chwiejąc się nabierał sił, a potem nurkując susami wpadł w las.

Sarny wróciły do lasu. Nastąpiła długa cisza i ogromna radość ze zdobyczy i przeżytej przygody.



W BARWACH ŻŁOTEJ JESIENI

29. Oszukać grzywacza

Otworzyłem szeroko oczy, kiedy kilkadziesiąt modropopielatych grzywaczy, połyskujących lśniącym karkiem, przeleciało nad lasem. Myślę, że mnie nie dostrzegły, gdyż ufnie z szumem i łopotem skrzydeł, wylądowały przede mną na rżysku.

Dziś trochę przeholowałem z czasem. Nigdy wcześniej nie zdarzyło mi się o tej porze jeszcze pilnować pola przed dzikami. Nie zebrane snopy pszenicy wabiły nie tylko dziki, ale i stadko leśnych gołębi.

Grzywacze mojej kryjówki nie odkryły. Siatka maskująca przy dużym pniu świerka zawieszona była od kilku dni i widocznie się do niej już przyzwyczaiły. Wcześniej poza kombajnem zbierającym ziarno, nikt tu się nie kręcił. Jeden z gołębi jednak nie był tego pewien i szybko z rżyska wystartował. Usiadł na gałęzi przede mną i bacznie mi się przyglądał.

Spokojnie wycelowałem w niego teleobiektyw i przycisnąłem automat. Seria trzasków migawki poderwała ptaka, jednak sfrunął tylko na ziemię. Teraz go miałem zaledwie na odległość strzału dubeltówki. Znów automat minolty powtórzył serię zdjęć. Gołąb, jak rażony błyskawicznie odfrunął, jakimś dziwnym korkociągami omijając wysokie drzewa.

Grzywacz był pełen wdzięku, zwinności i błyskawicznych zwrotów. Przyroda go wyróżniała pod każdym względem, szczególnie delikatnymi barwami i ostrością postrzegania.

Po chwili się odezwał na drugiej stronie ścierniska, przeciągłym huczącym głosem, podrywając do lotu pozostałe gołębie. Stadko natychmiast wzbiło się wysoko, zrobiło kilka

nad polem i znikło mi z oczu.

Właśnie ten pojedynczy osobnik wprowadził mnie w błąd. Stepił moją ostrożność, kiedy tak łatwo dał się sfotografować. Byłem przekonany, że zamienię kniejówkę na śrutowego boka i z łatwością strącę parę tych ptaków.

Następnego ranka złożyły się już listki na brzozech rosnących nad polaną, brzęczały pszczoły i gdzieś w lesie śpiewał drozd. Był spokojny wrześniowy dzień. Nad niedokoszoną pszenicą snuły się resztki wilgotnej mgiełki. To miejsce wypatrzyłem przez przypadek. Przedtem tu nigdy grzywaczy nie spotykałem. Nie byłem jednak pewien, czy moja czatownia jest właściwie usytuowana, choć poprzedniego dnia miałem gołębie jak na dłoni. Dziś byłem dobrze przygotowany, miałem śrutówkę z pełnymi czokami. To powinno się udać.



Grzywacze przyleciały w tym samym czasie, tylko wylądowały po drugiej stronie ścierniska. Uratował mnie jednak jastrząb gołębiarz, który natychmiast poderwał je ponownie do lotu. Kiedy i on odleciał przeniosłem się natychmiast na to ich lądowisko i ukryłem się w rozwartej kopce słomy.

Czekałem z zapartym tchem, kiedy znienacka nadleciała wrona i omal nie wypaliłem do przestraszonego ptaszyska. Dalej

trwałem w bezruchu. Dopiero może po godzinie grzywacze wylądowały na początku rżyska, demonstracyjnie siadając na kopach słomy. Byłem wściekły! To jawna kpina, skąd one wiedziały, że tu siedziałem?

Takie i podobne myśli prześladowały mnie długo, zanim usłyszałem szczekanie rogacza. To i ten mnie odkrył? Co za pech! Gołębie poszybowały w niebo. Moją kryjówkę znalazł jakiś młokos o głowie zaledwie widłaczka. Musiałem wyjść z ukrycia, bo by czekał jeszcze dalej. Na mój widok zrobił wielkie oczy i pośpiesznie prysnął w las. Teraz skorzystałem z nieobecności gołębi. Ile sił pobiegłem do stojących kopców na początku pola i bezładnie zarzuciłem na dwie z nich czapkę i torbę, sugerując, że są zajęte.

Powróciłem pośpiesznie do swej czatowni. Grzywacze też wróciły, choć dopiero przed obiadem.

Czułem je nad sobą jak przecinały ze świstem powietrze, a ja nie śmiałem się nawet wychylić. Nie lądowały, a kiedy po raz już któryś przelatywały nade mną, strzeliłem do boku ptaka. Za modrym grzywaczem jak biały spadochron wyrosła czasza pierza, a ptak jak kula jeszcze leciał, nim uderzył o rżysko. Stadko mimo głośnego huku ponownie nadleciało nad leżącego ptaka. Wówczas to straciłem drugiego grzywacza.

Pomniejszone stadko o dwa ptaki ostatecznie opuściło ściernisko.

30. Rykowisko pod gwiazdami

Za Szerokim Mostem droga wiała się stromo pod górę. Nie puszczałem nogi z gazu. W najmniej spodziewanym miejscu była uślana kamieniami, co jeszcze bardziej utrudniało jazdę. Ułaz huczał na pełnych obrotach, podskakiwał i trząsł jakby miał się zaraz rozlecieć na pół.

Obok wody potoku Płomnicy przelewały się po oślizgłych kamieniach i szumiały jak wielki wodospad. Po drugiej stronie drogi mieliśmy wąwóz i wielkie skały – ta najbliższa to Buława. Dalej jakby silnik się uspokoił, droga wiodła wzdłuż warstwic do leśnego szalasu.

Sowia Dolina to najbardziej tajemniczy i najmniej znany górski kanion w Karkonoszach, rzadko odwiedzany, położony pomiędzy masywami Czarnej Kopy i Kowarskiego Grzbietu, o bardzo stromym wąwozie i alpejskim klimacie. Tej jesieni tryskał przepychem kolorów, barwą skał i łąk, złota, czerwieni i ciemnej zieleni buków, jarzębin oraz świerków.

Droga stała się jeszcze bardziej stroma. To już był koniec tej mozolnej jazdy. Przed nami łąki na stromych stokach, wcięte w Czarny Grzbiet.

- W okresie zimy słońce zachodzi za góry na okres siedemnastu tygodni – mówi miejscowy leśniczy. – Ma też miejsce zjawisko inwersji. W tych dniach tutaj zalega zimne, ciężkie powietrze, a na szczytach temperatura wzrasta. Tam też chętnie jelenie odbywają swe doroczne gody.

- No to mamy sprawę ułatwioną stwierdził Edek.

- Wiemy gdzie szukać kapitalnych byków. Tylko żeby jeszcze

była winda na ten szczyt, to już byłoby wszystko w porządku! A tu, jak widać wymaga się od nas kondycji alpinistów.

Mocno zadarłem do góry głowę, by przyrzeć się najbliższemu szczytowi i wyschniętej tam na kość resztkę świerkowego lasu. No, pokażesz co umiesz i tylko nie ośmiesz się i nie stchórz przy wspinaczce na tę górę – powtarzałem sobie w duchu.

Kanion, porośnięty lasem, zbliżał się do nas i pochłaniał jak mroczna jaskinia. Krajobraz wokół był nieprawdopodobnie piękny.

Dopiero późno wieczorem zakwaterowaliśmy się w szałasie. Noc wokół stała widna, na stokach poświata księżyc srebrzyła się wśród resztek martwych drzew.

Kiedy odbierałem odstrzał od łowczego Wieśka z Kniei, do którego ten obwód należy, nawet mi do głowy nie przyszło, że będę musiał pokonywać takie wzniesienia.

W głębokiej ciszy, coraz butami spychałem kawałki skałek, które toczyły się głośno w dół, zdradzając drogę mojej wspinaczki.

Ciągle trzeba było iść do przodu. Stanąc nie było jak – natychmiast leciało się w dół. A tu jeszcze ten ciężki ekwipunek i strzelba! Na chwilę przysiadłem i starałem się nie patrzeć za siebie. Panowała tam zupełna ciemność, choć było blisko przedświt i księżyc pochylił się już ku górze. Nie ma co ryzykować! Trzeba pozostać i nasłuchiwać, tym bardziej, że ze szczytu dochodzą krótkie stęknięcia. Ułożyłem się wygodnie na ziemi i przyłożyłem ucho do wystającej skały. Wyraźnie słyszałem trzaskanie gałązek, zdradzające obecność jeleni.

Robiło się coraz jaśniej, choć dzień wstawał ospale. Gwiazdy jeszcze wisiały nisko, ale były już coraz bledsze.

Gwałtownie wzrósł hałas na szczycie pomiędzy drzewami. Tam skierowałem lornetkę. Czerwone sylwetki łań były ciągle w ruchu. Wśród nich był też byk. Na łbie niósł krzaczasty wieniec, wystający aż ponad zarośla.

Ryczał donośnym głosem. Basowe echo, odbite od przyległego zbocza, wracało i straszyło chmarę. Jelenie wybiegały na stok, przez dobrą godzinę obserwując dwa młode byczki, które walczyły dla zabawy, ale coraz bliżej łań. Natychmiast odskakiwały, kiedy zaatakował je agresywny stadny byk.

Wybrzuszony stok przeszkadzał w lepszej obserwacji. Decyduję się jeszcze podejść wyżej. Mój nieznaczny ruch dostrzegła któraś z łań. Nerwowo uderzyła cewkami o ziemię. Potem, jak niby nic, cała chmara powoli przesuwa się na południowe zbocze.

Tam siedzi Edek. Może teraz będzie miał okazję strzelić godnego selekta? Co z tego, że przez moment widziałem czarne, grube wieńce odstrzałowego byka, kiedy trudno było odkryć jego zasłoniętą sylwetkę! Trochę mam do siebie żal, że zachowałem się tak nierozważnie. Ale może i dobrze, bo ten stromy stok nie gwarantował precyzyjnego strzału.

Liczyłem jeszcze na łut szczęścia. Jelenie schodząc w dolinę mogłyby przeciąć zbocze bliżej mnie.

Tak jak przedtem chmara znów zachowywała się głośno. Łamała gałęzie na szczycie, byki ciągle porykiwały i były nie - spokojne.

Już dobrze po siódmej pierwsza łania w susach sunęła w dół, za nią reszta chmary. Byk nagle zatrzymał się i bacznie mnie obserwował. Odległość znaczna, może z trzysta metrów!

Teraz stokiem rzucił huk! Spłynął w dół by odbić się od doliny i powrócić grzmotem. To strzelał Edek. Jelenie na chwilę się zatrzymały, by znów długimi skokami opuścić zbocze całkowicie.

Za późno na kamerę, nawet na lornetkę. To stało się tak nagle i niespodziewanie, że tylko smugi wyłożonej trawy zaświadczały o ich tu obecności. Chmara znikła mi z oczu za zwalami skał.

Jeszcze tego ranka jelenie ryczały na przyległym

wzniesieniu, po stronie Karkonoskiego Parku, aż trząsał się las.

Kiedy schodziłem popielaty brzask niósł nad stokiem pęczeryze mgły. Na dnie wąwozu stał już leśniczy. Wracał też Edek. Zadowolony niósł gałązkę z świerka zanurzonej w farbie.

Możliwie jak najszybciej pokonaliśmy tę wysoką ścianę, już bez брони i dodatkowych ciężarów. Byk leżał na skałach. Jego szerokie rozłogi robiły imponujące wrażenie na tle kanionu. Przy pomocy długich lin zaczęliśmy transportować go w dół. Do celu dotarliśmy dopiero późno po południu.

Leśniczy pomysłowo przymocował wielki łeb zwierz do maski samochodu i prosił o zdjęcia.

Był to już ostatni akord tej wyprawy do skalistego kanionu i ośrodka jelenich godów u szczytu Czarnej Kopy, nocnej ostoji pod niebem usłanym gwiazdami.

31. Szarża szesnastka

Kończyła się połowa października. Welony gęstej mgły okrywały Północny Grzbiet w Górach Kaczawskich. Lasy nocami coraz częściej przyodziwały się w białe szrony, na górze Urwistej, Świerki i Łysej nawet posypało śniegiem.

Te trzy bliźniacze, prawie tysiącmetrowe wzniesienia, od niepamiętnych czasów były zawsze ostojami jeleni, miejscem ich narodzin i wspaniałych godów.

Dziś bezmyślna, ludzka zachłanność wyrwała naturze Łysą Górę i zniweczyła jedno z najwspanialszych rykowisk w tym rejonie. Wycięto tu lasy, ustawiono wyciągi narciarskie, a stoki oświetlono. Całymi nocami pracują armatki śnieżne. Hałas i zgiełk, szum setek samochodów - to dzisiejsza rzeczywistość.

Wszystko to przyczyniło się do opuszczenia swoich ostoi przez prawowitych mieszkańców tego terenu, w tym jeleni, które tu od dawna królowały.

*

Sporo lat wstecz, kiedy jeszcze inwestycji narciarskich nie było, stałem przed domem leśniczego Zygmunta Bały. Błada jasność księżyca zaczęła zalewać łąki pod Janochowem. Naraz zaczął ryczeć jeleni. Jego kilka basowych, głębokich tonów jak grzmot przewalało się po zboczach gór. Obaj w milczeniu wysłuchiwalismy tej jesiennej melodii lasu, na którą odpowiedź przyszła natychmiast. Jakiś inny byk z Urwistej ryczał jeszcze donioślej i wspanialej. Widać podjął wezwanie na tę zaczepkę. Znów zadrzał las na Północnym Grzbiecie.

- Rykowisko trwa już od kilku dni - zauważył leśniczy - a

to za sprawą tego nagłego oziębienia. Wczoraj wieczorem odezwały się te dwa moje osiemnastaki, które już od kilku lat hoduję. Jeden z nich ma swoją ostoję na Urwistej. Mieszka tam razem z chmarą, która przywędrowała z Łysej. Jest bardzo ostrożny i nie pozwoli się podejść. Kręci się tam też kilka kapitałnych byków, ale spotkanie z nimi to niedościgłe marzenie wielu selekjonerów. Bardzo doświadczone wychodzą dopiero po północy, a rykowisko kończą jeszcze przed świtem.

Uważnie słuchałem uwag leśnika, bo kiedy Wojtek, łowczy koła, wręczał mi odstrzał nic o tej górze mi nie wspominał.

U Zygmunta wypiliśmy po mocnej kawie i zamiast pójść na ambonę stojącą na stoku, zgodnie z jego instrukcją usiadłem w wygodnym fotelu i tak przekinałem do północy. W międzyczasie leśniczy kilkakrotnie wychodził z mieszkania i sprawdzał wiatr, temperaturę i jasność nocy.

- Wstawaj! Księżyc świeci ostro, nie może być mowy o pokazaniu się na stoku! – przerwał moją drzemkę.

Po wyczerpującej instrukcji wróciłem do Chrośnickich Dołów. Górę objechałem prawie wokoło i zacząłem podchodzić ryczące byki od północy.

Wybór drogi przez leśniczego okazał się trafny. Wiatr miałem w twarz, wspinałem się skrajem lasu w pełnym cieniu od poświaty księżyca. Ależ to było łatwe! Zygmunt to bardzo doświadczony leśnik. Sam na pewno bym to spotkanie z jeleniami zepsuł.

Chmarę miałem przed sobą. Żerowało tam prawie ze dwadzieścia łań. Dwa młode byki biegały wokoło, hałasowały i nawet ze sobą walczyły.

Szedłem stromo pod górę. Co pięć kroków stale sprawdzałem w szklach mej dziesiątki przybliżanie się do jeleni. Tymczasem góra trzęsła się od grzmotu ryków niewidocznych graczy. Przystawałem, uspakajałem tętno i oddech i znów przesuwałem się po kawałku do przodu.

Było bardzo zimno. Srebrna tarcza księżycza żeglowała nad zalesionym szczytem Urwistej. Nagle blisko przede mną zaryczał jeleni. Potem zaczął kaszleć i wydawać nerwowe porykiwania.

Jeszcze dziesięć, dwadzieścia kroków! Jak to było łatwo pomyśleć, kiedy miało się przed sobą tak emocjonujące spotkanie. Zatrzymywałem się jednak częściej, bo podchód ten wymagał coraz większego wysiłku.

Wcześniej upatrzone miejsce było dobre. Przed sobą miałem garbate wzniesienie, na którym spokojnie skubały trawę łanie z cielakami. Do chmary należały też dwa stare byki. Ten kapitalny stał na urwistym wzniesieniu i dawał koncert swego głosu, przy tym bacznie pilnował łań. Miał doskonały widok na chmarę, nie pozwalał się zbliżać rywalom, choć pomiędzy nimi dochodziło do ciągłych gonitw, a raz nawet starcia. Głośny stuk wieńców niósł się daleko po lesie.



Chmary pilnował Zygmunta pupilek - kapitalny osiemnastak, który był oczkiem w głowie leśniczego. Ciągłe powtarzał mi, że podobnie silnego reproduktora nie ma w całej okolicy. Tej nocy rywalem jego był odstrzałowy dwunastak, chyba mniejszy o połowę, ale zadziorny i skory do ciągłej walki.

Naraz za plecami usłyszałem, trzask gałęzi i powtarzające

się szmery oraz pomrukiwania. Serce skakało w piersi, waliło jak młotem! Coś mi kazało załadować kniejówkę. Znów wrogie warknięcia! Oddech dławił i zatykał gardło.

Nie wiedziałem, co robić. Odwrócony tyłem do chmary wytrzeszczałem oczy w ciemny las i bacznie obserwowałem. Staralem się siłą woli opanować nerwy i strach. Pewno trwało to zbyt długo.

Chyba jednak odstraszę intruza od siebie! Lekko uderzyłem podpórką o kolbę strzelby. Stukot poderwał chmarę. Takiej reakcji zwierząt się nie spodziewałem!

Jak grom z czarnego lasu wyskoczył byk. Z szybkością błyskawicy znalazł się przede mną! Widocznie wziął mnie za swego rywala. Ciężko dysząc rzucał na boki łbem, przy tym rozbryzgując ślinę! Szykował się niewątpliwie do zadania mi ciosu.

Teraz każda sekunda wydała mi się wiecznością, a wściekłość i determinacja byka ciągle narastała. Kiedy ochłonałem z pierwszego wrażenia i próbowałem się wycofać, byk z furią rzucił się w moim kierunku. Trafiony, pozostał na miejscu!

Byłem przestraszony, choć byk już nie żył. Byłem też szczęśliwy. Do szarżującego zwierza miałem zaledwie dziewięć kroków.

Jak kamfora znikły ze wzgórza jelenie. Zostałem tylko sam z moim rywalem.

Po godzinie leśniczy szedł do góry. Zauważyłem jego światło latarki. Z jaką ulgą teraz oddychałem i byłem szczęśliwy jak nigdy. Naraz ugięły mi się nogi, chyba z przeżytych chwil i zmęczenia. Gdyby nie kamień upadłbym na łękę.

Czekałem na leśnika, a kiedy zobaczył byka podszedł do mnie i uściśnął dłoń.

- To twój najpiękniejszy? - spytał.

Potwierdziłem kiwnięciem głowy, bo i tak bym nie wykrztusił ani słowa.

32. Trefna ambona

W każdym prawie łowisku jest taki rewir, gdzie myśliwi niechętnie polują. Stoi też taka ambona na której choć jest solidnie zbudowana, to i tak mało kto usiądzie, czasami z braku łowieckich wyników, innym razem ciągle wyrrywanych szczebli w drabinie. Bywa, że prowadząca do niej jedyna dróżka zostanie zarzucona konarami przez huraganowe wiatry lub porośnię wysokimi ostami.

Tak było i z tą amboną, stojącą nad potokiem Radzyńki, która razem ze Świerzawką wpada do Kaczawy. W widłach tych obu leśnych potoków na niewielkim pagórku ktoś dawno temu wybudował solidną ambonę. Budowniczym był chyba wstępujący do koła kandydat, bo dawniej był taki zwyczaj i obowiązek dla nowych adeptów łowiectwa.

Nikt jednak nie zadbał o jej lokalizację, ani o potrzebę ustawienia we właściwym miejscu. Stała z dala od ścieżek dzikiej zwierzyny, nad łąką porośłą ostrą, niejadalną trawą. Smagana deszczem i śniegami, zielona od mchów, była odwiedzana jedynie tylko przez nietoperze i sowy.

Wokół niej narosło już tyle legend i tyle przedziwnych zdarzeń miało tu miejsce, że nawet niechętnie o ambonie mówiono. Faktem było, że kilka lat temu jakiś desperat zakończył w niej życie, a to już było przyczyną jej omijania. Wprawdzie dobrze wkomponowana w leśny krajobraz i gęste lasy, pomiędzy Wojcieszowem a Radzyniem, stała w rzeczywistości na uboczu myśliwskich wydarzeń.

Kiedy ktoś odkrył, że naprzeciw niej znajduje się

cmentarzysko, systematycznie zaczęto ten teren omijać. Najgorzej, że i zwierzyny, ani jej tropów nie można było się tam dopatrzeć.

Dyrektor miejscowego pegeeru i zarazem właściciel przyległych gruntów, pan Józefczuk, w czasie jednego z polowań opowiadał, że na pagórku, gdzie stoi ambona, w średniowieczu Wojcisz spalił żywcem cały kartel z ludźmi. Zaraz po wojnie jeszcze stała tam kamienna szubienica.

- Czasami i teraz – mówił – po nocach jeszcze słychać tam jęki, wycia i odgłosy ludzkich kroków. Częściej też bywają huragany i trąby powietrzne, a w tym miejscu Radzynka zamienia się w niebezpieczną, szalejącą rzekę. Są i tacy, którzy przysięgają, że w ciemne, bezgwiazdne noce zza stuletnich świerków, stojących obok, zionie lodowatym powietrzem. W czasie podchodzenia przy drodze wyczuwa się obecność niewidzialnych osób stojących za drzewami. Ci śmiałkowie, którzy siedzieli już na tej ambonie, mogą przyrzec, że coś nią trzęsie, a podpory, na których jest zawieszona, po nocach grają smętne melodie. Strzelcy chybiają zwierzynę lub strzelają do upiórów.

Darek był odważnym myśliwym. Mówił, że te opowieści to jedynie czece dyrdymałki, brednie wymyślane przez tych, którzy mieli spotkania z wielkimi odyńcami, mieszkającymi na tym zapomnianym cmentarzysku. Dziki tam mają więcej spokoju niż gdziekolwiek indziej i czują się bezpiecznie. Opowiadał mi też, że jesienią wybrał się w tym obwodzie na czarnego zwierzka, a w książce wpisów u leśniczego Rogali wszystkie ambony tego wieczora były zajęte. Pozostała tylko ta jedna - ta trefna.

Nim do niej się dostał musiał pokonać wiele przeszkód. Wnętrze było usłane pajęczynami, wilgocią a zgniły, nieprzyjemny zapach wypełniał jej wnętrze.

Tą niewygodę jednak równoważył wspaniały widok z okien na dolinę leśnego potoku. Siedział przy otwartym oknie i już pod wieczór, kiedy porządnie przemarzł, niespodziewanie do środka wpadł czarny nietoperz. Zrywając pajęczyny usiadł na

suficie jemu nad głową. Darek szybko zamknął okno, a później długo nie działa się nic szczególnego.

Księżyc schował się za chmurami, nastała ciemna noc. A kiedy minęła północ nagle zatrzęsło amboną.

- Obleciał mnie błądy strach – opowiadał. - Natychmiast odbezpieczyłem winchestera i czekałem w napięciu na zbliżającego się ducha. Jednak z dołu tylko głośne stukania, pomruki i piski dało się wyraźnie słyszeć, przypominające zachowanie dziczej watahy. Ostrożnie otworzyłem okno. Próbowiałem cokolwiek zobaczyć, ale mój trud był daremny. Pomruki i krzątanie dalej było słychać pod drabiną. Przyłożyłem ucho do mokrej belki i wyraźnie usłyszałem czochrania się o nią i jakieś nieznane mi piski. Pewien byłem, że pod amboną było zupełnie pusto. Mogłem to teraz sprawdzić, bo zza chmur wyszedł jasny księżyc. Później się wszystko uciszyło, na łące było jasno jak w dzień i pusto aż pod sam las. Naraz na ścieżkę przede mną wybiegły dwa duże borsuki. Były tak zajęte swoimi sprawami, że zupełnie moja obecność ich nie interesowała. Bawiły się schwytanym dużym ptakiem. Zrozumiałem, że zamieszkują pagórek pode mną. Podkopały jej podpory, o belkę wycierają swoje kożuchy, a to ich zachowanie przenosi się po wilgotnym drewnie do wnętrza ambony. Stąd w zupełnej ciszy ta borsucza muzyka, jak w głośniku, czy słuchawce, brzmi dość zagadkowo i jest denerwująca.

Borsuki naprzeciw strumyka i łąki miały swoją spiżarnię. Wybierały ptasie gniazda, chwytaly małe zajączki, jesienią wykradły z pól kukurydzę. Robiły to jednak w zupełnej tajemnicy i czasami swym głośnym zachowaniem wzbudzały strach. Spały całymi dniami i tylko nocą wychodziły na łowy. Ich chód do złudzenia przypominał ludzkie kroki, a przemieszczanie się tyłem w księżycowej poświacie wydawało się nienormalne i straszne. Rozmnożyły się też nadmiernie.

Po przeżyciu tak silnych wrażeń spokojnie oparłem lornetkę o parapet okna i przyglądałem się z zaciekawieniem obu

borsukom.

Upłynęło jeszcze kilka minut, kiedy oba zwierzęta zatrzymały się przy nadbrzeżnej skarpie. Księżyc rzucał na nie srebrne cienie. Nagle w leśnej ciszy rozległ się głośny skowyt, pisk i szczekanie. Trwała walka obu borsuków z lisem, który im usiłował odebrać przyniesionego ptaka. Bój był zażarty. Oba siedziały na ziemi i broniły się łapami, odganiając atakującego lisa. Wrzawa była tak głośna, że ściągnęła nawet sowę, która również zaczęła atakować borsuczą zdobycz.

Postanowiłem tę walkę przerwać. Dokładnie wycelowałem czarnym krzyżem lunety na jasny kołnierz lisa i przycisnąłem spust. Głośny huk przewalił się po górach. Lis, który był wielkim szkodnikiem na tym terenie, naraz zapadł się pod ziemię. Skarpa i łąka przede mną stały się puste jakby nic się nie zdarzyło.

Kiedy o świcie zszedłem z ambony pod skarpą znalazłem martwego borsuka i uśmierconego jarząbka, który tutaj był ptakiem chronionym.

Borsuka portret uwieczniłem na pniu starego drzewa, a skóra jego przez wiele lat zdobiła pokój leśniczego razem z spreparowanym jarząbkim.

I jak tu nie przyznać racji tym, którzy tę ambonę nazywali „trefną”!

Tak zakończył swoje opowiadanie Darek. Jednak pomyłki z lisem nigdy nie umiał logicznie wytłumaczyć.

33. Strzał w dziesiątkę

Pierwsze zbiorowe polowanie w tym roku odbyło się w obwodzie leżącym przy autostradzie biegnącej do Wrocławia. Na zbiórce przed leśniczówką było gwarno i wesoło. Spodziewano się dobrych wyników.

Tego dnia przyjechało jednak więcej osób niż łowczy miał kartek do losowania stanowisk. Swoją numer grzecznie przekazałem z powrotem do kapelusza i oddałem się do dyspozycji prowadzącego spotkanie, prosząc żeby dał szansę młodszemu adeptom myślistwa. W zamian łowczy wyznaczył mi odległy przesmyk na Południowym Grzbiecie Gór Kaczawskich, dodając abym tam siedział do oporu.

Wiedziałem co to oznacza. Co najwyżej usłyszę huk i ewentualnie spotkam dzika uchodzącego z miotu. Nie będzie innego kontaktu z kolegami, ani wspólnego ogniska i pieczenia kielbasek. Aż do samego wieczora będę sam.

Nie martwiłem się jednak zbytnio, bo podobne przesmyki, z braku kartek, otrzymali jeszcze dwaj inni koledzy.

Tym rejonem opiekował się Gustek. Dość skrycie przekazał mi informację abym pilnował drugiego strumyka. Tam będę miał szansę na spotkanie sporej wielkości odyńca, który z miotu najczęściej tamtędy uchodzi. Jest jednak nadzwyczaj ostrożny i na wąskiej drodze nie da łatwo sprzedać swego kożucha.

Odmeldowałem się i szutrową drogą, wśród niewielkich lasków, jechałem do Chałup, a stamtąd pod Przełęcz Radomierską. Krajobraz był pagórkowaty i lesisty, a barwami

jesieni przyozdobione lasy radowały wzrok. Ich czerwień kończyła się daleko, bo aż pod skalnym grzbietem Karkonoszy.

Ranek wstawał cichy, jesienny, zza gór sączyły się dopiero pierwsze promienie słońca.

Zgodnie z radami kolegi pozostawiłem auto przy pierwszym potoku i pieszo udałem się nad drugi, który dość gwałtownie spływał z gór. Obok niego biegła leśna droga. Kończyła się na pustym polu. Po obu stronach obsadzona była lasem z brzoźek pomieszanych ze świerkami, a gęste poszycie utrudniało wgląd do jego wnętrza.

Niepotrzebnie wcześniej szukałem dziczej ścieżki. W ten sposób przegapiłem dwa przelatki, które błyskawicznie przeskoczyły przede mną drogę. Od razu przed sobą się usprawiedliwiałem, że i tak bym nie zdążył strzelić do nich, bo stało się to tak nagle i bezszelestnie, że nie mogło zwrócić mojej uwagi.

Czekałem spokojnie na następną okazję. Oczy już zmęczyłem ciągłym wpatrywaniem się w las. Stawałem się zmęczony tym nieruchomym staniem, jak szeryf ze strzelbą gotową do strzału. Następną godzinę już przesiedziałem na trójnogu, a przede mną nadal nie było żywej duszy. Wprawdzie słyszałem parę wystrzałów daleko w miocie, ale tu panowała usypiająca cisza.

Kiedy straciłem już nadzieję na dziką, daleko na drodze pokazał się lis, który spokojnie baraszkował za myszami. Szybko ustawiłem naprzeciw siebie kamerę, a elektroniczny samowyzwalacz wcisnąłem pod but. Wierzyłem, że lis mnie nie zauważy i przyjdzie obok, a wówczas uruchomię migawkę aparatu. Zrobię fotografię, jakiej jeszcze nie mam w swych zbiorach! Czekałem dość długo. Aparat pomierzył światło. Czerwona dioda stale sygnalizowała jego gotowość do strzału.

Nawet byłem zadowolony z mego pomysłu. Kiedy jednak lis niespodziewanie przeskoczył drogę, a ja nawet nie zdążyłem wyzwolić migawki, byłem załamany!

Nagle gęsty świerk, stojący przy drodze, wyraźnie się zachwiał i na drogę wyjechał wielki odyniec. Zamiast strzelić go na komorę, przycisnąłem butem kontakt aparatu. Później dopiero usłyszałem huk z mej kniejówki.

Drzazgi z roztrzaskanego pnia rozprysły się obok, a dzik zdrowo poszedł z powrotem do miotu.

Jaki wstyd! Ale pudło! Z takiej bliskiej odległości nie trafić odyńca? A jeżeli jeszcze moja kamera zrobiła to podobnie, to lepiej przestać w ogóle polować!

Nawet nie poszedłem sprawdzić. Roztrzaskany pień świadczył dobitnie o sprawności mojego oka. Potem jeszcze długo słyszałem chrząkającego z niezadowolenia, oddalającego się dzika.

Resztę dnia przesiedziałem na przesmyku i gdyby nie grzybiarze, chyba bym został tam do nocy. Chciałem ten obraz, to zdarzenie, choć dla mnie przykre, zatrzymać w pamięci jak najdłużej.

Następnego dnia radość moja była wielka i niespodziewana, kiedy ujrzałem mego odyńca na świeżo, wywołanej fotografii.

Mimo pudła, strzał był jednak w dziesiątkę!

34. Magiczne miejsce

Jest taka polana w Górach Kaczawskich, którą chętnie odwiedzam i do której z przyjemnością wracam. Ma coś w sobie z tajemniczości i powagi. Czuję się tu wspaniale! Z miejsca tego emanuje jakiś wielki przypływ dodatniej energii, który pobudza do pozytywnego myślenia i spoglądania na świat.

Dawno temu ustawiono tu nad strumieniem ambonę i zawieszono pomiędzy niebem a ziemią. Atmosfera jej wnętrza też koi i uspakaja, a plusk wody tłumi wszystkie głośnie niedoskonałości ludzkiego zachowania. Wokół niej, jak w soczewce, skupia się różnoraki krajobraz - pola, łąki, młodniki i sędziwe drzewa. Przychodzą tu wszystkie dziko żyjące zwierzęta z Północnego Grzbietu, aby najeść się do syta.

Ambona stała się dla mnie czymś bardzo ważnym, osobistym. Mam też do niej wielką sympatię, może dlatego że pomagałem ją budować. Potem przesiedziałem na niej wiele nocy, często w mrozie i słońcu. Może też dlatego ją tak polubiłem, że z niej strzeliłem pierwszego odyńca i zdobyłem medalowe parostki rogacza. Byłem tutaj świadkiem wielu epizodów przyrodniczych, odkryłem sporo nowych, leśnych tajemnic i uczyłem się dla nich pokory i szacunku.

Było to dla mnie od dawna miejsce zagadkowe i magiczne!

Jej szczeliny do dziś noszą ślady odcisniętych obiektywów przy łowach z kamerą, a wykonane tu fotografie zdobywały znaczące miejsca w konkursach przyrodniczych.

Jednak to magiczne miejsce, ta ambona, utkwiała w mej

pamięci najbardziej przez taką zwykłą przyjaźń z Grażyną.

Chyba to było w roku siedemdziesiątym. Dziewczyna otrzymała pracę w zakładach chemicznych. Była świeżo po politechnice, zgrabna, o niecodziennych rysach twarzy i wysportowanej sylwetce. Zapoznałem się z nią przypadkowo w czasie przygotowywania wystawy fotografii.

- Ja tobie pomogę - powiedziała niespodziewanie, a ty mnie zaprosisz na dziki.

Zgodziłem się natychmiast, bez wahania, bo jak bym mógł odmówić takiej damie.

Kiedy jednak się rozstaliśmy dopiero doszła do mych zmysłów ta nieprzemyślana decyzja wspólnego polowania. Jeżeli nie ma być to polowanie udawane, a jak mówi doświadczony kolega Krzysiu, jeden myśliwy w lesie to jeden za dużo, muszę coś zrobić, aby się nie skompromitować przed nią.

Na pewno będzie spodziewać się wyników, bo to młoda i ambitna dziewczyna, idąca od sukcesu do sukcesu. A jak ciężko spotkać się z odyńcem wiedzą tylko myśliwi, którzy przesiadują po kilka nocy nad polami i często bez efektu.

Jak ja sobie z tą panią teraz poradzę? Myśl ta zaprzętała mnie przez wiele następnych dni.

Wówczas to przypomniałem sobie o tym magicznym miejscu. Nie wiedziałem teraz jak ono wygląda i czy ambona nie będzie zajęta - przecież to okres rykowiska jeleni. Może ta drewniana chatka nad strumieniem pozwoli mi w spełnieniu marzeń tej dziewczyny, a mnie uratuje honor?

Wieczór był chłodny. Szron i siwy nalot okrywał opłotki leśnicówki w Maciejowej. Srebrzyły się też łąki odgradzające ją od zielonego kompleksu leśnego.

Leśniczy zapytał w który rejon wybieram się tego wieczoru. Widząc, że nie jestem sam polecił wygodną chatę Gustka.

Nie, dziękuję - powiedziałem. Chcę pójść na ambonę przy strumyku.

Zwiesił głowę, zdjął czapkę i po chwili z przekonaniem oświadczył:

-Parę dni temu skończyliśmy tam karczowanie resztek wiatrołomów po zimowych huraganach. Co ty chcesz szukać na tej ambonie? Chyba od miesiąca nikogo tam nie było!

Teraz i ja zwiesiłem głowę.

- Do wieczora daleko, to jeszcze się zastanowisz – dodał gospodarz.

Wydeptaną ścieżką szliśmy przez te wertepy na przełaj, później drogą i poletkiem. Skakaliśmy przez strumień. Grażyna wylądowała jedną nogą w potoku. Woda chlupnęła wysoko, oblała jej ubranie. Widać, że była twarda. Nie powiedziała ani słowa skargi!

Zaproponowałem chwilę odpoczynku. Zgodziła się usiąść na wywróconym drzewie. Była bardzo rozmowna. Najchętniej mówiła o swoim dziadku i rodzinie o tym, że w niej polowano zanim się urodziła.

Umiłowanie lasu i przyrody noszę we krwi – stwierdziła-. Zresztą w naszej rodzinie nie było męskiego potomka, to komu miano przekazać łowieckie tradycje? Dla mnie to przygoda! Na jakiś czas musiałam z tej przyjemności zrezygnować. Tutaj wydaje się jeszcze ciekawiej niż w rodzinnych moich stronach. W górach jest świat małych przestrzeni, muszą pracować wszystkie zmysły, aby to piękno ogarnąć i przeżyć. Myślę, że łowiectwo uczy pokory, a inne sprawy wydają się maleńkie w porównaniu z przyrodą.

Na pewno słuchałbym dłużej jej zwierzeń, ale mieliśmy jeszcze spory kawałek drogi do pokonania, bo wieczór zbliżał się szybko.

Zanim weszła do środka ambony, długo się jej przyglądała. Nie wiem czy nie była zdecydowana, czy też przypominała jej podobną z rodzinnych stron.

Widok z niej roztaczał się bajkowy. Srebrzyło się ściernisko, resztki dymów ze spalonych ognisk włóczyły się po

lesie. Żółte liście zabarwiły się po brzegach czerwienią i złotem.

- O młoda duszo raduj się - po cichu wyszeptwała moja towarzyszka łowów i popatrzyła podejrzliwie na mnie. - Ta strofa pochodzi ze znanej piosenki - szybko dodała.

A Północny Grzbiet milczał, czasami tylko gdzieś bardzo daleko hukała sowa. Zmrok gęstniał coraz bardziej. Nad Komarnem jęły się rozżarzać pierwsze gwiazdy i rąb księżyca wysunął się znad Barańca.

Z głębi zrębu dało się usłyszeć ciche pomruki, tępy kaszel i chrząkania. Na łąkę wychodziła chmara jeleni. Naliczyłem ich ze dwanaście sztuk. Grażyna była zachwycona, trzęsła się jak w ekstazie.

Naraz powiedziała:

- Pocałuj mnie. Zobacz jak księżyc na nas dziwnie patrzy.

Muszę przyznać, że nigdy tu tyle jeleni nie widziałem i uwierzyłem, że magiczne miejsce jeszcze raz mnie wysłuchało. Odkryłem byka, który dawał popis swego głosu blisko naszej ambony. Jego potężny, zachrypnięty głos obwieszczał niezadowolenie z kręcącego się na ściernisku rywala.

Oboje z przejęciem oglądaliśmy te frapujące sceny. Naraz jakieś wielkie ptaszysko z myszą w dziobie wpadło w nasze okno i siadło na parapecie. Grażyna się osunęła na ławkę. Nie wiedziałem co robić. Wielka, przestraszona sowa jeszcze z większym szumem skrzydeł wystartowała i odleciała. Na oknie pozostała pokrwawiona mysz. Krzyk Grażyny sprawił, że łąka przed nami tej nocy opustoszała całkowicie!

Kiedy wracaliśmy dziewczyna przeproszała za głośnie zachowanie. Stwierdziła, że do ręki może wziąć żabę, ale myszy się brzydzi!

Co miałem powiedzieć? Wybaczyłem. A pocałunek w tym magicznym miejscu zapamiętałem na zawsze!

35. Barany z Piekielnej Doliny

Przełęcz Żarska jest dobrze widoczna spod Chojnika. Jesienią lubiłem tu przesiadywać na półce skalnej i podglądać przyrodę. Naprzeciw miałem wyjątkowo piękny krajobraz, dostarczający sporą dawkę adrenaliny ze względu na spadziste zbocza skalne i barwne o tej porze roku lasy - złotem i miedzią zabarwione buki, żółte brzoźki i czarne jak otchłań pod światło widziane bory świerkowe.

Często białe chmury zanurzały w sobie skały na szczycie Żaru, a spływając na dno przełęczy nagle gwałtownie rwały pod górę, by nie zderzyć się z kamiennym zboczem Chojnika. Niekiedy razem z nimi spływał sokół, nawet nie ruszając skrzydłami. Umiał tak trwać przez wiele minut wypatrując zdobyczy, by potem zniemacka zaatakować i najeść się do syta. W Piekielnej Dolinie mieszka sporo drobnego ptactwa, żyją też jaszczurki, żmijki, a w szczelinach skalnych nietoperze i sowy.

Czasem dość niespodziewanie gromko załopotał gałęziami głuszcę, wypłynął nad wolną przestrzeń i leciał ku przeciwległej ścianie świerkowych gęstw.

Przynosiłem zawsze ze sobą kamerę. Boczne światło słońca, płynące w dolinę, było miękkie, przyjemne, rozmyte przez opary wydobywające się ze skalnych szczelin. Stąd trudno było o nieciekawe fotografie tym bardziej, że wokół panowała o tej porze roku orgia barw, którymi nie sposób było się nie zachwycać.

Zanim jednak pierwszy raz usiadłem w Piekielnej Dolinie z obiektywem gotowym do strzału, to miejsce zdradził mi doświadczony leśnik, pracownik Parku Karkonoskiego. Kiedyś opowiedział mi krótką historyjkę o baranie górskim, czyli muflonie, który żyje na stromych zboczach, a raczej głazowiskach Przełęczy Żarskiej. Był tak odważny, że przy mniejszym natężeniu ruchu turystycznego spacerował sobie po Piekielnej Dolinie nawet w ciągu dnia, prowadząc ze sobą po kilka owiec. Już wiele osób miało możliwość go zobaczyć i podziwiać. Był wielką atrakcją dla tych, co oglądali po raz pierwszy grubonosego tryka, o zakręconych muszlach i z białym siodłem na grzbiecie.

Mimo, że muflonów żyło tu więcej, to umiały się sprytnie maskować przed ciekawskim wzrokiem ludzi, a ten baran był wyjątkiem. Pokazywał się przybyšom na krótko, ale za to w całej okazałości. Kiedy z lekkością i gracją jego kierdel wspinał się na stromy stok, budził zachwyt i podziw wszystkich.

Leśniczy Szelał pokazał mi ścieżkę wydeptaną przez muflony w świerkowej dragowinie na górkim stoku. Wystające z traw głazy swymi pokrytymi mchem garbami do złudzenia przypominały grzbiety muflonów.

Na moją kryjówkę wybrałem wystającą wysoko skałę. Najpierw do niej piałem się prawie prostopadle pod górę, forsowałem skalne osypisko, potem z wielkim wysiłkiem wdrapałem się na szczyt. Obolałymi rękoma zamontowałem statyw i teleobiektyw, pomierzyłem światło i zamarłem w bezruchu.

Szczyt osłaniała świerszczyna. Dobrze mnie maskowała, miałem wgląd na stromo spadające zbocze, gdzie spodziewałem się grubonosego tryka. Dzisiaj przybyłem tu wcześniej niż zwykle, by nie zakłócać spokoju, kiedy nastanie jasny dzień.

W Piekielnej Dolinie panowała zupełna cisza, nawet najmniejszy wiaterek nie kołysał trawami. Pierwszy na zboczu pokazał się rudy lis i baraszkował wśród skałek, zaglądając z ciekawością niemal pod każdą z nich. Spodziewał się tam sytego

kąska na śniadanie.

Naraz moje serce zabiło jak dzwon. Od największej ze skał oderwał się baran i stanął jak posąg na cokole. Miał piękny kożuch karbowane, skręcone w niedokończoną spiralę ślimy. Ten widok był dla mnie całkowitym zaskoczeniem, dlatego chwyciłem najpierw za lornetkę i potwierdziłem to spotkanie w jej szklach. Kiedy podniosłem kamerę, muflona już nie było. Jednak nie żałowałem tego widoku i tak bym nie zdążył zarejestrować tej sceny na filmie.



Jego sylwetka i dojrzałość wskazywały na rzadki okaz, a to co nosił na łbie chciałbym mieć w pokoju na ścianie! Ach gdybym był myśliwym i spotkał się z nim pięćdziesiąt lat temu, to nie podarowałbym mu tej głowy.

Znów jak przedtem nastała cisza. Niepotrzebnie teleobiektyw nakierowałem na skałę, skąd wypłoszyłem tryka. Przepadł jak kamień w wodę. Mimo otwartej przestrzeni już go więcej nie spotkałem.

Jeszcze przez chwilę miałem przed oczami tę mydlaną operę, gdy zobaczyłem z samego dna wąwozu spokojnie pod górę ciągnące owce. Osobno na końcu szedł tryk, poganiając jedną z nich. Ku memu zaskoczeniu muflony maszerowały spokojnie i się

zupełnie nie bały. Na pewno słyszały szelest mej kamery ale na niego nie reagowały. Odłożyłem na chwilę aparat i spokojnie czekałem na zbliżenie się ich do mej czatowni. Byłem przekonany, że nie zmienią wydeptanej przez siebie ścieżki.

Nagle w niewielkiej odległości ode mnie zatrzymał je błysk mego obiektywu. Chwyciłem w wizjer najpierw bliższe owce i jak opętany przyciskałem spust kamery. Potem obraz przeniósłem na tryka, który zadziwiony przyglądał mi się przez dłuższy czas.

Przypomniałem sobie jak leśnik opowiadał, że na strzał trzeba się decydować niezwłocznie, szybko i trafiać poprawnie, bo muflony są ostrożne, bardziej niż jelenie i niedźwiedzie.

Moje zachowanie było dla baranów zbyt denerwujące. Wystarczyła chwila nieuwagi i znów, zбочe przede mną stało puste i tylko garbate, omszałe skałki przypominały teraz kierdel górskich baranów.

36. Diabelski krater

Dawno temu pomiędzy szczytami Skowrona i Popielina nad Bobrem spadł sporej wielkości meteoryt. Opowiadał mi o tym leśniczy Dziadowicz:

- Wiem to z zwierzęcej księgi, która mi wpadła do rąk zaraz po wojnie, kiedy obejmowałem leśnicówkę. – mówił.

Była chwila przerwy pomiędzy miotami, a my siedząc przy ognisku z zaciekawieniem i niedowierzaniem słuchaliśmy zwierzeń leśnika. Mieliśmy właśnie brać miot, w którym to znajdował się ów diabelski krater po meteorycie. Kiedy bliżej popatrzyłem się na krajobraz, który teraz miałem przed sobą, jakoś wszystko się zgadzało z jego słowami i było prawdopodobne.

Przed mną ponad sto metrów biegło wzniesienie pod górę i kończyło się obwarzankiem z ziemi i skał. Obrosnięte gęsto jeżyną i karłowatymi dębami strzegło dostępu do wnętrza. U dołu rżyska srebrzyły się w jesiennych szronach, a spłaszczone zające rwały pod górę jakby tam szukały ocalenia przed strzelbami myśliwych.

Wszyscy ten szczyt omijali - albo z lenistwa, nie chcąc męczyć się dodatkowo, albo też nie przewidywali tam spotkania ze zwierzyną. Psy, które brały udział w pędzeniu tego miotu, postępowały podobnie i omijały koronę wzniesienia.

Było to dla mnie dziwne. Z trudem wdrapałem się na górę. Z ciekawości chciałem zobaczyć wnętrze krateru. Panował tam półmrok i tylko na samym dnie połyskiwało małe lustro, źródlanej wody, gdzie, według słów leśniczego, miał

zamieszkiwać diabelski, krnąbrny zwierz.

O zejściu do krateru nie mogło być mowy. Było stromo i niebezpiecznie. Zrobię to innym razem - przyrzekłem sobie, przedtem jednak jeszcze porozmawiam z leśniczym

Później nastały dni słotne i dżdżyste. Kiedy spotkałem Dziadowicza z ciekawości zapytałem o ten krater. Popatrzył na mnie, trochę się zastanawiał i odrzekł:

- Lepiej daj pan temu spokój, albo popytaj się gospodarzy, którzy mają tam pola i pretensje do mnie za ciągle szkody w uprawach! W Grabarowie mówią, że mieszka tam diabelski, krnąbrny zwierz. Stamtąd nie wracają psy i krowy. Na tę piekielną górę nie chcą wchodzić. Ziemniaków nie sadzą, bo wszystkie byłyby wyorane przez dziki. Mówią, że zegarki się zatrzymują. Ktoś mi nawet opowiadał, że wskazówki kompasu obracają się jak by były podłączone do silnika.

Myślę, że w tym kraterze musi tkwić magnetyczny meteoryt i on to chyba powoduje te zjawiska. Niektórzy nawet chcą dać wiarę, że on zmienia tor lotu pocisku, bo tu jeszcze nikt dzika nie strzelił, a przecież niemałe lasy rosną wokół. Jak sobie przypominam, pisano, że w średniowieczu mieszkał tam brunatny niedźwiedź. Ale czy to prawda?

Kości tych zwierząt jednak wiele tu znaleziono.

Był jesienny, chłodny ranek. Mgły wisiały nad łąkami. Od samego świtu pilnowałem ścierniska obok krateru. Nic się ciekawego nie działo, choć gryzoni wokół było pełno, bo pustułka kilkakrotnie obniżała lot i spadała za zdobyczą na ziemię.

Pomyślałem sobie, że zdziesiątkowano tu zwierzynę, a teraz usprawiedliwia się jej brak meteorem i zakłóceniami równowagi przyrody. Przecież nie tak daleko, nad potokiem Bełkotki, saren żyje ponad pięćdziesiąt, a tu ani jednej.

Niespodziewanie pociemniało. Horyzont nakryła czarna chmura, a łąki przed kraterem zatopiły mgły. Taka szarówka trwała z pół godziny. Potem wydmuchał ją wiatr. Na ściernisku ukazał mi się wielki, czarny jak smoła odynec. Był niedaleko

mego stanowiska. Wiatr miałem od niego, odstrzął w kieszeni, byłem więc spokojny o jego szablę.



Powoli rozstawiłem podpórkę, wcześniej obejrzałem wszystko w lornetce. Kniejówkę stabilnie oparłem o siodelko, krzyż lunety naprowadziłem precyzyjnie na komorę i dotknąłem spustu. Potworny huk uderzył o krater i powrócił do mnie ze wzmoczoną siłą. Dzik widać jego nie usłyszał i nic nie zauważył. Przesuwał się spokojnie dalej po rżysku do przodu. Zdenerwowany wprowadziłem do komory następny nabój i powtórzyłem. Pudło! Odynieć zwyczajnie dalej ze mnie drwił!

Przecież nikt mi nie uwierzy, żeby na pięćdziesiąt metrów nie trafić w taką szafę? Nerwowo obmacałem wszystkie kieszenie i jak na złość nie znalazłem nowego pocisku. Wielka szkoda!

Ostatkiem zdrowych zmysłów chwyciłem za kamerę, szarpiąc się z plecakiem. Wreszcie była wolna! Włączyłem automat. Podświadomie czułem, że dzika dawno już na ściernisku nie ma!

Jednak był! Szedł wolno w moim kierunku, prosto w zalegające dalej mgły. Chwyciłem go w celownik. Był wielki! Przycisnąłem spust na serię trzech klatek filmu i ponowiłem zbliżenie

Naraz dzik jak rażony kulą ekspansywną rzucił się do przodu! Przebiegł obok mego stanowiska zaledwie o trzydzieści kroków i zginął we mgle!

Sprawdzać czy jest farba nie musiałem, bo to okaże się dopiero po wywołaniu filmu.

Wracalem do domu właściwie zadowolony z udanego polowania. Jednak jeżeli okaże się, że to wszystko było tylko halucynacją, to wstyd będzie przed kolegami niemały!

Na pewno strzelałem do odyńca. Świadczą o tym dwie puste łuski, a teraz to już nieważne czy z kuli, czy też z kamery! Niecierpliwiłem się bardzo!

Naraz wielka radość! Zdjęcia są ostre! Widać na nich resztki zalegającej mgły pod kraterem, a na ich tle biegnącego diabelskiego i krnąbrnego odyńca, który się kulom nie kłaniał. Jednak oszukać kamery nie umiał!

Myśl o spudłowaniu dzika prześladowe mnie do dzisiaj. Coś z tego magnetycznego meteorytu musiało tu być naprawdę, bo gdyby nie to jego medalowy oręż wisiałby u mnie na pewno na ścianie!



**W ŚNIEGACH I
FENOWYCH HURAGANACH**

37. Rankiem po ponowie

Od samego ranka znów sypało śniegiem. Wielkie puszyste płatki tej nocy pokryły od nowa białym całunem pola i lasy. Zmieniły brudny dotąd krajobraz wokół leśniczówki w bajkowy, jakby utkany z białej cukrowej waty. Gałązki świerków i rozłożyste konary buków mimo swej potęgi, obarczone teraz dodatkowym ciężarem, ugięły się wstydliwie ku ziemi.

Nikomu nawet nie przyszłoby do głowy by wchodzić do wnętrza lasu, tak więc wybór terenu polowania pozostawał jeden. Musimy zaryzykować na polu, by nie wracać do domów, a co do tego już wszyscy byli zgodni. Zostajemy – zadecydowano. Polowanie na szaraki było dobrym i jedynym rozwiązaniem. Pierwsze tego sezonu musiało się udać, choć ci co przywieźli tylko sztucery protestowali, ale kiedy popatrzyli na zaśnieżony las i naganke, z opuszczonymi głowami stwierdzali, że wyboru nie było!

Po odprawie kawalkada samochodów stanęła na jedynym odśnieżonym kawałku drogi przy Dąbrowicy. Śnieg każdego niemal roku zalegał tu grubą warstwą i sypał więcej niż gdzie indziej. Jego biały puch zwiewał też wiatr z Jeleniej Skały i niósł po zboczach oraz na pola, pogrubiając jego warstwę.

- Wziąć z górą dwa mioty – mówił łowczy - Naganka dłużej nie będzie chciała brnąć w tym puchu.

Na chwilę nawet zaświeciło słońce i rozwiało wszelkie wątpliwości. Poprawiły się humory, przestali protestować ci, którzy może po raz pierwszy musieli polować na szaraka ze sztucerem.

Miano rozpocząć miot od samego Bobru, wziąć Górę Koziniec i zejść na bagienne łąki, teraz ukryte pod grubym kożuchem śniegu.

Był tu od lat dobry, zajęczy teren. Postarał się o to PGR w Januszewicach, uprawiając dużo roślin okopowych, bobu i kapusty. Mimo śnieżnej aury i zimnego wiatru spodziewano się dobrego rozkładu kotów. Ustalono nawet, że po jednym gachu przypadnie na strzelbę, obojętnie czy śrutową, czy kulową. Tą decyzją napięcie całkowicie rozładowano i myśliwi stanęli zdyscyplinowanie na wyznaczonych stanowiskach.

Przez pierwsze dwie godziny nic się nie działo, jedynie zdążyliśmy się okopać w sypkim puchu. Niektórzy nawet przyodziali się w białe kombinezony i zupełnie znikli w krajobrazie. Teren przed linią był pofałdowany, toteż ukazujące się na moment sarny ponownie znikwały. Moje stanowisko przypadło na czystym polu, obok zaszyanego strumyka. Dalej stała wierzba, a pod nią następna strzelba.

Razem z terkotaniem kołatek pokazało się na wzniesieniu kilka szaraków. Dwa z nich skierowały się prosto na mnie i Jurka - sąsiada z lewa, którego lufa załadowana były nabojami sztucerowymi. Widząc nasze niezdecydowanie zmieniły kierunek na sąsiada pod wierzbą i oba tam na śniegu pozostały.

Miałem tylko tą przyjemność, że mogłem je potem sfotografować.

Dalej oczekiwałem na swój szczęśliwy los. Razem z sąsiadem z zaciekawieniem przyglądaliśmy się popisom szaraków i myśliwych, bo kilka z nich niespodziewanie minęło linię i bezpiecznie opuściło pole. Mimo gęstej palby jakoś zającom się udawało. W duchu obaj na pewno żalowaliśmy, że tego dnia byliśmy bez broni śrutowej, bo kto by się spodziewał polować niezgodnie z planem. A ten przewidywał polowanie na dziki!

Znów minęło sporo czasu. Naganiacze brali już ostatnie wzniesienie, kiedy przed linią wypadł odyniec. Nie zastanawiając się wiele rwał zajęczym tropem, jakby przeczuwając, że tylko

tędy może uratować swoją skórę. Stał w bezpiecznej odległości i długo tabakierą wodził pod wiatr. Chyba chciał wyczuć w której strzelbie jest śrut, a w której śmiertelne kule.

Ten jego spokój zachwylił wszystkich co na niego czekali. Trwało to dość długo, bo na strzał z ręki było za daleko. Ukryci czekaliśmy na swoje szczęście, które mogło się zdarzyć w biały dzień.

Dzik chyba dobrze rozpoznał zasadzkę i bezbłędnie swym siódmym zmysłem, nie znanym myśliwym, ocenił gdzie kula, a gdzie śrut i pewna ręka. Potem jak burza ruszył na nemroda ze śrutowym nabojem, załadowanym do obu luf jego dwunastki.

Ten nieszczęśnik nawet się nie spodziewał takiej szarży. Odpalił z obu luf, ale w niebo, dla ratowania swojej skóry i odstraszenia napastnika. Odskokzył w bok, przy tym wyrzucił się, bo omal odynieć nie wpadł na niego.

Za linią naraz rozległa się kanonada, ale przebiegły odynieć, otoczony białym, śnieżnym puchem, rwał do przodu bezpiecznie, dopóki nie zginął w kępie drzew.

Po skończonym miocie pechowemu strzelcowi trudno było cokolwiek mówić. Stał przerażony i mokry, mimo kilkustopniowego mrozu. Humor dopiero odzyskał, kiedy łowczy wręczył mu obiecane szaraka i poklepał po ramieniu, dodając, że był bohaterem dzisiejszego polowania!

38. Złom

Pod koniec lat siedemdziesiątych otrzymałem telefon z poleceniem stawienia się w sekretariacie wówczas wysokiego urzędu, gdzie miał na mnie czekać kierowca czarnej limuzyny.

W tym czasie zima w góry zawitała na dobre, jednak tego dnia wyjątkowo czuć było podmuchy cieplejszego wiatru, który zwiastował odwilż.

Miałem niezły szkopał do rozwiązania. Komu tak było pilno i dlaczego mnie poproszono? Jedyнным jasnym punktem w tej sprawie było to, że miałem zabrać ze sobą aparat i ubrać się ciepło, gdyż czekał mnie wyjazd do lasu. Na miejscu dowiedziałem się, że redakcja miejscowej gazety poleciła mnie do zrobienia myśliwskiego zdjęcia w górach.

Niemal od zaraz z tej propozycji się ucieszyłem. Usiadłem na tylnym siedzeniu wołgi, wciśnięty do środka przez dwóch grubasów i z piskiem opon ruszyliśmy.

Droga była zaśnieżona. Mimo takiego obciążenia rzucało nieźnośnie samochodem. Wreszcie zjechaliśmy w las, a raczej śnieżny tunel z obwisłymi gałęziami drzew, które smagały po szybie auto, zwalając przy tym nawisy śniegu. Skutecznie kierowcy zasłaniały widok.

Zupełnie nie wiedziałem gdzie byłem, tylko czerwona tablica stojąca przed drzewem informowała o strefie nadgranicznej. Zanim wysiadłem usłyszałem słowa:

- gdzie macie tego fotografa?

Do auta podeszło dwóch myśliwych. Jeden z nich miał jeszcze ręce ubrudzone farbą. Uśmiechali się, a z ich twarzy

promieniowało zdrowie i zadowolenie.

- Zrobicie zdjęcia myśliwskie muflona!

Odpowiedziałem, że nie widzę problemu! Od razu ruszyliśmy pod górę, a to w tym kopnym śniegu wcale nie było proste. Mimo, że byłem ubrany w traperskie buty, to i tak na lodem pokrytych skałkach musiałem się trzymać rękoma, aby nie zjechać w dół. Kiedy stanąłem przed muflonem byłem mokry i chyba również rumiany na twarzy, tak jak i moi gospodarze.

Wypadało odpocząć, aby nie zepsuć zdjęć. Byliśmy prawie na szczycie jakiegoś wzniesienia porośłego sosenkami, które huragan w większości połamał, a nawet powyrywał z korzeniami.

Słońca się schowało, ale na tej wysokości było zupełnie jasno. Najpierw zrobiłem kilka zdjęć górskiego barana. Potem ułożono na nim sztucer. Sam też za nim stanąłem i poprosiłem o przyciśnięcie migawki. Ta fotografia okazała się jednak niedoświetlona.

Byłem pełen wrażeń i zachwytu, bo po raz pierwszy widziałem tryka tak blisko - jego karbowane, skręcone ślimy i piękny kozuch z jasnym siodłem na grzbiecie. Tego wspaniałego muflona, symbol Sudetów, mam do dzisiejszego dnia w pamięci.

W latach dziewięćdziesiątych wysłałem to zdjęcie do Wydawnictwa „Świat”. Znalazło się w książce „Łowiectwo” T. Pasławskiego, gdzie podpisano je krótko: „Złom”.

*

Muflony jesienią podchodziłem już wielokrotnie, ale z nienajlepszym skutkiem. Spotkałem się nawet z takim zjawiskiem, że nie uciekały, ale skutecznie chowały za pnie drzew, oddalonych ode mnie zaledwie o kilkanaście metrów, uniemożliwiając zupełnie wykonanie ich zdjęć. Od strażnika łowieckiego dowiedziałem się, że zimą to zadanie jest o wiele



Tryk jak rażony kulą, wysoko podskoczył i popędził co sił. (s. 202)



Po raz pierwszy widziałem tryka z bliska. (s. 200)

łatwiej wykonać, bo zwierzęta schodzą ze szczytów w poszukiwaniu jedzenia. Szczególnie intensywnie żerują w dni cieplejsze i przy odwilży.

Taki właśnie dzień teraz się nadarzył. Otrzymałem informację o pokazaniu się muflonów na Pogórzu Wojcieszkim.

W lesie panowała dostojna cisza. Szedłem w towarzystwie strażnika, w zaspach śniegu, do jedynej tu stojącej ambony po północnej stronie góry. Ogrzane w słońcu odrywały się od gałęzi wielkie czapy śniegu. Rozbijały się z hałasem o zbocze i srebrzystym pyłem kurzyły stok.

Ambonę, w kształcie klatki, zawieszono na wysokiej brzozie. Nie służyła ona do celów myśliwskich, a tylko do obserwacji dziko żyjących zwierząt. Przed nią śladów było niewiele. Las był tu inny, bardziej surowy. Na stromych zboczach spod śniegu wystawały czarne skały, ciemne mchy i porosty, tworząc chaos w tej mozaice bieli i czerni. Tam muflony wtapiały się w krajobraz i były zupełnie niewidoczne.

Jeszcze przed godziną, kiedy opuszczałem leśniczówkę w Lipie, las obok wydawał się bajkowy, srebrzysty. Teraz wzgórze, przed którym wypadło mi siedzieć parę godzin, oślepiało mnie swą bielą i zamazywało obraz.

Za mną szumiał potok Lipnicy dalej stały ruiny średniowiecznej szubienicy, a przede mną była wspaniała góra otoczona Małą Nysą.

Przygotowałem kamerę i teleobiektyw do szybkiego strzału i zająłem wygodną pozycję na ławeczce.

Kiedy na zaśnieżonym stoku przez godzinę nic się nie działo, pokrywką obiektywu kilkakrotnie poskrobałem o podpórę mej czatowni. Znów minęło sporo czasu. Teraz zapukałem jak dzieciół w belkę. Później na skarpie odkryłem w szklach lornetki poruszające się białe plamy pomiędzy drzewami. Na pewno to były muflony, jednak zginęły mi z oczu. Zacząłem już wątpić, że uda mi się wykonać jakieś ciekawe fotografie tych ostrożnych

zwierząt.

Oparłem się o szczeble i snułem już plany na następny dzień. Jednocześnie lustrowałem stale zbocze. Ręka już mnie bolała od ciągłego podnoszenia lornetki. Naraz bez niej zauważyłem, że jedna ze skałek się rozdziwiła. Kiedy chwyciłem kamerę w jej obiektywie znalazł się muflon o zakręconych muszlach. Przycisnąłem kilka razy spust migawki. Tryk jak rażony kulą wysoko podskoczył i pędził co sił do następnej skały. Tam dołączyły do niego owce. Naliczyłem ich trzy. Popychane przez barana wybiegły na śnieg i rwały szybko pod górę.

Mój nikon rozgrzał się do czerwoności. Nawet nie wiem czy zdążył pomierzyć oświetlenie i odległość. Trzask migawki jeszcze bardziej wzmógł nerwowość zwierząt i kierdel tylko na moment, na sekundę zatrzymał się przed szczytem.

Zgłupiałem zupełnie. Za bardzo chciałem mieć wszystkie sceny ze zbocza. Szarpałem się z kamerą niepotrzebnie, bo już dawno film w niej się skończył. A więc tych ostatnich, chyba najcenniejszych ujęć nie będę miał. Muflony już dawno zniknęły z moich oczu, chowając się za szczytem.

Tak jak przedtem kręciło mi się w głowie, kiedy powoli schodziłem po drabinie z ambony. Ze stoku wypłoszyłem jeszcze następny kierdel muflonów, który ruszył pod górę. Nie patrzyłem, bo nie chciałem się denerwować, jak spokojnie defilowały przede mną.

Kiedy nad lasem zapaliły się pierwsze gwiazdy czas było wracać! Byłem zadowolony, bo w sercu miałem nadzieję, że wiele z tych strzałów było trafnych i udanych!

39. Nie tylko wigilijne polowanie

Noc, cudowna śnieżna noc, zwiastująca Wigilię Bożego Narodzenia, była pierwszą grudniową, która otuliła lasy i łąki w śnieżną, białą szatę.

Tego dnia do naszego koła przyjechało na polowanie o wiele mniej myśliwych niż tradycyjnie Zresztą tak bywało każdego roku. Był to dla wielu z nich dzień rodzinny, poświęcony przygotowaniom do wieczery, świąt, ubieraniu choinki. Była jednak niewielka, choć stała grupka, która każdego roku w tym dniu brała udział w opłatkowym polowaniu. Dawniej bywały to wyprawy na szaraki, a kiedy zaczęto je ochraniać, już tradycyjnie od wielu lat opolowuje się jeden lub dwa pewne mioty na dziki. Łowczy w tym dniu proponował młodniki na północnym zboczu Gór Kaczawskich, zwanym Leśną Amboną.

Jeszcze z samego rana wielkie płatki śniegu powoli opadały na ziemię, tworząc grubą warstwę świeżego puchu. Dzień wstawał bezwietrzny, dostojny i uroczysty. Dopiero później na niebie ukazały się pierwsze chmurki, przez które sączyły delikatne promienie słoneczne.

Samochody ustawiliśmy przy drodze do Radzyna. Było nas niewielu, dyscyplina przykładowa. Bez szmerów i dyskusji wykonywano wszystkie polecenia łowczego. Chcieliśmy wziąć wcześniej otropione dwie świerkowe szczotki, gdzie tej nocy miał zalegać duży odyniec.

Polowanie mieliśmy zakończyć wcześniej niż zwykle, bo gdzieś około koła czternastej, aby potem złożyć sobie życzenia i podzielić się opłatkiem. Łowczy poprosił mnie, abym zostawił

kamerę, bo nie będzie czasu na fotografowanie. Dodał, że wszystko musi odbyć się sprawnie, abyśmy mogli zdążyć do domów przed pierwszą gwiazdką.

Emocje myśliwskie rozgorzały na wieść o wielkim odyńcu w zasypanym białym puchem młodniku. Jak najszybciej ruszyliśmy na linię w kompletnej ciszy i zajęliśmy same dobre miejsca. Wiedziałem, że leśnictwo Lubiechowa słynie z obfitości czarnego zwierza, co jeszcze bardziej podgrzewało i dodawało adrenaliny.

Ten miot gwarantował pewny sukces Już strzały słychać było wśród ośnieżonych choinek, gdy na linię wyjechał rudy lisiura. Chytrze jednak wywinał parę nagłych zakrętów i sprytnie nie złożył daniny swego futra, mimo huku i wysiłków strzelców.

Dochodziło południe. Niebo się rozchmurzyło, słońce stanęło nad górami i szybko topiło świeży śnieg.

Nagle poczułem, że krew uderza mi do głowy! Odyniec pędzi wprost na mnie! Podnoszę kniejówkę i już mam przycisnąć spust, gdy dzik roluje jak zając. W śnieżnej kurzawie i potwornym huku ze sztucera mego sąsiada wypadł na łąkę i tam pozostał. Jeszcze przez chwilę bronił się przed psami, ale to już był jego koniec.

Moja rola się skończyła. Pomimo, że dzik szedł wprost na mnie, nie dano mi szansy na spotkanie z nim. Tak jego widokiem byłem pochłonięty, że w ostatniej chwili wyskoczył pod moje nogi lis i uszedł cały.

Las już zdążył zszarzeć, zrzucił z siebie ciężkie czapy świeżego puchu. Śnieg szybko się rozstępował, odkrywał łąki i drogi, za to dotąd wyschłe strumienie napełniły się wodą, spływającą gwałtownie w dół.

Wieść o strzelonym odyńcu rozeszła się lotem błyskawicy. Ktoś na lufach dubeltówki odegrał koniec polowania. Na polanę przyciągnięto wielkiego odyńca, chyba ponad dwieście funtów wagi.

Młody szczęściarz ukłęknał przed nim, a najstarszy

wiekiem myśliwy wręczył mu złom i szczerze pomalował farbą jego twarz. Na czarnym jak smoła kożuchu dzika ułożono osiem odłamków opłatka, z czego jeden powędrował razem z gałązką świerku do pyska dzika.

Na pewno to polowanie by się tym uroczystym akcentem i życzeniami zakończyło, gdyby nie wydarzenia, które nastąpiły potem i przedłużyły je o następne wiele godzin!

*

Przy otwieraniu samochodu okazało się, że brakuje w nim pozostawionej kamery. Mój szok był zrozumiały, a koledzy postanowili mi pomóc i nie zostawić mnie z tym problemem. Szybko zdecydowano, że przy świeżych tropach na śniegu i piaskach będzie można ustalić sprawcę tej zuchwałej kradzieży.

Śladów włamania nie było żadnych, poza odcisniętymi obcymi butami na śniegu. Szybko podzielono się na dwie grupy. Jedna z psami weszła na tropy w las, druga samochodami jechała w kierunku domniemanego przesuwania się sprawcy.

W lesie okazało się, że trop był zamazywany ciągnioną choinką. Jednak bez trudu odkryto, że prowadził do oddalonej o ponad kilometr wsi. Na drodze spotkały się obie grupy, bo roztopiony śnieg i płynąca wartko woda zamazały doszczętnie resztki śladów. Nie było zatem dalej co szukać!

Zdecydowaliśmy się na skontaktowanie z sołtysem. Ten przez chwilę się zastanawiał, a widząc na swoim podwórzu tylu ubranych w moro myśliwych zaprosił ich do wnętrza izby.

Znając życie wiedziałem, że kamera przepadła raz na zawsze, a w niej film ze scenami z uroczystości Hubertowskich i zdjęcia jeleni zrobione z ambony. Teraz przypominałem sobie ile tam jeszcze różnych innych fragmentów przyrody bym się mógł doliczyć.

Koledzy naraz stali się jakby profesjonalistami. Zadawali zwięzłe pytania sołtysowi i oczekiwali takich samych odpowiedzi.

Gospodarz słuchał ich w skupieniu i tylko zapytał:

- Czy zamek w drzwiach samochodu wyrwano, czy też otwarto kluczem? W naszej wiosce jest dwoje takich artystów, do których ta kradzież pasuje. Pozwólcie, że pojedę do nich. Jeden jest mechanikiem w warsztacie samochodowym, a drugi nieźle sobie radzi z otwieraniem zamków i to bez kluczy.

W gospodarstwie mechanika samochodowego paliły się już lampki na choince ustawionej przed domem. Oczekiwano raczej św. Mikołaja, a nie sołtysa i myśliwych. Pozostał jeszcze ten od zamków! Kiedy i tu stanęliśmy przy płocie gospodarstwa, już z daleka było słyszeć płacz i lament staruszki i słowa, które wryły mi się w pamięć, że „przy Wigilii nie wypada kraść”. Rzuciła się przed sołtysem na kolana i przeproszała nas gorąco, zalana łzami za niegodne czyny jej wnuka Franka. Twierdziła, że odziedziczył te praktyki po swoim dziadku.

Kiedy wreszcie doprowadzono mocno wystraszonego młodzieńca na chwiejących się nogach, poleciała mu, aby razem z sołtysem poszedł na strych i przyniósł kamerę.

Sołtys wiał ją zza belki na poddaszu, ze wskazanego miejsca przez Franka i uroczyście przyniósł, wzbudzając podziw myśliwych. Przekazanie jej odbyło się we wnętrzu izby przy nakrytym do Wigilii stole, z talerzami pachnącej zupy grzybowej i rozłożonym opłatkiem.

To co wówczas sołtys miał do powiedzenia gospodarzom i ich wnukowi już nie słyszałem, tak bardzo cieszyłem się z odzyskanej kamery. To był w owym roku mój najwspanialszy podarunek pod choinkę, wprowadzić w obcy dom, ale prawdziwą, pachnącą górskim lasem.

Do dzisiaj noszę w pamięci ten dzień i widok mokrego ze strachu Franka oraz jego babci klęczącej przed sołtysem, błagającej o przebaczenie obok zapalanej choinki.

Sołtys sporządził notatkę służbową. Po latach dowiedziałem się, że powiadomiono szkołę o tym wydarzeniu i że potem Franek był jej wzorowym uczniem. Przez lata nie miano z

nim najmniejszych kłopotów. W nadleśnictwie każdego roku brał udział w sadzeniu drzewek, a w czasie polowań chętnie chodził do naganki.



40. *Gamrat z Urwistej*

Podobno ta dzika bestia warta jest strzału - powiedział leśniczy Bała z Janochowa. - Chyba nie ma drugiego takiego gamrata, któryby byłby tak znienawidzony przez tutejszych gospodarzy.

Żył na Pogórzu Kaczawskim, na południowym grzbiecie gór. Tam z wielkim trudem rolnicy po wojnie wyrwali spomiędzy skał i wąwozów liche poletka pod uprawy, nie zadając sobie sprawy z tego, że roilo się tutaj od dzików.

Polowano na nie, lecz tego szkodliwego odyńca trudno było znaleźć. Przyczyn było wiele, przede wszystkim ciężki teren - żleby, skały, wysokie wzniesienia porośnięte ciernistymi jeżynami.

Dzik swą skórę ratował inteligencją i wrodzoną skłonnością do unikania człowieka.

Były takie rejony, gdzie z góry rezygnowano z polowania, bo czarny zwierz miał tam swoje tajne przesmyki i sprytnie uchodził. Myśliwi zaś podchodząc pod strome góry sapali ze zmęczenia, czym skutecznie ostrzegali mieszkające tam dzicze watahy. W czasie huczki widywano jednak kilka wielkich odyńców, wśród których mogła być ta dzika bestia.

Później jednego z olbrzymów strzelił Wojtek. Mieszkał parę dni w schronie na środku pola, czym przechytrzył czujność odyńca. Nie był to jednak gamrat.

O tym, że dziki niszczyły uprawy ziemniaków było wiadomo od dawna. Jednak kiedy pojawił się gamrat, tak nazwany przez leśniczego w czasie huczki, coraz więcej psów zaczęło donosić rany, a niektóre nawet ginęły.

Kajtek był pierwszym, któremu dzik rozpruł brzuch. Tylko cudem go uratowano. Odyniec szczególnie wyżywał się na nocnych stróżach przywiązanych do łańcucha. Nie pomagały dyżury myśliwych i gospodarzy. Wiele z nich straciło swoje czworonogi.

Byli wściekli na leśniczego i myśliwych. Żądali słonych odszkodowań za zniszczone uprawy.

Po krwawych szarżach na gospodarskie Burki zaprzestano pilnowania pól, a dzicze watahy dokonywały tam dzieła zniszczenia. Zarządzono wówczas walne polowania, ale ich wyniki były mizerne. Pozostało cierpliwie czekać na śnieg, na białą stopę.

W końcu bardziej niż zwykle sypnęło i mróz skuł ziemię. Ustalono wówczas, że gamrat, ze swym podobnej wielkości rówieśnikiem, mieszka na górze Urwistej, wzniesieniu ponad czterystumetrowym, którego szczyt spiętrzają kamienne bloki. Jest tam wiele jaskiń i załomów skalnych.

Okrażono tę górę i skrupulatnie naganka z psami weszła do miotu. Już na samym początku było wiadomo, że wśród dzików tam zalegających był gamrat, bo znaleziono Kubę z rozprutym brzuchem. Widok psa był okropny. Na pewno by nie przeżył, gdyby nie natychmiastowa pomoc weterynarza. Zamieszanie z Kubą pozwoliło ująć obu dzikom z miotu niepostrzeżenie.

Później nastąpiła sroga, mroźna zima. Ścieła lodem górskie potoki. Wschodni wiatr napędził zwały śniegu, który zalegał wśród skał i w lasach. Nawiany, biały puch napełnił wąwozy i skalne rozpadliny i o dziku już nawet trochę zapomniano.

Przez trzy dni śnieżycą nie ustawała. Szalała z dziką zawziętością. Gęsta kurzawa w krótki styczniowy dzień powodowała, że ciemności trwały prawie przez całą dobę. Kiedy wydawało się, że swymi rozmiarami spowoduje zatrzymanie na drogach wszelkiego ruchu, w nocy zerwał się potworny wicher, w Karkonoszach zwany wiosną wiatrem fenowym. Szalał do rana,

zrywał druty telegraficzne i pozbawił wiele domostw światła. Jednak największe spustoszenie poczynił w lasach. Wywrócił wiele drzew. Wiekowy świerk przygniótł dopiero co wybudowany paśnik, a ambonę na stoku Urwistej wyrwał wraz z podporami i rzucił na odległość wielu metrów. Wichura jednak swą mocą wydmuchała śnieg i osuszyła drogi, które stały się przejezdne.

Po wypiciu gorącej kawy i porządnym rozgrzaniu się ruszyliśmy na Południowy Grzbiet. Czerń styczniowej nocy rozświetlała duża tarcza księżyca. Na poboczach lśniły srebrne tafle lodu i srebrzyły się zastygłe potoki.

Położone wśród lasów zaśnieżone kopulaste pagórki były tej nocy oblegane przez zwierzynę. Wystraszone huraganem i hałasem łamanych drzew wszystko co tylko żyło w lesie wyszło teraz na otwarte pola i było dobrze widoczne w blasku księżyca. Przeważały sarny i zające, ale pod samym lasem baraszkowały lisy, a w cieniu stały jelenie.



W powrotnej drodze na polu z kukurydzianym ścierniskiem, na którym pozostawione badyle wystawały spod śniegu, Mietek odkrył wielkiego odyńca. Pod nosem wyksztusił, że to chyba gamrat. Bezszelestnie otworzył drzwi samochodu i

kryjąc się za skarpą drogi podszedł dzika na odległość strzału.

Panowała zupełna cisza. Północ już dawno minęła. Tylko czasami z głębi lasu słyszeć było łamanie drzew i szmery opadających nawisów śniegu.

Huk ze sztucera wydawał się niezbyt głośny.

Mietek wrócił uradowany i szczęśliwy.

- Słuchajcie co wam powiem - zatykało mu oddech w piersi, kiedy mówił. - Strzeliłem gamrata spod Urwistej!

- Nie wygłupiaj się - odrzekł Waldek. - Tutaj to niemożliwe!

- A jednak byłem przy nim. Leży olbrzym, chyba ze sto pięćdziesiąt kilogramów waży.

- Uwierzymy jak zobaczymy!

- Mietek zdjął kurtkę, jak by było to lato, wziął latarkę, nóż i poszedł do swego dzika. Czekaliśmy na świetlny sygnał, ale trwało to zbyt długo.

Z okrzykami złości i przekleństw Mietek wrócił po sztucer. Z przerażeniem dowiedzieliśmy się, że gamrat żyje, a z zachowania kolegi wyczuwaliśmy, że coś się stało. Waldek oświetlił jego mundur. O zgrozo, był pocięty i zakrwawiony!

Sprawa wydała nam się tak poważna, że szybko podjechaliśmy na pogotowie. Dwa cięcia dzika trzeba było Mietkowi zszyć, reszta to były niegroźne zadrapania.

Doczekaliśmy świtu. Kiedy wróciliśmy na kukurydziane pole, dzika już nie było. Pozostał po nim wryty w śniegu szeroki rów, prowadzący w stronę lasu. Tylko kilka perełek farby świadczyło, że gamrat został trafiony kulą.

Dzik ten prawdopodobnie potem przeniósł się na odległy Północny Grzbiet Gór Kaczawskich, bo odtąd gospodarze mieli z nim spokój.

Mały słownik języka łowieckiego

- ALBINOS** – zwierzę dotknięte bielactwem.
- AMBONA** – stanowisko myśliwskie zbudowane na palach lub na drzewie dla obserwacji i polowania.
- BARŁÓG** – legowisko dzika w czasie spoczynku w ciągu dnia.
- BADYL** – noga sarny lub jelenia.
- BAŻANT** – ptak łowny z rodziny kurowatych.
- BEZPIECZNIK** – mechanizm zabezpieczający broń przed oddaniem przypadkowego strzału.
- BIEGI** – nazwa nóg
- BORSUK** – ssak z rodziny łasicowatych, mieszka w norach, zimę spędza w półśnie.
- BÓR** – typ lasu iglastego.
- BUCHTOWISKO** – ziemia poryta przez dziki poszukujące żeru.
- BYK** – samiec: jelenia, żubra, daniela i łosia.
- BRENEKA** – kula używana do broni śrutowej.
- CEWKA** – noga sarny.
- CIETRZEW** – ptak wielkości kury z rodziny głuszcowatych, zamieszkuje wrzosowiska i torfowiska.
- CHŁYST** – młody jeleń, byk asystujący bykowi stadnemu, kibic, towarzysz przy chmarze w okresie rykowiska.
- CHMARA** – stado jeleni.
- CHYB** – gęsta, sztywna szczecina na karku dzika.
- CYRANKA** – dzika kaczka, pod ochroną od 1995r.
- CZAPLA SIWA** – łowny ptak, rybożerny.
- CIĄGI** – przeloty dzikich gęsi lub kaczek na żerowiska.
- CZATY** – myśliwy czatuje na zwierzynę (zwyszka, ambona itp.)
- CZOK** – zwężenie lufy w broni śrutowej.
- CZUSZYKANIE** – głos wydawany przez koguta cietrzewia w

czasie tokowania.

DARZ BÓR – myśliwskie pozdrowienie.

DĄBROWA – drzewostany dębowe zamieszkiwane przez dziki.

DIANA – rzymska bogini łowów.

DRAPIEŹNIK – zwierzę żywiące się innymi gatunkami zabijanymi przez siebie.

DROZDY – ptaki z rzędu wróblowatych - paszkioty i kwiczoły.

DRYLING – myśliwska broń łamana o dwóch lufach gładkich i jednej gwintowanej.

DUBLET – dwa oddane celne strzały, jeden po drugim do dwóch sztuk zwierzyny.

DWUNASTKA – broń myśliwska – śrutowa.

DWUNASTAK – jeleni noszący na głowie rogi o sześciu odnogach każdy.

DZIK – łowny krewniak świni domowej, żyjący w lasach.

EUSTACHY św. - dawny patron myśliwych.

FAJKI – kły dzika w górnej szczęcie, dolne nazywa się szablami

FOKSTERIER – rasa psów używanych do polowania na dziki.

FARBA – krew dziko żyjących zwierząt.

GACH – samiec zająca.

GAMRAT – odynieć w okresie huczki.

GĘBA – pysk zwierzyny płowej - kozicy, muflona oraz żubra.

GĘGAWA – największa z europejskich dzikich gęsi.

GLUSZEC – największy z europejskich kuraków leśnych, skrycie tokuje w Karkonoszach.

GON – goniące zwierzynę, szczekające psy.

GRUCHANIE – głos gołębi.

GRZYWACZ – największy z polskich dzikich gołębi.

GRZĘDA – stanowisko myśliwego na konarze drzewa.

HUBERT św. – ok. 656-727. patron łowiectwa i myśliwych od XV w.

HUCZKA – okres godowy dzików.

JARZĄBEK – łowny ptak leśny z rodziny głuszcowatych, często nazywany leśną kuropatką.

- JAŻWIEC** – inaczej borsuk.
- KAPITALNY** – rogacz lub jeleni o pięknych rogach.
- KIERDEL** – stado muflonów lub kozic.
- KNIAZIANIE** – głos trwogi wydawany przez zającą.
- KNIEJÓWKA** – broń myśliwska o jednej lufie kulowej i jednej śrutowej.
- KOMORA** – część ciała grubego zwierza, gdzie znajdują się płuca i serce.
- KOPYRA** – zając w mowie myśliwskiej i gwarowej.
- KOT** – ryś, żbik, zając.
- KWIAT** – ogon borsuka i zwierzyny płowej.
- LICÓWKA** – łania prowadząca stado jeleni.
- LOCHA** – samica dzika.
- LUSTERKO** – kolorowa plama na skrzydłach kaczek.
- MIOT** – powierzchnia lasu po której naganka pędzi zwierzynę.
- MUFLON** – dziko żyjący w Sudetach gatunek owcy.
- MYŁKUS** – zwierzyna płowa ze zniekształconym porożem.
- NEMROD** – zapalony myśliwy (nazwa żartobliwa).
- ODYNIEC** – dzik żyjący samotnie, stary samiec.
- OREŻ** – szable i fajki dzika.
- OSTATNI KĘS** – kawałek iglastej gałązki włożony do pyska grubego zwierza.
- PAROSTKI** – poroże sarny kozła.
- PERUKARZ** – rogacz lub jeleni byk o porożu w kształcie narośli pokrytym scypułem.
- PONOWA** – świeży śnieg, na którym zwierzyna odcisnęła swe tropy.
- PRZESMYK** – wydeptana ścieżka, którą przechodzi zwierzyna.
- RAKIETA** – kaczka cyranka w locie.
- RAPETY** – nogi dzika.
- RYKOWISKO** – ruja jeleni, okres godowy.
- SŁONKA** – długodzioby ptak, podczas wiosennego lotu godowego chrapie lub gwiżdże.
- STAWKI** – nogi lisa i borsuka.

SZABAS – przerwa w grze cietrzewi podczas toków w momencie wschodu słońca.

SUKNIA – skóra okrywająca ciało sarny, jelenia i dzika.

SZYDLARZ – kozioł lub jeleni byk z ostrymi zakończeniami tyk, poroże bez odnóg.

TABUNY – stada dzikich gęsi.

TOKOWISKO – miejsce, gdzie odbywają się toki głuszców, cietrzewi i batalionów.

TYKA – jeden róg rogacza, jelenia.

WARCZAK – dzik do jednego roku życia.

WATAHA – duże stado dzików.

WINCHESTER – amerykańska gwintowana broń myśliwska.

WIENIEC – poroże jelenia byka.

WYCINEK – dzik od dwóch do trzech lat, samiec.

WSTECZNIK – stary rogacz, jeleni o starzejących się rogach.

ZESTRAŁ – ścinka sierści odcięta kulą w miejscu strzału.

ZWIERZYNA PŁOWA – sarny, daniele, jelenie.

ZWIERZYNA CZARNA – dziki.

ZWIERZ KAPITAŁNY – odznaczający się kondycją i wagą ciała.

ZWYSZKA – stanowisko myśliwego na stogu.

ZŁOM – najwyższe odznaczenie łowieckie: obłamana świerszczyna, zamaczana w farbie, wręczona myśliwemu po strzeleniu grubego zwierza.

SPIS ROZDZIAŁÓW

Część pierwsza

MIĘDZY WISŁĄ A NOTECIĄ

- | | |
|-------------------------------|----|
| 1. Chwile młodościowej emocji | 9 |
| 2. Kłusownik z Luftwaffe | 14 |

NAD RZEKĄ I NA BAGNACH

- | | |
|---|----|
| 3. Triumf i smak porażki | 19 |
| 4. Ptaki babiego lata | 25 |
| 5. Odkrywanie przeszłości | 29 |
| 6. Kaczory i króliki | 33 |
| 7. Podniebne klejnoty i święte Mikołaje | 38 |

NA POLACH I W LASACH

- | | |
|-----------------------|----|
| 8. Wiosna na Skrzynce | 42 |
| 9. Aleksy | 47 |
| 10. Biała zjawia | 51 |
| 11. Bliźniaki | 56 |

NA SKRAJU PUSZCZY

- | | |
|-------------------------------|----|
| 12. Myśliwski domek w Dąbkach | 62 |
| 13. W królestwie Diany | 67 |
| 14. Dar jesiennej kniei | 72 |

MYŚLIWSKIE EMOCJE

- | | |
|-----------------------------------|-----|
| 15. Władca pogorzeliska | 78 |
| 16. Dziesiątak z Zajeźrza | 83 |
| 17. Na kaczki do Kaczkowa | 87 |
| 18. Deszczowy epizod | 92 |
| 19. Marzenia czasem się spełniają | 96 |
| 20. Pięć nie przespanych nocy | 102 |

Część druga

W OGRODZIE RZEPIÓRA

ZWIASTUNY WIOSNY

21. Na szlaku ptasich przelotów	127
22. Taniec słońce	130
23. Miłosne gody na przełęczy	135
24. Marzenia o głuszcowych tokach	140
25. Polsko - czeski głuszc	146

ZAWITAŁO KRÓTKIE LATO

26. Łowiecka brawura	152
27. Rzadkie widowisko	156
28. Szydłarz	160

W BARWACH ŻŁOTEJ JESIENI

29. Oszukać grzywacza	164
30. Rykowisko pod gwiazdami	167
31. Szarża szesnastaka	171
32. Trefna ambona	175
33. Strzał w dziesiątkę	179
34. Magiczne miejsce	182
35. Baran z Piekielnej Doliny	186
36. Diabelski krater	190

W ŚNIEGACH I FENOWYCH HURAGANACH

37. Rankiem po ponowie	196
38. Złom	199
39. Nie tylko wigilijne polowanie	203
40. Gamrat z Urwistej	208

Mały słownik języka łowieckiego

Muflon

Sklep Myśliwski

Sklep Myśliwski



SKLEP MYŚLIWSKI - MUFLON

ZAPRASZA

TEL. (075) 75 257 27

58-500 Jelenia Góra ul. Długa 2

Godziny otwarcia:

Poniedziałek-piątek 10⁰⁰ - 18⁰⁰

Sobota 10⁰⁰ - 14⁰⁰

Broń. Amunicja. Optyka.
Szały z atestem. Komis broni.
Aksesoria. Odzież. Upominki.
Sprzedaż ratalna.

STRÓWKI



NOTES

1. *Journal of the*

2. *Journal of the*

3. *Journal of the*



ZBIGNIEW ADAMSKI – autor książek:

*„Skarbiec św. Huberta w Karkonoszach i na Pogórzu”, 1997,
„Ontaryjskie safari”, 2000, „Nad rzeką św. Wawrzyńca”, 2002,
„Ze strzelbą i wędką”, 2003.*

Z redakcją Łowca Polskiego współpracuje od roku 1961 w dziedzinie fotografii przyrodniczo-łowieckiej. Od roku 1970 jest członkiem Komisji Etyki, Tradycji i Zwyczajów Łowieckich przy Okręgowym Zarządzie PZŁ w Jeleniej Górze.

Jego książki są ilustrowane interesującymi, autorskimi pracami, które znacząco wzbogacają ich treść. Jest autorem ilustracji fotograficznych do książek: „Polowania”, 1993, „Metody polowań”, 1993, „Ile ma lat”, 1993, „Rekordowe trofea”, 1994, „Łowiectwo”, 1995, „Określenie wieku zwierzyny”, 2003. w „Wydawnictwie Świat”.

Przygotował wiele wystaw fotograficznych, zdobywał czołowe miejsce w konkursach „Łowca Polskiego”, jest autorem kronik Koła Łowieckiego „Darz Bór” w Jeleniej Górze.

Za działalność na rzecz łowiectwa otrzymał Brązowy, Srebrny i Złoty Medal Zasługi Łowieckiej, za działalność na rzecz wędkarstwa - Brązową, Srebrną i Złotą Odznakę PZW. Złotą Odznakę Fotografa Krajoznawcy, oraz Honorowy Medal za Zasługi dla Miasta Jeleniej Góry i medal za ćwierćwiecze pracy dziennikarskiej.

„W królestwie Diany” Zbigniew Adamski przedstawia w pierwszej części, zatytułowanej „Między Wisłą a Nōtecją” opisy fascynujących polowań na Nizinie Kujawsko - Pomorskiej nad Notecją i w Puszczy Bydgoskiej.

W części drugiej, „W ogrodzie Rzepiōra”, pisze o polowaniach z kamerą na słonki i głuszce w Karkonoszach. Przedstawia barwne epizody z polowań na grzywacze, szarże jelenia szesnastaka i strzał do wielkiego odyńca.

(...) Autor mówi o sobie, że wolny czas przeznacza na wypoczynek w leśniczówkach i na wspólnym przeżywaniu myśliwskich przygód, najczęściej na bezkrwawych łowach, gdzie łatwo może wyrzec się strzelby, natomiast fotografii łowieckiej i zapierających oddech epizodów z życia przyrody - nigdy!

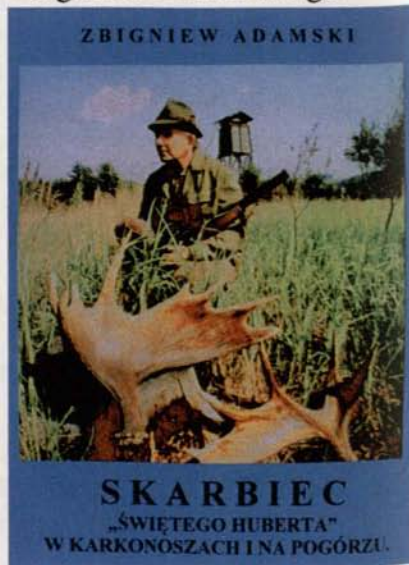
Andrzej Chmielewski



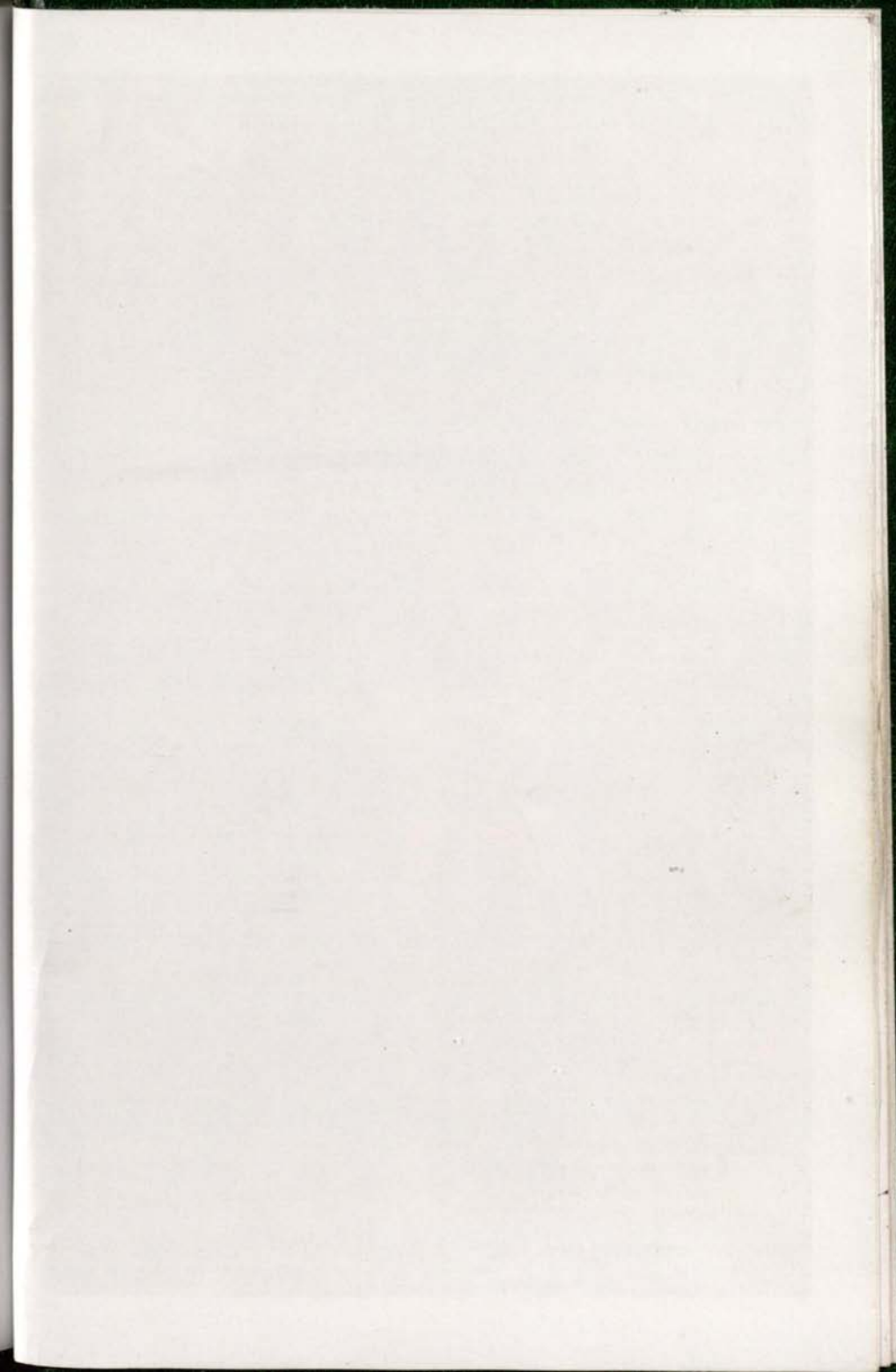
Z dorobku wydawniczego Zbigniewa Adamskiego.

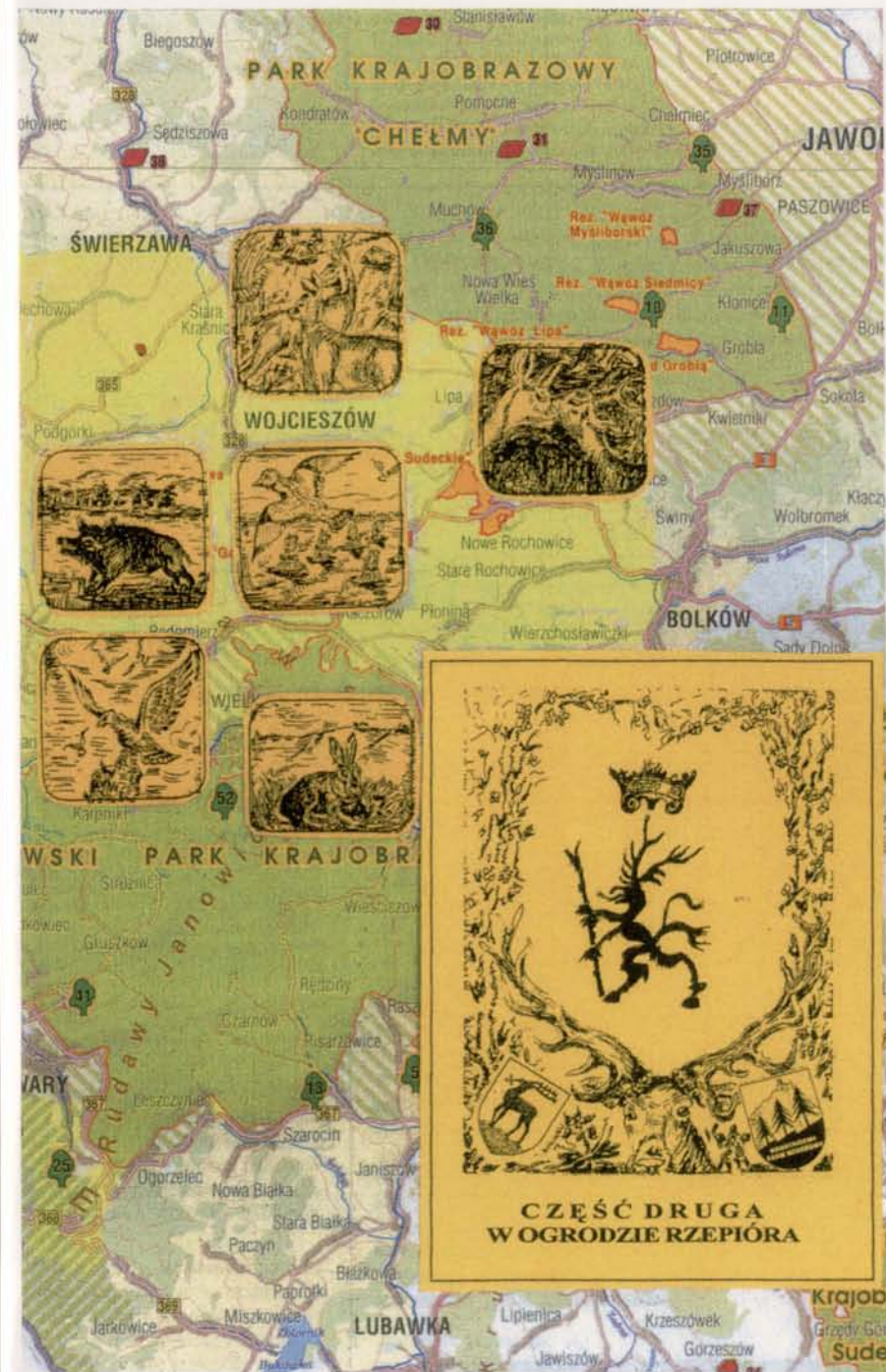
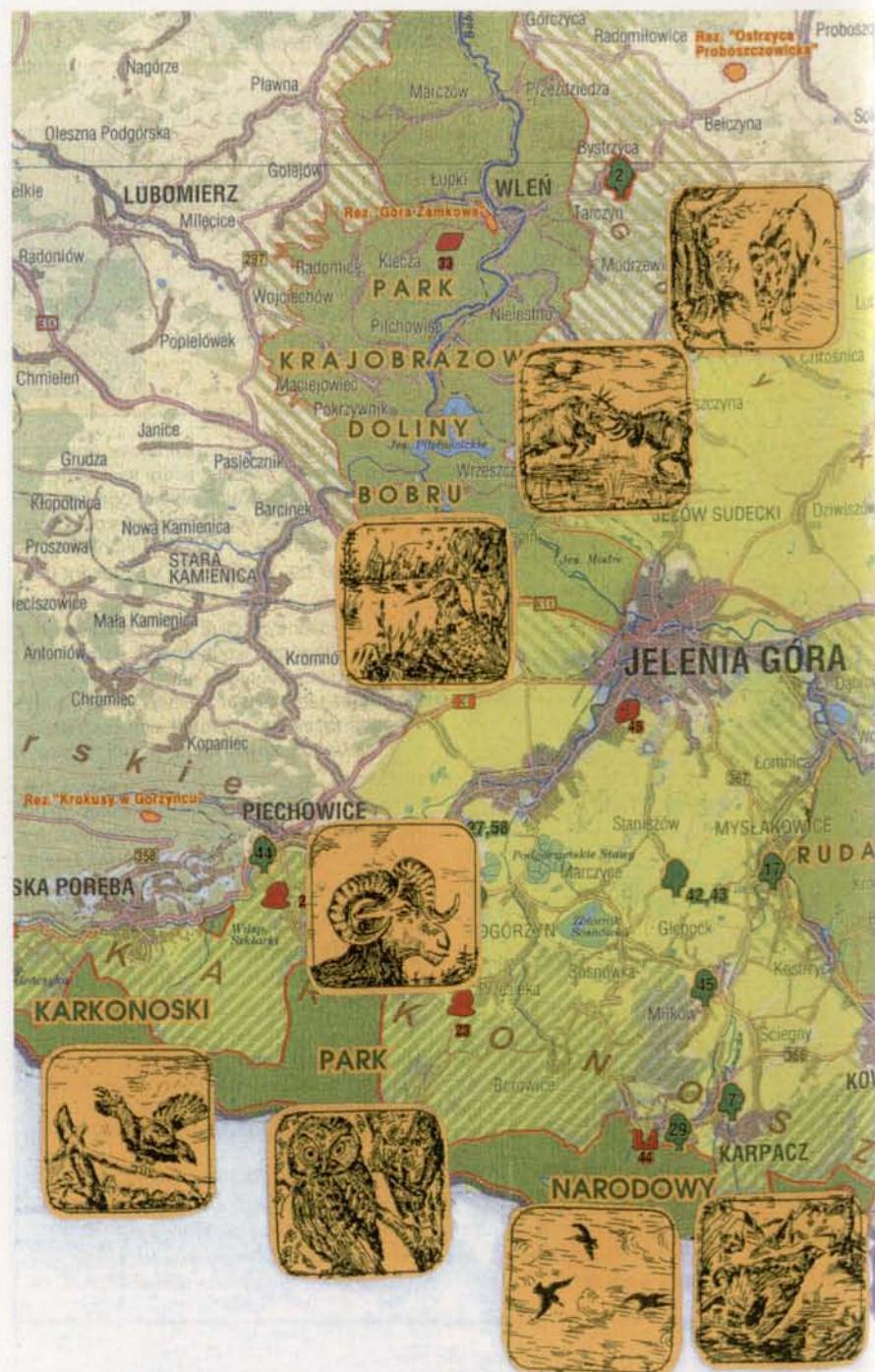


Być może wielcy podróżnicy
odkryli, zwiedzili i opisali Kanadę.
Być może kochasz przyrodę i
nie byłeś w Prowincji Ontario,
to książka dla ciebie.



Rzecz o tworzeniu zębów
polskiego łowiectwa na
Dolnym Śląsku po II wojnie
światowej.
Wydanie I - 1997r.





CZĘŚĆ DRUGA
W OGRODZIE RZĘPIÓRA

